Spis treści

Spis treści ..... - 1 -

Wprowadzenie ..... - 6 -

Wstęp ks. Bosko ..... - 6 -

ŻYCIE POD ZNAKIEM SNU 1815–1825 ..... - 7 -

Głód i sen, który zmienił życie ..... - 8 -

Rodzice byli wieśniakami ..... - 8 -
Przeziębienie zabiera nam ojca ..... - 8 -
Rok głodu ..... - 8 -
Dziwna propozycja złożona mamie ..... - 9 -
Pierwsza spowiedź ..... - 9 -
Czytać, pisać i pracować ..... - 9 -
Sen, który otworzył przede mną nowe życie ..... - 9 -
Herszt łotrów? ..... - 10 -

BAJECZNA LATA 1825 – 1835 ..... - 11 -

1. Młodziutki linoskoczek ..... - 11 -

Wzrostu byłem małego ..... - 11 -
Opowiadania na łąkach i w oborze ..... - 11 -

2. Spotkania ..... - 12 -

Pierwsza Komunia ..... - 12 -
Misje w Buttigliera ..... - 12 -
Cztery soldy za cztery słowa ..... - 12 -
Pewność, że ktoś mną kieruje ..... - 13 -

3. Kiedy umarła nadzieja ..... - 14 -

Nauka i motyka ..... - 14 -
Parę szczęśliwych dni ..... - 14 -
Ks. Calosso odchodzi ..... - 14 -

4. Jakże długa droga do szkoły ..... - 15 -

Kleryk o dobrej twarzy ..... - 15 -
Niepewna przyszłość ..... - 15 -
Jan Roberto, krawiec i śpiewak ..... - 16 -
Przyjaciele i źli koledzy ..... - 16 -

5. Trzy klasy w ciągu roku w Chieri ..... - 17 -

Jeszcze raz od początku ..... - 17 -
Kiedy zapomina się przynieść książki ..... - 17 -

6. Towarzystwo wesołości ..... - 18 -

Nauka na własny koszt ..... - 18 -
Kapitan małej armii ..... - 18 -

7. Dni wesołości i dyscypliny ..... - 19 -

„Jeśli nie masz przyjaciela, który poprawiałby cię, opłać wroga” ..... - 19 -
Nauczyciel, który nawet w żartach ..... - 19 -
Sympatyczny kanonik ..... - 19 -

8. Spotkanie z Alojzym Comollo ..... - 20 -

Niebezpieczeństwo powtarzania roku ..... - 20 -
„Zmuszę cię siłą” ..... - 20 -
Stanęli przede mną murem ..... - 21 -
„Jesteś tak zajęty rozmową z ludźmi...” ..... - 21 -

9. Małe i wielkie zdarzenia ... - 22 -

Wśród tortów i lodów ... - 22 -
Śmierć w rzece ... - 22 -

10. Jonasz – Żyd przyjaciel ... - 23 -

Kryzys w wieku osiemnastu lat ... - 23 -
Rodzinny dramat ... - 23 -

11. Biała magia ... - 25 -

„Paliłem moje «arcydzieła» ... - 25 -
Wracają sztuczki ... - 25 -
Żywy kogucik Tomasza Humino ... - 25 -
„Albo ty służysz diabłu, albo diabeł służy tobie" ... - 26 -

12. Olimpiady Jana Bosko ... - 26 -

„Pędził jak pociąg" ... - 26 -
Osiemdziesiąt lirów na czubku czarodziejskiej pałeczki ... - 26 -
„Cieszyliśmy się z przegranej" ... - 27 -
Biesiada z 22 chłopcami ... - 27 -

13. Głód książek ... - 27 -

Dwie trzecie nocy spędzane na czytaniu ... - 27 -
Świt zastawał mnie nad kartami Tytusa Liwiusza ... - 28 -

14. Co uczynię z moim życiem? ... - 28 -

„Nie chciałem wierzyć w sny" ... - 28 -
„Bóg przygotowuje dla ciebie inne pole" ... - 29 -
Rozjaśniający list ... - 29 -
Turyn zagrożony cholerą ... - 29 -

ROZWÓJ WIELKIEJ IDEI 1835–1845 ... - 30 -

1. W kleryckiej szacie ... - 31 -

Porzucić stare życie ... - 31 -
„Wydawałem się kukiełką w nowym stroju" ... - 31 -
7 – punktowy program nowego stylu życia ... - 31 -

2. Pożegnanie mamy Małgorzaty ... - 32 -

„To nie ubiór zdobi" ... - 32 -
Program wypisany na ścianie ... - 32 -

3. Karty w seminarium ... - 33 -

„Jak gdyby przechodził jakiś antypatyczny typ" ... - 33 -
Dziwne manewry przed przystąpieniem do Komunii ... - 33 -
Król i walet ... - 34 -
Kiedy Alojzy ciągnął mnie za rękaw ... - 34 -

4. Wakacje ... - 35 -

W polu przy żniwach ... - 35 -
„Prościej, prościej, prościej" ... - 35 -

5. Wolne dni na wzgórzach Monferrato ... - 36 -

Rzucano kieliszkami i ciskano pogróżkami ... - 36 -
Połamane skrzypce ... - 36 -
Ostatnie polowanie ... - 36 -
Gotowanie kurczaka ... - 37 -
Improwizacja na temat św. Rocha ... - 37 -
„Mam nadzieję, że będę pił lepsze wino" ... - 38 -

6. Wiadomości z tamtego świata ... - 38 -

Ostatnie spojrzenie było jak podpis ... - 38 -
„Bosko, jestem zbawiony" ... - 39 -

7. Słowa księdza Borela zawsze miały głębszy sens ... - 39 -

Cenne sto dwadzieścia lirów ... - 39 -
Słowa z głębszym sensem ... - 39 -

8. Pochylony nad białymi kartkami ... - 40 -

Niewielka książeczka otwierająca horyzont ... - 40 -
Sam na sam z Homerem ... - 40 -

9. Ksiądz na całe życie ... - 41 -

Podanie do arcybiskupa ... - 41 -
Myśl, która przeraża ... - 41 -
Pierwsza msza ... - 42 -

10. Gdy poniósł koń ..... - 42 -

„Miałem zawsze wokół siebie wielu chłopców” ..... - 42 -
Stado wróbli nad łbem konia ..... - 42 -
„Ocknąłem się w obcym domu” ..... - 43 -
Zauważył, że mam zaczerwienione oczy ..... - 43 -

11. Nauczyć się być księdzem ..... - 44 -

Odmówiłem objęcia trzech posad ..... - 44 -
Wielki profesor, ks. Guala ..... - 44 -
Duchowy spowiednik, ks. Cafasso ..... - 44 -
Chłopcy za kratami ..... - 45 -

12. Mam szesnaście lat, a nic nie potrafię ..... - 45 -

Chłopiec, który wziął nogi za pas ..... - 45 -
„Moja matka nie żyje” ..... - 46 -
Wszystko zaczęło się od lekcji katechizmu ..... - 46 -

13. Pierwsze Oratorium ..... - 47 -

Po katechizmie, opowiadania o jakimś ciekawym zdarzeniu ..... - 47 -
Józef Buzzetti, wzór wierności ..... - 47 -
Święto małych murarzy ..... - 47 -
„Utrzymywałem kontakty z chłopcami w więzieniu” ..... - 48 -

14. Bóg wybiera Valdocco ..... - 48 -

Czterdziestu chłopców przy konfesjonale ..... - 48 -
„Widzę mnóstwo chłopców proszących mnie o pomoc” ..... - 48 -
„Ale gdzie zebrać moich chłopców?” ..... - 49 -

15. Powracający sen ..... - 49 -

„Poszedłem spać z ciężkim sercem” ..... - 49 -
„Jagnięta zmieniały się w małych pasterzy” ..... - 50 -
„Zrozumiałem sen w miarę rozwoju wypadków” ..... - 50 -

16. W domu markizy ..... - 50 -

W kierunku Valdocco ..... - 50 -
„Tak dalej nie może być” ..... - 51 -
Na rozmowie z Arcybiskupem ..... - 51 -
Oratorium pod wezwaniem św. Franciszka Salezego: dlaczego? ..... - 51 -

17. Eksmisja Oratorium ..... - 52 -

Siedem miesięcy raju ..... - 52 -
Migracja do św. Marcina ..... - 52 -
Ks. Borel i kazanie o kapuście ..... - 52 -
Dziwne i niepokojące pogłoski ..... - 53 -
List zawierający poważne oskarżenia ..... - 53 -

18. Porażka w kościele św. Piotra w Okowach ..... - 53 -

Przekrzywiony czepek gospodyni kapelana ..... - 53 -
Ostatni list ks. Tesio ..... - 54 -

19. Trzy pokoje i wiosenna wyprowadzka ..... - 54 -

Oratorium na ulicach Turynu ..... - 54 -
Pierwsze szkoły wieczorowe w domu ks. Moretty ..... - 55 -
Turyńscy proboszczowie chcą zorientować się w sytuacji ..... - 55 -
Wiosna przynosi nakaz wyprowadzki ..... - 55 -

20. Oratorium pod gołym niebem ..... - 56 -

Spowiedź nad brzegiem kanału ..... - 56 -
Przy wtórze trąbki i bębna do Supergi ..... - 56 -
Wspaniała harmonia krzyków ..... - 56 -
Puszczanie balonów ..... - 57 -

21. Twarzą w twarz z Cavourem ..... - 57 -

„Gdyby ten ksiądz był generałem armii...” ..... - 57 -
Markiz szef policji traci cierpliwość ..... - 57 -
Biedny ks. Bosko, naprawdę postradał zmysły ..... - 58 -

22. Po markizie – markiza ..... - 59 -

Nie mogę pozwolić, by ksiądz się zaharowywał ..... - 59 -
„Dam księdzu radę, jakbym była księdza matką...” ..... - 59 -
Nie jeden, ale dwóch księży w domu wariatów ..... - 60 -

23. Szopa, w której wszystko się zaczęło ..... - 60 -

Bóg zesłał jąkającego się człowieka ..... - 60 -
Schody i spróchniały balkon ..... - 60 -
Długa szopa ..... - 61 -
Ostatni różaniec na trawie ..... - 61 -

DRZEWO SIĘ ROZRASTA 1846–1856 ..... - 62 -

1. Jeden dzień życia Oratorium ..... - 63 -

Zabezpieczeni na trzy lata ..... - 63 -
Dzieje biblijne w odcinkach ..... - 63 -
Katechizm, różaniec, nieszpory ..... - 63 -
Jedno słówko na ucho ..... - 64 -
„Uklęknij i wyspowiadaj się" ..... - 64 -
Ostatnia pieśń na rondzie ..... - 64 -

2. Król Karol Albert ratuje Oratorium ..... - 65 -

„Wydawało mi się, jakby zaczynał się Sąd Ostateczny" ..... - 65 -
Interwencja króla ..... - 65 -
Strażnicy Oratorium ..... - 66 -

3. Analfabeci też mają prawo do nauki ..... - 66 -

Podstawowy tekst: katechizm ..... - 66 -
Czytać, pisać i uczyć się religii ..... - 67 -
Czas młodych nauczycieli ..... - 67 -
Dlaczego i jak ks. Bosko napisał Dzieje biblijne? ..... - 67 -
Z ulic do książek ..... - 68 -
Książka do nabożeństwa i książka do matematyki ..... - 68 -

4. Noc, która miała być ostatnią, w życiu ks. Bosko ..... - 68 -

W poszukiwaniu ks. Bosko wśród winnic w Sassi ..... - 68 -
Gdzie zginęli chłopcy? ..... - 69 -
„Byłem gotów umrzeć" ..... - 69 -
„Bóg ich wysłuchał" ..... - 70 -
„Wśród moich wzgórz" ..... - 70 -

5. Powrót razem z mamą Małgorzatą ..... - 70 -

Cały dobytek w jednym koszu ..... - 70 -
Wiano mamy ..... - 71 -
Tylu uczniów, a tak mało miejsca ..... - 71 -

6. „Pierwsza młodzieżowa grupa" ..... - 72 -

Regulamin i Towarzystwo ..... - 72 -
Pierwsza wizyta Arcybiskupa w Oratorium ..... - 72 -

7. Pierwsza sierota z Valsesji ..... - 74 -

Mali złodzieje w szopie na siano ..... - 74 -
Przespał się przy kuchni mamy Małgorzaty ..... - 74 -
Nowe pokoje i nowa muzyka ..... - 75 -

8. Drugie Oratorium ..... - 75 -

Walka z praczkami ..... - 75 -
Wysiłki nie zawsze kończą się powodzeniem ..... - 75 -

9. Trudny rok 1848 ..... - 76 -

Strzał z kaplicy Pinardiego ..... - 76 -
Miejsca pracy stają się niebezpieczne ..... - 76 -
Rozdawać zupę, mówiąc przy okazji dobre słowo ..... - 76 -
Pierwsze rekolekcje i skąd się wzięły? ..... - 76 -
Parafia chłopców bez parafii ..... - 77 -

10. Odważne lekcje chrześcijańskiego życia ..... - 77 -

Pierwszy chór chłopięcy ..... - 77 -
Bada Miejska wspiera nas i daje tysiąc lirów ..... - 78 -
Pielgrzymka odważnych chłopców ..... - 78 -

11. Rok 1849. Trzydzieści trzy liry dla Piusa IX ..... - 79 -

Oratorium przyjmuje zdezorientowanych seminarzystów ..... - 79 -
Składka dla Papieża ..... - 79 -
Trzecie Oratorium ..... - 79 -
Pierwszy kleryk z Oratorium ..... - 80 -

12. Chcę trzymać się z dala od polityki ..... - 80 -

Patriotyczne kamizelki ..... - 80 -
Rozmowa z markizem ..... - 80 -

13. Odchodzą księża i chłopcy ..... - 81 -

Podarta gazeta ..... - 81 -
Masowa ucieczka ..... - 81 -

14. Ciężar samotności ..... - 82 -

„Klerycy też odeszli” ..... - 82 -
Rosmini uczy katechizmu chłopców z Oratorium ..... - 82 -

15. Kupienie domu wynajęcie karczmy ..... - 83 -

„Sto tysięcy kary dla tego, kto się wycofa” ..... - 83 -
Karczma wesołych kompanów ..... - 83 -

16. Kościół i loteria ..... - 84 -

W kaplicy–szopie chłopcy mdleli ..... - 84 -
Kamień jak ziarnko ..... - 84 -
List Biskupa Bielli ..... - 85 -
Pierwsza loteria ..... - 85 -

17. „Biada Turynowi 26 kwietnia!” ..... - 85 -

Wybuch prochowni ..... - 85 -
Wiersze i uroczystość konsekracji kościoła ..... - 86 -
Towarzystwo Wzajemnej Pomocy ..... - 87 -

18. Zawalenie się murów w nocy ..... - 87 -

Ulewa padająca na świeże mury ..... - 87 -
Każdy ucieka, ale nie wie dokąd ..... - 88 -
Co teraz robić? ..... - 88 -

19. Rok 1853. Rodzą się „Lektury Katolickie” ..... - 88 -

Sześćdziesięciu pięciu chłopców i wielu dobroczyńców ..... - 88 -
Czas na spotkanie z Bogiem ..... - 89 -
Żydzi i protestanci zaczynają propagandę ..... - 89 -
Ks. Bosko zaczyna swą batalię ..... - 89 -
„Nie postawię pod tym swojego podpisu” ..... - 90 -

20. Rok 1854. Bezpośrednia konfrontacja z protestantami ..... - 90 -

„Kolejno przychodzili na Valdocco, by ze mną dyskutować” ..... - 90 -
„Niech ksiądz zostawi „Lektury Katolickie” ..... - 90 -
„Czy wychodząc z domu jest pan pewien, że wróci?” ..... - 91 -

21. Głupi spiskowcy „Pod Złotym Sercem” ..... - 91 -

Zatrute wino ..... - 91 -
„Musi ksiądz wypić, po dobroci lub siłą” ..... - 92 -

22. „Chcieli mnie zabić” ..... - 92 -

Sto sześćdziesiąt lirów za zabicie ks. Bosko ..... - 92 -
Grad ciosów w ciemności ..... - 93 -

23. Szarik ..... - 93 -

„Gdy zobaczyłem obok dużego psa” ..... - 93 -
„Nie róbcie mu krzywdy. To pies ks. Bosko” ..... - 94 -
Szarika już nie było ..... - 94 -

„WSPOMNIENIA ORATORIUM” ..... - 95 -

NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIA W ŻYCIU KS. BOSKO ..... - 99 -

Wprowadzenie

Ks. Bosko, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, zaczął pisać na żądanie papieża Piusa IX, dzieje pierwszych 40 lat swego życia. Na wyraźne życzenie ks. Bosko, trzy grube zeszyty, zawierające owe wspomnienia nie zostały opublikowane i przez 73 lata spoczywały w archiwum Salezjanów. Dopiero w roku 1946 wydaje je we własnym opracowaniu ks. Eugeniusz Ceria, jeden z historyków ks. Bosko, ale i z nich mogły korzystać tylko środowiska salezjańskie.

Dziś udostępniamy ten cenny tekst w całości szerokiemu ogółowi czytelników. Zmianie uległa tylko szata językowa: przepisano je z XIX-wiecznej włoszczyzny na potoczny język współczesny, tak by każdy mógł się bez trudu zapoznać z autentycznym, niewymagającym niczyjego pośrednictwa i przez nikogo nie „cenzurowanym" ks. Bosko.

Przerażające warunki życia turyńskich robotników, dramatyczne wystąpienia antyklerykalne w 1848 r., przejmujące sny i proroctwa ks. Bosko, autentyczny sposób powstawania pierwszego Oratorium, ostre starcia z protestantami, wszystkie te wydarzenia zarejestrował własnoręcznie ich naoczny świadek i prorok, który w tym właśnie czasie stał się ojcem i założycielem Rodziny Salezjańskiej.

Historyk, Franciszek Desramaut napisał o tych stronicach: „Nie są to wiejące chłodem protokóły policji, ale ojcowskie zwierzenia ks. Bosko adresowane do jego synów. Jego „autobiografia" ma nie tylko formować, ale zarazem i bawić" (Praca doktorska, s. 134).

Biorąc to pod uwagę, wydało mi się nie tylko dozwolone, ale wręcz właściwe, zatytułować, je po prostu „Wspomnienia".

Opatrzyłem poza tym poszczególne rozdziały i podrozdziały tytułami, które zajęły miejsca krótkich „streszczeń", jakimi ks. Bosko poprzedził wszystkie rozdziały.

Składam podziękowanie ks. Józefowi Solda za jego cenną współpracę przy wyborze i opracowaniu fotografii ks. Bosko.

Teresio Bosko

Wstęp ks. Bosko

Skąd się wzięły te wspomnienia?

Wielokrotnie próbowano mnie nakłonić do pisania wspomnień dotyczących historii Oratorium. Ten, który mi to doradzał, posiadał wielki autorytet, ale nigdy nie zdecydowałem się ich zacząć, bo nie lubię mówić o sobie.

Tym razem jednak przyszła już nie rada, a polecenie, i to od człowieka, którego nie można nie słuchać, a więc zabieram się do pisania. Są to sprawy o niewielkim znaczeniu, ale może przydadzą się Rodzinie Salezjańskiej. Bo – zaznaczam to z góry – piszę dla moich najdroższych synów – Salezjanów, i zabraniam publikowania tego pamiętnika czy za mego życia czy po śmierci[1].

[1] Salezjanie opublikowali te strony w siedemdziesiąt trzy lata później. Skłoniły ich do tego dwa fakty: to, że ks. Bosko zezwolił już uprzednio ks. Bonettiemu na przedrukowanie wielu stron ze swych *Wspomnień* i na opublikowanie ich w odcinkach na łamach *Biuletynu Salezjańskiego,* oraz to, że ks. Lemoyne wykorzystał tekst Wspomnień *ks. Jana Bosko* w pierwszych tomach Wspomnieli *Biograficznych.* Jeśli chodzi o inne informacje do dalszych losów tekstu, patrz fragmenty opracowania Franciszka Desramaut, przytoczone na końcu książki.

Do czego mogą posłużyć te strony? Do wyciągnięcia nauki z przeszłości, aby łatwiej pokonywać bieżące trudności. Pomogą nam zrozumieć, jak sam Bóg prowadził nas w każdej chwili. Będą przyjemną lekturą dla moich synów, kiedy mnie już nie będzie, bo Bóg mnie wezwie do Siebie, bym zdał rachunek ze swego życia.

Wybaczcie mi, jeśli na jakiejś stronie znajdziecie zbyt wiele samozadowolenia czy chęć pokazania się. Jestem wszak ojcem, który cieszy się z tego, że opowiada o swoich sprawach synom i wydaje mi się, że im też sprawi przyjemność wysłuchanie drobnych historii ojca oraz świadomość, że czy to w małych, czy w wielkich sprawach zawsze miałem na sercu ich dobro duchowe i materialne.

Dzielę swoje wspomnienia na dziesięciolecia, ponieważ w każdym z nich nastąpił znaczny rozwój naszej Rodziny.

Synowie moi, kiedy będziecie czytać te wspomnienia, a mnie już nie będzie na tym świecie, pamiętajcie o mnie jako o ojcu, który was kochał i który zostawił wam te kartki na znak swojej miłości. A wspominając mnie, módlcie się do Boga o odpoczynek dla mej duszy.

Życie pod znakiem snu 1815–1825

Głód i sen, który zmienił życie

Rodzice byli wieśniakami

Urodziłem się w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej[2]. Był rok 1815. Ujrzałem światło dzienne w Morialdo[3], osiedlu Castelnuovo d'Asti.

Mój ojciec nazywał się Franciszek, mama – Małgorzata Occhiena. Oboje byli wieśniakami i uczciwą pracą zarabiali na życie. Z trudem wiązali koniec z końcem, unikając niepotrzebnych wydatków.

Mój ojciec z pracy swych rąk utrzymywał swą 70–letnią schorowaną matkę i nas, trzech synów. Najstarszy Antoni, był synem z pierwszego małżeństwa. Średni nazywał się Józef. Ja, Jan, byłem najmłodszy. W domu mieszkało poza tym dwóch robotników, którzy pomagali ojcu w pracy na polu.

Przeziębienie zabiera nam ojca

Nie miałem jeszcze dwóch lat, kiedy miłosierny Bóg zesłał na nas straszne nieszczęście. Ojciec był człowiekiem w pełni sił, w kwiecie wieku. Dbał bardzo o to, byśmy wyrośli na dobrych chrześcijan. Pewnego dnia wrócił z pracy spocony i, nie myśląc o tym, zszedł do zimnej piwnicy. Wkrótce potem dostał wysokiej gorączki i poważnego zapalenia płuc. Nic się nie dało zrobić. Choroba zabrała go w parę dni. W ostatnich godzinach przyjął święte Sakramenty i polecił matce, by miała ufność w Bogu. Zakończył życie 12 maja 1817 roku w wieku 34 lat.

Z tych dni pozostało mi tylko jedno wspomnienie, pierwsze wspomnienie mojego życia. Wszyscy wychodzili z pokoju, w którym właśnie zmarł ojciec, ale ja nie chciałem iść z nimi. Mama powiedziała mi:

– Chodź Jasiu, chodź ze mną.

– Jak tata nie idzie, to ja też nie – odpowiedziałem.

– Nie masz już taty, biedactwo moje.

Mama, mówiąc to, wybuchnęła płaczem, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z pokoju. Ja też płakałem, ale tylko dlatego, że mama płakała. W tym wieku nie mogłem jeszcze rozumieć, jak ciężkim ciosem jest śmierć ojca. Wydarzenie to pogrążyło całą rodzinę w głębokim bólu.

Rok głodu

Trzeba było wyżywić pięć osób, a straszna susza panująca tego roku zniszczyła zbiory. Artykuły żywnościowe osiągały zawrotne ceny. Za jedną miarę *(= 23 litry)* zboża płaciło się aż 25 lirów[4], a kukurydzy – 16. Ludzie, którzy pamiętają te czasy, opowiadali mi, że nędzarze żebrali o garść otrąb, by zagęścić zupę z bobu lub fasoli. Na łąkach znajdowano ciała żebraków z ustami pełnymi trawy; usiłowali się nią pożywić.

Mama opowiadała mi potem, że aby wyżywić rodzinę, wyczerpała wszystkie zapasy. Kiedy się skończyły, zebrała wszystkie pieniądze, jakie jeszcze miała w domu i dała sąsiadowi, Bernardowi Cavallo, aby spróbował za to coś kupić do jedzenia. Był naszym przyjacielem, więc objechał wszystkie rynki w okolicy, ale nic nie załatwił. Nawet oferując zawrotne ceny, nie można było nic kupić.

Czekaliśmy na niego z niepokojem. Wrócił na drugi dzień wieczorem z pustymi rękami. Pamiętam, jak wielka ogarnęła nas trwoga, bo tego dnia prawie nic nie mieliśmy w ustach. Matka poszła pożyczyć coś od sąsiadów, ale nikt nie był w stanie nam pomóc. Nie tracąc ducha, powiedziała nam wtedy:

– Ojciec, umierając, powiedział mi, bym miała ufność w Bogu. Uklęknijmy zatem i módlmy się.

[2] Wpis w księdze mieszkańców gminy stwierdza, że ks. Bosko urodził się 16 sierpnia, co ciekawe, zarówno sam ks. Bosko jak i jego matka mówili zawsze, że nastąpiło to 15 sierpnia.

[3] Morialdo jest jednym z przedmieść Castelnouvo d'Asti (dziś Castelnuovo Don Bosco). Morialdo składało się z kolei z rozrzuconych grup domów, zwanych „kantonami „. Ks. Bosko urodził się w kantonie Becchi.

[4] Tych, którzy chcieliby obliczyć dzisiejszą przybliżoną wartość ówczesnego lira, odsyłamy do przypisu 50.

Po krótkiej modlitwie wstała i powiedziała:

– W krańcowych sytuacjach trzeba użyć ostatecznych środków. Poszła do obory i przy pomocy Bernarda Cavallo zabiła cielaka, ugotowała zaraz kawałek i dała nam kolację. Byliśmy bardzo wygłodzeni. Później udało jej się kupić trochę zboża, choć za bardzo wysoką cenę w odległych wsiach.

Dziwna propozycja złożona mamie

W tym bardzo ciężkim dla nas roku mama wiele wycierpiała i namęczyła się. Tylko dzięki nieustannej pracy, ciągłemu oszczędzaniu każdego grosza i naprawdę opatrznościowej pomocy jakoś przeżyliśmy kryzys. O wydarzeniach tych wiele razy opowiadała mi mama, a także krewni i przyjaciele.

Gdy najgorsze już minęło i gospodarstwo domowe wróciło do jakiej takiej równowagi, mama otrzymała bardzo korzystną propozycję małżeńską[5], ale odpowiedziała odmownie.

– Bóg dał mi męża i Bóg mi go zabrał. Umierając, mąż powierzył mej opiece trzech synów, i byłabym wyrodną matką, gdybym zapomniała o nich w chwili, kiedy najbardziej mnie potrzebują.

Zwrócono jej uwagę, że dzieci oddano by dobremu opiekunowi, który by się o nie zatroszczył, ale ta szlachetna kobieta odrzekła:

– Opiekun jest przyjacielem, a ja matką dla mych synów. Nie opuszczę ich nigdy, za żadne skarby świata.

Najbardziej leżało jej na sercu to, by wychować synów na ludzi religijnych, nie obawiających się trudu i pracy, by wyrobić w nich posłuszeństwo.

Pierwsza spowiedź

To ona, gdy byłem jeszcze malutki, nauczyła mnie pierwszego pacierza. Gdy tylko dorosłem na tyle, że mogłem przyłączyć się do braci, kazała mi klękać razem z nimi rano i wieczorem: wspólnie odmawialiśmy modlitwy i trzecią część różańca.

Pamiętam też, że to ona przygotowała mnie do pierwszej spowiedzi. Zaprowadziła mnie do kościoła, najpierw sama się wyspowiadała, poleciła mnie spowiednikowi, a potem pomogła mi *złożyć* podziękowanie. Pomagała mi zresztą i później, dopóki nie uznała, że mogę już sam należycie odbyć spowiedź.

Czytać, pisać i pracować

Miałem już dziewięć lat. Matka chciała mnie posłać do szkoły, ale wahała się ze względu na odległość: Castelnuovo leżało o 5 km od osiedla. Myślała o tym, by umieścić mnie w internacie, ale 16–letni wówczas Antoni sprzeciwił się. Wreszcie doszli do kompromisu: zimą chodziłem do szkoły w sąsiedniej wsi, Capriglio, i tam też nauczyłem się *czytać* i pisać. Moim nauczycielem był bardzo pobożny kapłan ks. Józef Dallacqua. Traktował mnie serdecznie, wziął sobie do serca moje wykształcenie, a jeszcze bardziej moje wychowanie chrześcijańskie. Latem, by zadowolić mego brata, wróciłem do pracy na wsi.

Sen, który otworzył przede mną nowe życie

W tym właśnie okresie miałem sen, który głęboko utkwił mi w pamięci na całe życie.

Byłem niedaleko domu, na dużym podwórzu, na którym bawiło się wielu chłopców. Jedni się śmiali, inni grali w coś, wielu przeklinało. Słysząc to, rzuciłem się między nich i przy pomocy słów i pięści usiłowałem ich uciszyć.

W tym momencie pojawił się przede mną majestatyczny, pięknie ubrany mężczyzna, cały spowity białym płaszczem. Jego twarz jaśniała takim blaskiem, że nie mogłem na nią patrzeć. Nazwał mnie po imieniu i kazał stanąć na czele tych chłopców. Dodał:

– Będziesz musiał pozyskać ich przyjaźń dobrocią i miłością, a nie pięściami. No, porozmawiaj z nimi, że grzech to brzydka rzecz, i że przyjaźń z Panem jest cennym dobrem.

[5] Ks. Bosko wspomina o tej okoliczności tylko tutaj. Innych wiadomości na ten temat nie posiadamy.

Zmieszany i wylękniony odparłem, że jestem tylko biednym i niewykształconym chłopcem, i że nie potrafię mówić tym łobuziakom o religii.

W tym momencie chłopcy zaprzestali bójki, wrzasków i przekleństw i zebrali się wokół tego, który mówił. Niemalże nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię, zapytałem:

– Kim jesteś, panie, że nakazujesz mi rzeczy niemożliwe?

– Właśnie dlatego, że wydają ci się niemożliwe – odpowie dział – będziesz musiał uczynić je możliwymi przez posłuszeństwo i nabywanie wiedzy.

– A jakże ja będę mógł zdobyć tę wiedzę?

– Ja dam ci Mistrzynię. Pod jej przewodnictwem nabywa się mądrości, ale bez niej nawet najbardziej wykształcony staje się biednym prostakiem.

– Ale kim Ty jesteś, panie?

– Jestem synem tej, którą twoja matka nauczyła cię pozdrawiać trzy razy dziennie.

– Mama mówi mi zawsze, żebym nie rozmawiał z obcymi bez jej pozwolenia, dlatego powiedz mi Twoje imię.

– Zapytaj o nie moją matkę.

I wtedy ujrzałem obok niego majestatyczną niewiastę, przyodzianą w tak błyszczący zewsząd płaszcz, jakby w każdym jego punkcie tkwiła najjaśniejsza gwiazda. Widząc moje rosnące zmieszanie, dała mi znak, bym podszedł, ujęła mnie z dobrocią za rękę i powiedziała mi:

– Spójrz.

Spojrzałem i zobaczyłem, że chłopcy zniknęli, a zamiast nich pojawiło się mnóstwo koźląt, psów, kotów, niedźwiedzi i innych zwierząt. Majestatyczna niewiasta powiedziała mi:

– Oto twoje pole, gdzie będziesz pracował. Wzrastaj pokorny, silny i mocny, a to, co teraz stanie się ze zwierzętami, które widzisz, będziesz musiał uczynić z moimi dziećmi.

Spojrzałem jeszcze raz i zobaczyłem, że zamiast dzikich zwierząt było teraz tyle samo łagodnych jagniąt, które biegały, podskakiwały, beczały i tuliły się do owego pana i pani.

W tym momencie zacząłem płakać we śnie. Powiedziałem tej pani, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem, a ona na to położyła swą rękę na mej głowie i powiedziała mi:

– Zrozumiesz wszystko we właściwym czasie.

Ledwie wyrzekła te słowa, gdy zbudził mnie jakiś hałas i sen zniknął.

Byłem oszołomiony. Wydawało mi się, że bolą mnie jeszcze ręce od zadawanych ciosów, a policzki mnie pieką od otrzymanych razów.

Herszt łotrów?

Rano opowiedziałem mój sen najpierw braciom, którzy wy–buchnęli śmiechem, a potem mamie i babci. Każdy zinterpretował go po swojemu, Józef powiedział: „Zostaniesz pasterzem owiec". Mama: „Kto wie, czy nie zostaniesz księdzem". Antoni z kpiną w głosie: „Będziesz hersztem łotrów". Na koniec wypowiedziała się babcia, która nie miała pojęcia o teologii i nie potrafiła czytać ani pisać: „Nie trzeba wierzyć w sny".

Byłem tego samego zdania, co babcia, ale sen utkwił mi na dobre w pamięci. To, co napiszę na dalszych stronach, wyjaśni dlaczego.

Nigdy o tym nie rozpowiadałem i rodzina wkrótce zapomniała o całej historii. Ale kiedy w 1858 roku udałem się do Rzymu, by porozmawiać z Papieżem o założeniu zakonu Salezjanów, Papież chciał, bym przedstawił mu szczegółowo wszystko, co miałoby choćby pozór rzeczy nadprzyrodzonej[6]. I wtedy po raz pierwszy opowiedziałem sen, jaki miałem w wieku dziewięciu - dziesięciu lat. Papież polecił mi go zapisać skrupulatnie i powiedział, że będzie to zachętą dla Salezjanów.

[6] Nie chodzi tu o jakieś szczególne względy Piusa IX dla ks. Bosko. Papież Pius IX był bardzo wrażliwy na wszelkie przejawy wpływów nadprzyrodzonych i poszukiwał ich wszędzie tam, gdzie podejrzewał ich istnienie

Bajeczna lata 1825 – 1835

1. Młodziutki linoskoczek

Wzrostu byłem małego

Wiele razy pytano mnie, w jakim wieku zacząłem zajmować się dziećmi. Mogę powiedzieć, że już w wieku dziesięciu lat robiłem, co mogłem, tzn. organizowałem coś w rodzaju Oratorium.

Byłem bardzo mały, ale starałem się zrozumieć skłonności moich kolegów. Patrzałem im prosto w twarz i potrafiłem odczytać ich myśli, jakie snuły im się po głowie. Z tego powodu moi rówieśnicy bardzo mnie lubili, a zarazem obawiali się mnie.

Każdy chciał mnie mieć za przyjaciela i sędziego w wypadkach sporu. Komu mogłem, czyniłem dobro, zła nie wyrządzałem nikomu. Starali się pozyskać mą przyjaźń, abym ich bronił w razie nieporozumień, wynikających z zabaw. Co prawda byłem małego wzrostu, ale miałem siłę i odwagę, które nawet w starszych ode mnie budziły lęk. I tak, gdy tylko wybuchały spory, kłótnie i bójki, wybierano mnie na sędziego i nikt nie podważał moich decyzji.

Opowiadania na łąkach i w oborze

Szczególną sympatię zyskiwały mi moje opowiadania. Mówiłem o zdarzeniach, słyszanych na kazaniach czy na lekcjach katechizmu lub też o przygodach wyczytanych w *Królach Francji, Złym Guerinie* i *Bertoldzie i Bertoldinie*.

Koledzy, na mój widok, biegli ku mnie gromadnie. Domagali się, bym im coś opowiedział, pomimo, że byłem jeszcze taki mały, iż z trudnością pojmowałem to, co czytałem.

Często przyłączali się do chłopców niektórzy dorośli, tak że, gdy szedłem do Castelnuovo czy wracałem do domu poprzez

2. Spotkania

Pierwsza Komunia

Miałem jedenaście lat, gdy dopuszczono mnie do pierwszej Komunii. Znałem już wtedy co prawda cały katechizm, ale Komunii świętej udzielano dopiero po ukończeniu dwunastu lat. Ponieważ kościół był daleko, proboszcz mnie nie znał. Moim wykształceniem religijnym zajmowała się prawie wyłącznie moja mama. Pragnęła, bym jak najszybciej dostąpił tego wielkiego aktu naszej świętej religii i przygotowała mnie jak tylko mogła, z całym zaangażowaniem.[1]

Podczas Wielkiego Postu każdego dnia posyłała mnie na lekcje katechizmu. Na zakończenie przystąpiłem do egzaminu, zdałem go i ustalono datę, kiedy to razem z innymi dziećmi miałem przyjąć Komunię Wielkanocną.

Podczas Postu, mama trzy razy zaprowadziła mnie do spowiedzi. Powtarzała mi:

– Jasiu, Bóg daje ci wielki dar. Staraj się należycie z niego skorzystać i szczerze wyspowiadać się. Proś Pana o wybaczenie i obiecaj Mu, że będziesz lepszy.

Obiecałem, a czy dotrzymałem, Bóg to wie. W przeddzień mama pomogła mi się modlić, dała mi dobrą książkę do przeczytania i rady jakich prawdziwie chrześcijańska matka udziela swym dzieciom.

W dniu pierwszej Komunii, wśród tłumu dzieci i rodziców, zachowanie skupienia było prawie że niemożliwością. Rano mama nie pozwoliła mi z nikim rozmawiać. Zaprowadziła mnie na mszę świętą. Razem ze mną odbyła przygotowanie i złożyła podziękowanie, odmawiając modlitwy, które proboszcz ks. Sismondo, kazał wszystkim powtarzać na głos.

W ten dzień nie pozwoliła zajmować mi się pracą fizyczną i resztę czasu spędziłem na czytaniu i modlitwie.

Kilkakrotnie powtórzyła mi:

– Synu mój, to dla ciebie wielki dzień. Jestem pewna, że Bóg zapanował w twym sercu. Obiecaj Mu, że postarasz się być dobrym przez całe życie. Często przystępuj do Komunii, ale nigdy z grzechami na sumieniu. Spowiadaj się zawsze szczerze. Staraj się być posłuszny. Chodź chętnie na katechizm i na mszę. I, na miłość Boską, trzymaj się z daleka, jak od zarazy, od tych, którzy mówią złe rzeczy.

Zawsze zachowałem w pamięci i starałem się przestrzegać rad mojej matki. Wydaje mi się, że od tego dnia stałem się przynajmniej trochę lepszy. Przedtem nie lubiłem słuchać i akceptować decyzji innych, a dla tych, którzy dawali mi polecenia czy rady, miałem zawsze gotową odpowiedź.

Martwiła mnie jedna rzecz: nie było kościoła, do którego mógłbym chodzić z kolegami modlić się czy śpiewać. By wysłuchać lekcji katechizmu czy kazania, musiałem iść do Castelnuovo lub do Buttigliera, co wynosiło w sumie około 10 km pieszo. To zresztą było też przyczyną, dla której wielu przychodziło chętnie słuchać moich „kazań linoskoczka".

Misje w Buttigliera

W Buttigliera odbywały się misje parafialne, na które uczęszczałem i gdzie miałem okazję wysłuchać wielu przemówień religijnych. Ludzie ściągali ze wszystkich stron, jako że misjonarze byli bardzo sławni. Co wieczór mogliśmy wysłuchać nauki o religii chrześcijańskiej i odbyć medytacje nad wiecznymi prawdami. Potem rozchodziliśmy się do domów.

Pewnego wieczoru wracałem właśnie do domu wraz z wieloma innymi, wśród których był też ks. Calosso z Chieri, który niedawno został kapelanem w Morialdo. Był to bardzo dobry, starszy ksiądz. Chodził zupełnie zgarbiony, ale razem z nami odbywał wędrówki na „misje".

Cztery soldy za cztery słowa

Widząc mnie, jako małe dziecko wśród starszych (pamiętam, że byłem małego wzrostu, kędzierzawy, chodziłem z gołą głową nie odzywałem się), ks. Calosso przyglądał mi się przez chwilę, a potem zagadnął:

– Skąd jesteś, mój synu? Ty także przyszedłeś na misje?

– Tak, byłem na kazaniu misjonarzy.

– A cóż z niego mogłeś zrozumieć? Pewnie bardziej odpowiednie dla ciebie byłoby kazanie twojej mamy, nieprawda?

– To prawda, mama często mówi mi dobre kazania, ale wydaje mi się, że misjonarzy też rozumiem.

– Kochany, jeśli mi powiesz cztery sensowne słowa z dzisiejszego kazania, dam ci cztery soldy.

– Czy chce ksiądz, żebym powiedział coś o pierwszym, czy o drugim kazaniu?

– O którym chcesz. Wystarczą mi cztery słowa. Pamiętasz, czego dotyczyło kazanie?

– Tak, tego, że trzeba być przyjaciółmi Boga i że nie wolno odkładać nawrócenia się.

– A co mówił na ten temat kaznodzieja? – zapytał stary ksiądz, lekko już zaskoczony.

– Pamiętam to doskonale. Mogę księdzu powtórzyć całe kazanie.

– Bez najmniejszego kłopotu powtórzyłem wstęp, a potem trzy punkty rozwinięcia: ten, kto odkłada moment nawrócenia się ryzykuje, że zabraknie mu czasu, łaski Boskiej, albo zdecydowanej chęci. Ks. Calosso pozwolił mi mówić przez ponad pół godziny, a potem zapytał:

– Jak się nazywasz? Kim są twoi rodzice? Czy dużo chodziłeś do szkoły?

– Nazywam się Jan Bosko. Mój ojciec umarł, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Moja matka jest wdową i ma trzech synów na utrzymaniu. Umiem czytać i pisać.

– Uczyłeś się gramatyki łacińskiej?

– Nie wiem, co to takiego.

– A chciałbyś się uczyć?

– O tak, bardzo.

– A co ci stoi na przeszkodzie?

– Mój brat Antoni.

– A dlaczego twój brat Antoni nie chce, żebyś się uczył?

– Bo mówi, że szkoła to strata czasu. Ale gdybym chodził do szkoły, na pewno nie traciłbym czasu. Dużo bym się uczył.

– A dlaczego chciałbyś się uczyć?

– Żeby zostać księdzem.

– A po co chcesz zostać księdzem?

– Żeby uczyć religii moich chłopców. Nie są źli, ale będą tacy, jeśli nikt im nie pomoże. Chcę być z nimi, rozmawiać, pomóc im.

Te proste i szczere słowa wywarły wielkie wrażenie na ks. Calosso, który dalej mnie obserwował. Doszliśmy w ten sposób do skrzyżowania, gdzie nasze drogi rozchodziły się. Na koniec powiedział mi:

– Nie poddawaj się. Zajmę się tobą i twoją nauką. W nie dzielę przyjdź do mnie z mamą i zobaczysz, że załatwimy wszystko.

W następną niedzielę poszedłem wraz z mamą do niego do domu. Ustalili, że będzie mnie uczył trochę codziennie, a że resztę dnia będę pracował w polu, by zadowolić Antoniego. Mój brat zgodził się, bo miałem zacząć się uczyć jesienią, kiedy nie ma już takiego nawału pracy w polu.

Pewność, że ktoś mną kieruje

Od kiedy zacząłem chodzić do ks. Calosso, nabrałem do niego pełnego zaufania. Opowiedziałem mu, co robię i mówię, zwierzyłem mu nawet swe myśli. Dzięki temu mógł mi udzielić dobrych rad.

Po raz pierwszy miałem pewność, że mam przewodnika, przyjaciela od serca. W pierwszym rzędzie zakazał mi odprawiać takie pokuty jak do tej pory, nieodpowiednie dla mojego wieku, zachęcił mnie natomiast do częstego przystępowania do spowiedzi i Komunii. Nauczył mnie również codziennej medytacji, czy też raczej duchowej lektury.

W świąteczne dni spędzałem z nim cały wolny czas, a w dni powszednie, gdy tylko mogłem, służyłem mu do mszy. W tym okresie zacząłem odczuwać radość z faktu, że rozwijam w sobie życie duchowe. Do tej pory żyłem pod wielu względami materialnie, jak maszyna, która robi coś, ale nie wie dlaczego.

W połowie września zaczęliśmy lekcje włoskiego. Nauczyłem się całej gramatyki i pisałem wypracowania. Na Boże Narodzenie wziąłem do ręki gramatykę łacińską. Na Wielkanoc zacząłem ćwiczenia z tłumaczeń łacińsko-włoskich i włosko-łacińskich.

Przez cały ten czas nie zaprzestałem przedstawień latem na łące a zimą w oborze. Zdarzenia opowiedziane przez ks. Calosso i jego słowa wzbogacały moje „kazania".

Byłem szczęśliwy. Wydawało mi się, że spełniły się wszystkie moje życzenia, ale wkrótce nowy cios i nowe wielkie cierpienie miały odebrać mi wszelką nadzieję.

3. Kiedy umarła nadzieja

Nauka i motyka

Zimą na wsi prawie w ogóle nie było pracy, więc Antoni pozwalał, bym uczył się ile chcę.

Gdy nadeszła wiosna, *zaczął* się jednak skarżyć. Mówił, że on musi się zaharowywać, podczas gdy ja żyję jak paniczyk. Nastąpiły spory między nim a mną i mamą, zakończone kompromisową decyzją, że do szkoły będę chodził wcześnie rano, aby przez resztę dnia móc pomagać w polu.

Ale co począć z przygotowywaniem lekcji i tłumaczeń? Poradziłem sobie tak. Starałem się uczyć idąc do szkoły i wracając do domu. Po powrocie do jednej ręki brałem motykę, do drugiej – podręcznik gramatyki. W drodze na pole powtarzałem zaimki i czasowniki. Doszedłszy do miejsca pracy z melancholią odkładałem gramatykę w bezpieczne miejsce i wraz z innymi zabierałem się do kopania, gracowania i pielenia.

Gdy zbliżał się czas na posiłek, usuwałem się na bok i, z bułką w jednej ręce i gramatyką w drugiej, uczyłem się. To samo robiłem, wracając do domu. Czas na obiad czy na kolację, jakieś pół godzinki późnym wieczorem były jedynymi momentami, które mogłem swobodnie poświęcić na odrabianie prac pisemnych.

Pomimo takiej pracy i takiej dobrej woli, Antoni nie był zadowolony. Pewnego dnia zdecydowanym tonem zwrócił się do matki i brata Józefa:

– Czas już skończyć z tą gramatyką. Ja urosłem duży i po tężny a nigdy nie potrzebowałem książek.

W odruchu bólu i gniewu odpowiedziałem:

– Nasz osioł też nigdy nie chodził do szkoły, a jest potężniejszy od ciebie.

Antoni wściekł się na te słowa, a ja, chcąc uniknąć razów i policzków, musiałem uciekać.

Parę szczęśliwych dni

Mama nie wiedziała, co robić, ja płakałem. Ks. Calosso, dowiedziawszy się o moich kłopotach w domu, wezwał mnie do siebie i powiedział:

– Janku, obdarzyłeś mnie wielkim zaufaniem i nie chcę, byś się rozczarował. Zostaw twego gwałtownego brata i zamieszkaj ze mną.

Powtórzyłem zaraz tę propozycję mamie, a ona bardzo się ucieszyła. W kwietniu przeniosłem się właściwie do kapelana, a do domu wracałem tylko na noc.

Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie mojej radości. Ks. Calosso stał się moim bożyszczem. Kochałem go jak ojca, modliłem się za niego, pomagałem mu chętnie w czym tylko mogłem. Uczyniłbym dla niego najbardziej fantastyczne rzeczy, a gdyby było potrzeba oddałbym swe życie.

Pod jego przewodnictwem czyniłem większe postępy w jeden dzień niż w domu w ciągu tygodnia. Ten Boży człowiek naprawdę mnie kochał. Wiele razy powtarzał mi:

– Nie martw się o przyszłość. Dopóki ja żyję, niczego ci nie za braknie, a jak umrę, zabezpieczę cię.

Ks. Calosso odchodzi

Wszystko układało się pomyślnie. Byłem całkowicie szczęśliwy, gdy tragedia odebrała mi wszelką nadzieję. Pewnego kwietniowego ranka[7], ks.

[7] Z zachowanych w probostwie dokumentów wynika, że ks. Jan Melchior Calosso zamieszkał w Morialdo we wrześniu 1829 r. i umarł w wieku siedemdziesięciu lat w listopadzie 1830 r., a zatem nie w kwietniu. Pamięć ks. Bosko, podobnie jak kamera, doskonale rejestrowała zdarzenia i szczegóły, ale myliła się czasami, gdy chodziło o ustalenie miesiąca czy roku. Z badań Eugeniusza Valentiniego wynika jasno, że Janek Bosko spotkał ks. Calosso podczas kazań w Buttigliera w 1829 r., a więc krótko po tym, jak przez dwa lata pracował w majątku Moglii jako pastuszek. Na temat tych dwóch lat, szczegółowo zapamiętanych przez członków rodziny Moglii, ks. Bosko zachowuje niewytłumaczalne milczenie.

Calosso posłał mnie do rodziny z jakąś sprawą. Ledwo zdążyłem wejść do domu, gdy ktoś przybiegł,

by zawiadomić mnie, że mam natychmiast wracać. Ks. Calosso miał atak apopleksji i chciał ze mną mówić.

Nie biegłem, a leciałem. Mój najdroższy ksiądz leżał w łóżku i nie mógł już mówić, ale poznał mnie, dał mi kluczyk od szuflady, w której były pieniądze, i na migi pokazał mi, że mam je wziąć dla siebie.

Odszedł z Bogiem, po dwóch godzinach agonii, a wraz z nim umarły wszelkie moje nadzieje. Dopóki będę żył, codziennie rano, jak to zawsze czynię, będę się modlił za mojego wielkiego dobroczyńcę.

Gdy przybyli jego spadkobiercy, przekazałem im kluczyk i wszystkie inne *rzeczy*.

4. Jakże długa droga do szkoły

Kleryk o dobrej twarzy

W tych latach za sprawą Boskiej Opatrzności spotkałem innego dobroczyńcę, ks. Józefa Cafasso z Castelnuovo d'Asti. Była to druga niedziela października i mieszkańcy Morialdo obchodzili święto Macierzyństwa Maryi. Było to święto patronki osiedla i wszyscy byli weseli i załatani. Na łąkach odbywały się zabawy i przedstawienia, występowali szarlatani i sztukmistrze.

Stałem oparty o drzwi kościoła, z dala od widowisk, gdy ujrzałem kleryka. Był niewielkiego wzrostu, miał błyszczące oczy i dobrą twarz. Zaciekawiony i zachwycony podszedłem do niego i powiedziałem:

– Jeśli chce ksiądz obejrzeć jakieś przedstawienie z okazji naszego święta, to proszę mi powiedzieć, a chętnie księdza za prowadzę.

Spojrzał na mnie i bardzo uprzejmie zapytał mnie, ile mam lat, czy się uczę, czy przystąpiłem już do pierwszej Komunii, czy chodzę do spowiedzi i na lekcje katechizmu. Odpowiedziałem mu skwapliwie, a potem ponowiłem propozycję:

– Czy chce ksiądz obejrzeć jakieś przedstawienie?

– Mój drogi przyjacielu – odpowiedział – dla księży widowiskiem są obrządki kościelne. Im więcej ludzi uczestniczy w nich z miłością, tym więcej jest spektakli, które radują serce kapłana. Naszymi przyjemnościami są: msza święta, Komunia i spowiedź i z nich wypływa najgłębsza radość. Czekam, aż otworzą kościół.

Przełamując obawy, odpowiedziałem mu na to:

– To, co ksiądz mówi, to prawda, ale przecież jest czas na wszystko: na pójście do kościoła i na rozrywkę.

Zaczął się śmiać, i dał mi odpowiedź, w której zawierał się jego program życiowy.

– Kto zostaje kapłanem, oddaje się Panu, i ze wszystkich rzeczy tego świata interesuje go tylko to, co może przynieść chwałę Bogu i służyć duszom ludzkim.

Przejęty szacunkiem, zapytałem go, jak się nazywa. Kleryk, który w słowach i w całej postawie tak głęboko przejawiał ducha Pana, nazywał się Józef Cafasso i był studentem pierwszego roku teologii. Zdałem sobie sprawę, że już wcześniej wielokrotnie słyszałem o nim, jako o młodym świętym.

Niepewna przyszłość

Śmierć ks. Calosso, jak już powiedziałem, była dla mnie prawdziwą tragedią. Płakałem i nikt nie mógł mnie pocieszyć. Za dnia myślałem o nim, a w nocy śniłem. Sprawa przybrała taki obrót, że moja mama, poważnie zaniepokojona o moje zdrowie, posłała mnie na jakiś czas do dziadków w Capriglio.

W tym właśnie okresie miałem inny sen, w którym ujrzałem kogoś, kto surowo mnie zbeształ, bo więcej nadziei pokładałem w ludziach niż w dobroci Boga, naszego Ojca.

Martwiła mnie również nauka. Co robić, by móc ją kontynuować? Było wielu dobrych księży, którzy pracowali dla dobra ludzi, ale nie potrafiłem się zaprzyjaźnić z żadnym z nich. Często spotykałem po drodze proboszcza i jego zastępcę. Pozdrawiałem ich z daleka, podchodziłem grzecznie, ale oni tylko pozdrawiali mnie i szli dalej.

Nieraz, rozgoryczony do łez, mówiłem: – Gdybym był księdzem, postępowałbym inaczej. Starałbym się być bliżej dzieci, dawać im dobre rady, powiedzieć im dobre słowo. Dlaczego nie mogę porozmawiać z naszym proboszczem? Ks. Calosso ze mną rozmawiał, dlaczego inni księża nie?

Mama widziała moje cierpienie, ale, jeśli chodzi o naukę, nie miała żadnej nadziei na uzyskanie zgody Antoniego, który miał już ponad dwadzieścia lat. W tej sytuacji postanowiła podzielić spadek po ojcu. Problem polegał na tym, że ja i Józef byliśmy jeszcze niepełnoletni, a to pociągało za sobą długie załatwienie sprawy i duże koszty. Mimo to mama podjęła decyzję.

W ten sposób zostało nas w rodzinie troje: mama, Józef i ja, jako że babcia umarła już parę lat wcześniej.

Jan Roberto, krawiec i śpiewak

Normalna szkoła i inny nauczyciel wystawiły na ciężką próbę tę odrobinę wiedzy, jaką zdobyłem do tej pory. Musiałem zacząć właściwie jeszcze raz od początku gramatykę włoską i z trudem brnąć ku gramatyce łacińskiej.

W pierwszym okresie chodziłem do szkoły każdego ranka i popołudnia, robiąc dziennie ok. 20 km.

Ale gdy tylko przyszła prawdziwa zima, utrzymanie takiego rytmu okazało się niemożliwe, zostałem więc oddany na pensję do Jana Roberto, dobrego człowieka, który z zawodu był krawcem.

Poza tym był również dobrym śpiewakiem amatorem; śpiewał zarówno muzykę świecką jak i kościelną. Ponieważ ja też miałem dobry głos, nauczył mnie muzyki. Po paru miesiącach mogłem już wejść na chór i wraz z nim odśpiewać fragmenty muzyki kościelnej.

W wolnych chwilach brałem także do ręki igłę i nożyczki. W krótkim czasie stałem się specjalistą w przyszywaniu guzików, obrębianiu i zszywaniu, a także poczyniłem postępy w trudniejszych operacjach, jak krojenie materiału na kurtki, spodnie i kamizelki.

Pan Roberto, widząc moje postępy, uczynił mi poważną propozycję abym został krawcem w jego pracowni, ale ja miałem inne plany: chciałem kontynuować naukę. Lubiłem poznawać inne rzeczy w wolnych chwilach, ale cały mój wysiłek skoncentrował się na zasadniczym celu.

Przyjaciele i źli koledzy

Podczas pierwszego roku nauki w szkole musiałem też uregulować sprawy z paroma złymi kolegami. Wyciągali mnie na wagary, a ja próbowałem się wykręcić, mówiąc, że nie mam pieniędzy. Poradzili mi wtedy, żebym je ukradł gospodarzowi lub matce. Jeden, by przekonać mnie, powiedział mi bezczelnie:

– Obudź się i naucz się żyć na tym świecie. Jeśli nie otworzysz oczu, pozostaniesz na zawsze dzieckiem. Jeśli chcesz mieć łatwe życie, musisz zdobyć pieniądze, obojętnie w jaki sposób.

Pamiętam, że dałem mu taką odpowiedź:

– Nie rozumiem twoich słów. Wygląda na to, że chcesz namówić mnie, bym został złodziejem, a przecież siódme przykazanie Boskie mówi: „Nie kradnij". Kto zostaje złodziejem, źle skończy. A zresztą moja matka mnie kocha. Jeśli proszę ją o pieniądze na uczciwe *rzeczy,* daje mi. Zawsze jej słuchałem i nie mam zamiaru tego zmieniać. Jeśli twoi koledzy kradną, to są przestępcami, a jeśli nie kradną, ale namawiają do tego innych, są łajdakami.

Moja zdecydowana odprawa obiegła całą szkołę i nikt już nie odważył się czynić mi podobnych propozycji. Dowiedział się też o tym nauczyciel, i od tej chwili zaczął okazywać mi więcej sympatii. Nawet rodzice wielu moich szkolnych kolegów, usłyszawszy o sprawie, chcieli, by ich synowie zostali moimi przyjaciółmi.

Wkrótce znów miałem wokół siebie grupę przyjaciół, którzy lubili mnie i słuchali jak chłopcy z Morialdo. Wszystko zaczynało się już dobrze układać, gdy wyskoczyła nowa przeszkoda. Mojego dotychczasowego nauczyciela, ks. Virano, mianowano proboszczem w Mondonio, w diecezji w Asti. W kwietniu opuścił on szkołę, a na jego miejsce przyszedł inny nauczyciel, mniej zdolny od niego. Nie umiał zaprowadzić w klasie porządku i posłuszeństwa. W chaosie, jaki zapanował, zapomniałem w końcu nawet to, czego nauczyłem się w poprzednich miesiącach.

5. Trzy klasy w ciągu roku w Chieri

Jeszcze raz od początku

Straciłem wiele czasu. By nie marnować go dalej, ustaliliśmy, że przeniosę się do Chieri, gdzie już na serio zabiorę się do nauki. Był rok 1831.

Na kimś, kto wyrósł wśród drzew i zagajników i w swym życiu widział tylko niewielkie prowincjonalne osady, przyjazd do miasta robi wielkie wrażenie.

Zamieszkałem na pensji u Lucyny Matta, wdowy pochodzącej z naszej wsi, która przeniosła się do Chieri, by być razem ze swym jedynym synem i pomagać mu w nauce.

Pierwszą osobą, jaką poznałem, był ks. Eustachy Valimberti, którego wspominam z wdzięcznością. Zapraszał mnie, bym służył mu do mszy i wykorzystywał te chwile na udzielanie doskonałych rad co do zachowania i unikania niebezpieczeństw w mieście. On też zaprowadził mnie do dyrektora z ramienia rządu i przedstawił też paru profesorom.

Jako że do tej pory uczyłem się po trochu wszystkiego, czyli właściwie niczego, poradzono mi, bym zapisał się do szóstej klasy.

Nauczyciela, teologa Pugnetti, wspominam bardzo ciepło. Traktował mnie bardzo uprzejmie, a uwzględniając mój wiek i dobre chęci, pomagał mi w szkole, zapraszał do siebie i nie szczędził trudu, bym tylko mógł nadrobić stracony czas.

Ze względu na mój wiek *(miałem ukończone szesnaście lat)* i wzrostem wydawałem się olbrzymem wśród małych uczniów, sytuacja ta przygnębiała mnie. Po dwóch miesiącach jednak, ponieważ uzyskałem doskonałe świadectwo, dopuszczono mnie do egzaminu, bym mógł przejść do klasy piątej *(klasy liczono w odwrotnej kolejności: z piątej przechodziło się do czwartej, potem do trzeciej, itd.)*.

Z przyjemnością przeszedłem do nowej klasy, gdzie uczniowie byli już więksi, a nauczycielem był mój drogi przyjaciel, ks. Valimberti.

Po następnych dwóch miesiącach znów uzyskałem wspaniałe oceny, więc w drodze wyjątku dopuszczono mnie do kolejnego egzaminu i przesunięto do klasy czwartej.

W klasie tej uczył Wincenty Cima, człowiek surowy, który utrzymywał uczniów w żelaznej dyscyplinie. Widząc przychodzącego w połowie roku do klasy ucznia tak wysokiego jak on, zażartował:

– Albo jest tak wielki tępak, albo wielki geniusz. Trochę wystraszony jego surowością odrzekłem:

– Coś pośrodku. Jestem biednym chłopakiem, który ma dobrą wolę wypełniać swe obowiązki i czynić postępy w nauce.

Te słowa spodobały mu się i z niezwykłą uprzejmością powiedział:

– Jeśli masz dobre chęci, jesteś w dobrych rękach, bo ja nie pozwolę ci tracić czasu. Uzbrój się w odwagę. A jak będziesz miał jakieś trudności, zwróć się do mnie natychmiast, to ci pomogę.

Podziękowałem mu z całego serca.

Kiedy zapomina się przynieść książki

Byłem w czwartej klasie około dwóch miesięcy, kiedy stałem się głośny dzięki pewnej przygodzie. Profesor od łaciny tłumaczył nam właśnie żywot Agezylausa, spisany przez Korneliusza Nepota. Tego dnia zostawiłem w domu książkę, więc żeby profesor tego nie zauważył, miałem przed sobą rozłożony podręcznik do gramatyki.

Koledzy spostrzegli mój wybieg. Jeden szturchnął znacząco sąsiada, drugi zaczął się śmiać, aż wreszcie w całej klasie zapanowało poruszenie.

– Co tam znowu? – zapytał profesor. – Chcę wiedzieć natychmiast co się dzieje.

Widząc, że wszyscy patrzyli w moją stronę, kazał mi przeczytać tekst i powtórzyć tłumaczenie. Wstałem z książką do gramatyki w ręku i z pamięci powtórzyłem jedno zdanie. Koledzy, niemal odruchowo krzyknęli ze zdumienia i zaczęli klaskać.

Profesor strasznie się zdenerwował: krzyczał, że po raz pierwszy zdarza się mu taki bałagan i hałas na lekcji. Chciał mi dać po głowie, ale się uchyliłem. Potem, położywszy rękę na mojej gramatyce, kazał chłopcom z sąsiednich ławek wytłumaczyć przyczyny „bałaganu".

– Bosko nie ma Korneliusza Nepota. To, co trzyma w ręku, to gramatyka łacińska, ale przeczytał i przetłumaczył tak, jakby miał przed oczami książkę Korneliusza.

Profesor spojrzał wówczas na książkę, na której położył rękę, i zażądał bym „przeczytał" jeszcze następne dwa zdania z Korneliusza. Potem powiedział:

– Wybaczam ci ze względu na twą wspaniałą pamięć. Masz szczęście i postaraj się ją dobrze wykorzystać.

Pod koniec roku szkolnego zostałem promowany do trzeciej klasy.

6. Towarzystwo wesołości

Nauka na własny koszt

W pierwszych czterech klasach musiałem o własnych siłach nauczyć się postępować z kolegami.

Podzieliłem ich na trzy kategorie = dobrych, obojętnych i złych. Złych, gdy tylko ich przejrzałem, unikałem i zawsze i wszędzie. Do obojętnych podchodziłem, jeśli było potrzeba i odnosiłem się do nich uprzejmie. Z dobrymi starałem się zaprzyjaźnić i traktowałem ich serdecznie.

Początkowo nie znałem w mieście nikogo, więc ze wszystkimi trzymałem się raczej na dystans. Musiałem jednak walczyć, by nie stać się niczyim niewolnikiem. Jeden ciągnął mnie do teatru, inny na grę w klipę, jeszcze inny, żeby popływać w rzece. Pewien chłopak chciał, bym stał się członkiem jego bandy, okradającej ogrody i warzywniaki. Inny był na tyle bezczelny, że zachęcał mnie, bym ukradł jakiś drogocenny klejnot gospodyni.

Uwolniłem się od tych złych kolegów, unikając starannie ich towarzystwa, skoro tylko spostrzegłem się, kim są ci ludzie. Wszystkim mówiłem, że matka oddała mnie pod opiekę gospodyni i że ze względu na miłość do matki nie mogę nigdzie chodzić bez pozwolenia pani Lucyny.

To moje dobrowolne uzależnienie się od pani Lucyny przyniosło mi zresztą również pewne korzyści finansowe. Widząc, że jestem godzien zaufania, zleciła mi opiekę nad jej synem, chłopcem bardzo ruchliwym, przepadającym za zabawą, a znacznie mniej za nauką. Chociaż więc chodził do wyższej klasy, jego matka poprosiła mnie, bym mu udzielał korepetycji.

Traktowałem go jak brata. Uprzejmie się do niego odnosząc i zgadzając się na wspólne zabawy, zdołałem go skłonić do chodzenia do kościoła. W ciągu sześciu miesięcy dały się już zauważyć zmiany. W szkole nauczyciele byli z niego zadowoleni i stawiali mu dobre oceny, a matka tak szczęśliwa, że zmniejszyła mi opłatę za pensję.

Kapitan małej armii

Ci, którzy starali się wciągnąć mnie do swych niecnych przedsięwzięć, byli najgorszymi uczniami. Stopniowo zaczęli się zwracać do mnie i w innych sprawach: abym pożyczył im napisane wypracowania czy tłumaczenie.

Dowiedziawszy się o tym, profesor surowo mnie skrzyczał. „Twoja przysługa jest zła – powiedział – bo tylko utwierdzasz ich w lenistwie. Zabraniam ci tego kategorycznie".

Zacząłem więc szukać lepszego sposobu pomagania im. Tłumaczyłem im to, czego nie rozumieli, tak by sami byli w stanie uporać się z największymi kłopotami, i w ten sposób zaskarbiłem sobie ich wdzięczność i sympatię. Koledzy przychodzili do mnie coraz częściej w wolnych chwilach, a to aby im pomóc w pracy domowej, a to by posłuchać moich opowiadań, a wreszcie już bez żadnego konkretnego powodu, tak jak chłopcy z Morialdo i Castelnuovo.

Utworzyliśmy coś w rodzaju grupy, którą nazwaliśmy *Towarzystwem Wesołości*. Nazwa ta pasowała jak ulał, bo każdy z członków miał za zadanie organizowanie zabaw, kierowanie konwersacją i czytanie książek, których treść mogłaby nas bawić. Trzeba było za wszelką cenę unikać wszystkiego, co mogłoby wywołać melancholię i smutek, a zwłaszcza lekceważenie prawa Bożego. Ci, którzy przeklinali, wymawiali imię Boskie bez uszanowania, mówili złe *rzeczy,* musieli koniecznie odejść z Kompanii.

Tak oto znalazłem się na czele znacznej grupy chłopców. Wspólnie ustaliliśmy następujący, nader prosty regulamin:

- Żadnego czynu ani żadnych słów niegodnych chrześcijanina.
- Sumienność w wypełnianiu obowiązków szkolnych i religijnych.

Te wydarzenia przyniosły mi niejaki rozgłos. W 1832 r. ceniono mnie i słuchano jak kapitana małej armii. Zewsząd proszono mnie o pomoc przy organizowaniu zabaw, o pomaganie słabszym uczniom i o udzielanie korepetycji.

W ten sposób Boska Opatrzność pomagała mi zdobyć pieniądze na podręczniki, ubrania i inne potrzeby bez obciążenia budżetu rodziny.

7. Dni wesołości i dyscypliny

„Jeśli nie masz przyjaciela, który poprawiałby cię, opłać wroga”

W *Towarzystwie Wesołości* było wielu wspaniałych chłopców. Pamiętam Wilhelma Carigliano z Poirino i Pawła Braje z Chieri. Chętnie uczestniczyli w naszych zabawach, ale na pierwszym miejscu stawiali zawsze obowiązki szkolne. Obaj lubili głośne zabawy, ale też i skupienie w milczeniu i rozmowę z Bogiem.

W świąteczne dni po zebraniach w szkole szliśmy do kościoła św. Antoniego. Jezuici, którzy opiekowali się tym kościołem, prowadzili w nim wspaniałe lekcje katechizmu. Opowiadali zdarzenia i przykłady, które pamiętam do dziś.

W tygodniu *Towarzystwo Wesołości* zbierało się w domu jednego z członków, by rozmawiać o religii. Mógł w nich uczestniczyć każdy, kto chciał. Do najbardziej wytrwałych bywalców należeli Carigliano i Braja.

Podczas tych zebrań na przemian bawiliśmy się, rozmawialiśmy na tematy związane z chrześcijaństwem, czytaliśmy dobre książki i modliliśmy się. Nawzajem dawaliśmy sobie dobre rady i pomagaliśmy sobie w poprawianiu swych wad. Nieświadomie wcielaliśmy w życie wielką maksymę Pitagorasa: „Jeśli nie masz przyjaciela, który poprawiałby cię, opłać wroga, by oddał ci tę samą przysługę”.

Nauczyciel, który nawet w żartach...

Nie poprzestawaliśmy jednak na samych zebraniach. Razem chodziliśmy słuchać słowa Bożego, do spowiedzi i do Komunii.

W tych czasach, co warto przypomnieć, religia była jedną z podstaw nauczania. Profesor, który choćby w żartach, wymówił brzydkie słowo czy zaklął, natychmiast zostałby zwolniony z pracy. Biorąc to pod uwagę, łatwo sobie wyobrazić, jak surowo traktowano buntujących się czy wywołujących zgorszenie uczniów.

W dni powszednie wszyscy wysłuchiwali porannej mszy świętej, a na rozpoczęcie i na koniec zajęć odmawiali krótką modlitwę i *Ave Maria*. W dni świąteczne uczniowie zbierali się w wyznaczonym przez władze szkolne kościele, gdzie najpierw przez kilka minut słuchali lektury duchowej i odśpiewywali nabożeństwo do Matki Boskiej. Potem następowała msza z homilią. Wieczorem, długie zebranie, poświęcone nauce katechizmu, nieszporom i nauce religii.

Każdy musiał przystępować do spowiedzi i Komunii, a żeby nikt tego obowiązku nie zaniedbywał, raz w miesiącu dostawaliśmy zaświadczenie, że odbyliśmy spowiedź. Kto tego nie dopełnił, nie był dopuszczany do końcowych egzaminów, nawet gdyby był bardzo inteligentny.

Ta surowa dyscyplina osiągała dobre rezultaty. Chłopcy przez całe lata nie słyszeli złych słów czy przekleństw i w szkole i w domu zachowywali się grzecznie i z szacunkiem. Często pod koniec roku nawet wyjątkowo liczebne klasy były promowane w całości. Pamiętam, że tak właśnie zdarzyło się, gdy uczęszczałem do trzeciej, drugiej i pierwszej klasy.

Sympatyczny kanonik

W tych latach wybrałem sobie na spowiednika ks. kanonika Meloria z Kolegiaty w Chieri. Wyszło mi to na dobre. Za każdym razem, gdy szedłem do niego, przyjmował mnie z wielką dobrocią.

Na tych, którzy przystępowali do spowiedzi i Komunii częściej niż raz w miesiącu, patrzano w tych czasach prawie jak na świętych. Wielu spowiedników nie pozwalało na częste przyjmowanie Sakramentów. Ks. Meloria natomiast zachęcał mnie zawsze do jak najczęstszych spotkań z

Panem. Jeśli znalazłem w sobie siłę, by nie dać się wciągnąć na złą drogę niektórym kolegom, to właśnie dzięki tym jego zawsze ponawianym zachętom.

Przez wszystkie te lata, które spędziłem w Chieri, nie zapomniałem jednak o przyjaciołach z Morialdo. Od czasu do czasu odwiedzałem ich w czwartki. Podczas jesiennych wakacji, gdy tylko dowiadywali się, że miałem przyjechać, wybiegali mi naprzeciw i z tej okazji organizowali zawsze wielką zabawę.

W Morialdo też założyłem *Towarzystwo Wesołości,* do którego mogli wstąpić wszyscy ci, którzy odznaczali się dobrocią; z roku na rok odchodzili zaś ci, którzy nie sprawowali się dobrze i nabrali smutnych zwyczajów przeklinania i mówienia złych rzeczy.

8. Spotkanie z Alojzym Comollo

Niebezpieczeństwo powtarzania roku

Na zakończenie roku nauk humanistycznych *(druga klasa),* egzaminy odbywały się pod przewodnictwem nadzwyczajnego komisarza, prof. Józefa Grazzaniego, znanego ze swych zasług w szkolnictwie i wysłanego przez Najwyższą Radę d/s Oświaty. Był dla mnie bardzo uprzejmy. Od tego spotkania, które do dziś wspominam z wdzięcznością, zrodziła się trwająca nadal przyjaźń. Ks. Grazzani żyje dziś *(1873)* w Moltedo Superiore, niedaleko Onegli, gdzie się urodził. Oprócz innych dobrych uczynków, płacił co roku w naszym kolegium w Alassio czesne za jednego z chłopców, pragnącego w przyszłości zostać księdzem.

Egzaminy przebiegały w bardzo poważnej atmosferze. Przystąpiło nas do nich 45 i wszyscy przeszliśmy do następnej klasy. Tylko ja, podając koledze pod ławką tłumaczenie, naraziłem się na oblanie, ale dzięki wyrokowi mojego najdroższego profesora Giusana, dominikanina, uszło mi to na sucho. Profesor wyznaczył mi inny tekst do tłumaczenia, który zrobiłem dobrze i w ten sposób otrzymałem bardzo dobre oceny.

Z polecenia rady miejskiej, w każdej klasie przynajmniej jeden uczeń, który otrzymał maksymalne oceny ze sprawowania i z nauki, był zwalniany z opłaty za szkołę *(12 lirów).* Ponieważ zawsze mi szło dobrze, co roku zwalniano mnie z tej opłaty.

Tego roku straciłem jednego z mych najdroższych przyjaciół: Pawła Braje, który zmarł 10 lipca, po długiej chorobie. Starałem się naśladować jego dobroć, jego pokorne przyjmowanie cierpienia i żywą wiarę. Dołączył do św. Ludwika, którego tak podziwiał za życia. Jego śmierć była bolesnym ciosem dla całej szkoły. Wszyscy uczestniczyliśmy w jego pogrzebie, a podczas wakacji wielu przystępowało parokrotnie do Komunii i odmawiało różaniec w jego intencji.

Bóg jednak w swej dobroci wypełnił pustkę, jaką pozostawił po sobie Paweł, zsyłając nam innego przyjaciela, równie dobrego, a w przyszłości jeszcze bardziej sławnego niż on: Alojzego Comollo.

„Zmuszę cię siłą"

Po ukończeniu przedmiotów humanistycznych prof. Piotr Banaudi i inni poradzili mi, bym z pominięciem roku retoryki (I *klasa, odpowiednik V klasy gimnazjum),* spróbował od razu zdać egzamin na filozofię *(liceum klasyczne).*

Rzeczywiście zdałem ten egzamin i przeszedłem, ale mimo to w latach 1834–35 chodziłem na retorykę, bo bardzo lubiłem literaturę. Dzięki temu właśnie spotkałem Alojzego Comollo.

Napisałem życiorys tego wspaniałego młodzieńca, by każdy mógł się z nim szczegółowo zapoznać. Tu przypomnę tylko dni naszego spotkania.

Wśród uczniów naszej klasy rozeszła się pogłoska, że przyjdzie do nas „święty chłopak". Był to siostrzeniec proboszcza z Cinzano, starego i szanowanego za świątobliwość księdza. Chciałem poznać tego chłopca, ale nie znałem nawet jego imienia. A oto, jak go poznałem.

Byliśmy w klasie i niektórzy bawili się, robiąc zawody w przeskakiwaniu przez pochylonego kolegę. Mistrzami w tej niebezpiecznej grze byli najbardziej postrzeleni i najmniej pilni.

W tym momencie niedawno przybyły chłopak, około 15–letni, wszedł do klasy i spokojnie zajął swe miejsce w ławce wśród całego tego rozgardiaszu, a potem otworzył książki i zaczął się uczyć. Wydawał się być głuchy na rozlegające się naokoło wrzaski.

Co poniektórzy zaczęli na niego krzywo patrzeć, a jeden, bezczelniejszy od innych, podszedł do niego, złapał go za rękę i zawołał:

– Chodź z nami grać.

– Nie potrafię, nigdy w to nie grałem – wybąkał zaczepiony.

– No to teraz się nauczysz. Chodź, albo siłą cię do tego zmuszę.

– Możesz mnie pobić, jeśli chcesz, ale nie będę z wami się bawił.

Łobuz najpierw pociągnął go za rękę, a potem wymierzył mu dwa policzki, które rozległy się gromkim echem w całej klasie. Krew we mnie zawrzała. Spodziewałem się, że znieważony słusznie się zemści, tym bardziej, że najwidoczniej był silniejszy i wyższy od przeciwnika, a tymczasem nic takiego się nie stało. Z czerwoną, prawie siną twarzą, spoliczkowany spojrzał z litością na łobuza i powiedział mu:

– Zadowolony teraz jesteś? To zostaw mnie w spokoju. Wybaczam ci.

Oniemiałem: to był czysty heroizm. Natychmiast zacząłem się rozpytywać o imię tego młodzieńca: był to właśnie Alojzy Comollo, „świątobliwy chłopiec", siostrzeniec proboszcza z Cinzano.

Stanęli przede mną murem

Od tego momentu zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Mogę powiedzieć, że od niego właśnie nauczyłem się żyć prawdziwie po chrześcijańsku. Błyskawicznie się zrozumieliśmy i zaczęliśmy cenić. Potrzebowaliśmy nawzajem siebie: ja potrzebowałem jego pomocy duchowej, on – mojej fizycznej. Faktem jest, że nieśmiały Alojzy nawet nie śmiał się próbować bronić przed zaczepkami i zniewagami. Mnie natomiast, ze względu na mą odwagę i siłę, szanowali wszyscy, nawet starsi i silniejsi ode mnie.

Któregoś dnia chcieli poniżyć i pobić Alojzego i Antoniego Candelo, innego dobrego chłopca. Krzyknąłem, żeby zostawili ich w spokoju, ale nie posłuchali mnie. Zaczęli ich wyzywać, na co powiedziałem:

– Kto jeszcze powie choćby jedno wyzwisko, będzie musiał policzyć się ze mną.

Wtedy najwyżsi i najbezczelniejsi stanęli przede mną murem, podczas gdy jeden, czując się pewnie za taką osłoną, dwukrotnie spoliczkował Alojzego. Wpadłem we wściekłość. Nie mogąc sięgnąć po jakiś kij czy krzesło, złapałem jednego ze stojących przede mną za ramiona i, posługując się nim jak maczugą, zacząłem walić pozostałych.

Kiedy rozłożyłem ich na ziemi, inni uciekli z wrzaskiem.

W tym momencie wszedł profesor, a widząc młócące ręce i nogi wśród nieopisanych krzyków, zaczął krzyczeć na nas i na prawo i na lewo zadawać ciosy.

Gdy udało mu się w końcu zaprowadzić jaki taki porządek, kazał sobie opowiedzieć, skąd wynikło całe zamieszanie, a nie mogąc uwierzyć, polecił mi odtworzyć scenę. Wybuchnął śmiechem na ten widok, po nim inni, aż w końcu profesor zapomniał mnie ukarać.

„Jesteś tak zajęty rozmową z ludźmi..."

Alojzy za to nie omieszkał udzielić mi lekcji, gdy tylko znaleźliśmy się sami.

– Janku – powiedział – twoja siła przeraża mnie. Bóg dał ci ją nie po to przecież, byś wyrządzał krzywdę kolegom. On chce, byśmy wybaczali, byśmy się kochali, byśmy czynili dobro tym, którzy wyrządzają nam zło.

Jego dobroć była wprost niewiarygodna. W końcu dałem się przekonać i pozwoliłem, by mnie prowadził.

Wraz z Alojzym Comollo, Wilhelmem Carigliano, często przystępowaliśmy razem do spowiedzi i do Komunii, chodziliśmy na medytacje i lektury duchowe, służyć do mszy i oddać hołd Jezusowi ukrytemu w Najświętszym Sakramencie. Alojzy proponował nam to zawsze z taką dobrocią i uprzejmością, że wręcz nie sposób było mu odmówić.

Pewnego dnia, przechodząc koło kościoła, rozmawiałem z kolegą i zapomniałem zdjąć beretu. Alojzy, choć w sposób bardzo uprzejmy zwrócił mi na to uwagę:

– Jesteś tak zajęty rozmową z ludźmi, Janku, że nawet nie zauważasz tego, iż przechodzisz obok domu Pana.

9. Małe i wielkie zdarzenia

Wśród tortów i lodów

Opowiedziałem wam parę historyjek szkolnych. Teraz kolej na inne wydarzenia, które również mogą być zabawne.

W tym czasie zmieniłem pensję. Przyjaciel rodziny, Jan Pianta, otworzył właśnie kawiarnię i zaproponował mi, bym mieszkał u niego. Zgodziłem się, między innymi dlatego, że było to niedaleko domu mojego dobrego profesora, ks. Piotra Banaudi.

Mieszkanie przy restauracji może być niebezpieczne dla młodego człowieka. Udało mi się jednak uniknąć okazji do zła, dzięki temu, że właściciele byli porządnymi chrześcijanami i że miałem wspaniałych przyjaciół.

Po odrobieniu lekcji pozostawało mi zawsze sporo czasu wolnego. Zacząłem dzielić go na dwie części. W pierwszej czytałem klasyków literatury włoskiej i łacińskiej, w drugiej uczyłem się przygotowywać ciasta i likiery.

W połowie roku nie tylko przygotowywałem już ciasta i czekoladę, ale znałem również przepisy i sekrety wyrobu lodów, ciast, napojów chłodzących i likierów.

Ponieważ ta okoliczność była bardzo korzystna dla działalności lokalu, właściciel wkrótce potem pozwolił mi mieszkać bezpłatnie. Później zaproponował mi nawet, bym zostawił szkołę i zaczął pracować w jego kawiarni, ale odmówiłem, bo za wszelką cenę chciałem się uczyć, a wszystkim innym zajmowałem się tylko dla rozrywki.

Śmierć w rzece

Profesor Banaudi był wzorowym nauczycielem. Choć nie karał nigdy nikogo, zyskał sobie u wszystkich miłość i respekt. Kochał swych uczniów, jakby byli jego dziećmi, a oni odwzajemniali mu sympatię.

Chcąc okazać mu naszą wdzięczność, postanowiliśmy uczcić jego urodziny. Ułożyliśmy wiersze i krótkie utwory prozą oraz przygotowaliśmy prezenty, które wiedzieliśmy, że sprawią mu przyjemność.

Udało się to wspaniale. Ks. Banaudi był bardzo zadowolony i by nam to okazać, zaprowadził nas na obiad na wsi. Był przepiękny dzień. Na tysiąc różnych sposobów przejawialiśmy sobie sympatię, którą do siebie nawzajem żywiliśmy.

Gdy wracaliśmy do miasta, ks. Banaudi spotkał przyjaciela i musiał zatrzymać się z nim. W ten sposób ostatnią część drogi odbyliśmy sami.

W chwilę później spotkaliśmy kilku uczniów ze starszych klas, którzy zaproponowali nam, byśmy poszli razem z nimi wykąpać się w rzece nazywanej Czerwona Fontanna, przepływającej parę kilometrów dalej.

Razem z paroma innymi kolegami odmówiłem, ale nie wszyscy mnie posłuchali. Wielu wróciło razem ze mną do domu, ale kilku poszło nad rzekę. Była to fatalna decyzja.

W parę godzin po powrocie, przybiegł jeden a potem drugi z naszych kolegów, obydwaj zadyszani i przestraszeni. Powiedzieli nam:

– Filip nie żyje. Tak, właśnie Filip, ten, który nalegał, żebyś my poszli popływać.

– Ale jak to? – spytaliśmy, nie dowierzając. Filip był przecież najlepszym ze wszystkich pływakiem!

– A jednak to prawda. By popisać się odwagą, wskoczył do rzeki jako pierwszy, ale nie znał wirów, z jakich niestety znana jest Czerwona Fontanna. Czekaliśmy, aż wypłynie, ale już go nie zobaczyliśmy. Zaczęliśmy krzyczeć, przybiegli ludzie, dopiero jednak po półtorej godziny, i to narażając się przy tym na poważne niebezpieczeństwo, paru mężczyzn zdołało wyciągnąć ciało na brzeg.

To nieszczęście pogrążyło nas w głębokim smutku i nikt, ani w tym roku, ani w następnym, nie ośmielił się już pływać w rzece.

Niedawno spotkałem paru starszych przyjaciół i z żalem wspominaliśmy jeszcze smutną śmierć Filipa w wirach Czerwonej Fontanny.

10. Jonasz – Żyd przyjaciel

Kryzys w wieku osiemnastu lat

W czasie, gdy mieszkałem u Jana Pianty, zaprzyjaźniłem się z pewnym chłopcem żydowskim o imieniu Jonasz. Miał osiemnaście lat, prześliczną twarz, śpiewał aksamitnym i słodkim głosem. Bardzo dobrze grał w bilarda.

Poznaliśmy się w księgarni pana Eliasza. Jonasz, gdy tylko tam wpadał, w pierwszym rządzie pytał o mnie. Bardzo się polubiliśmy. Przyjaźń, jaką mnie darzył, przejawiała się w sposób niemal nieprawdopodobny. Każdą wolną chwilę przebywał w moim pokoju. Spędzaliśmy czas na graniu na pianinie, na śpiewaniu, czytaniu i opowiadaniu. Jonasz przepadał za moimi anegdotami.

Pewnego dnia Jonasz odczuł w sobie duchowy kryzys. Popełnił zły uczynek. Wynikła z tego bójka, która mogła się skończyć dla niego poważnymi kłopotami. Przybiegł, bym mu coś poradził. Powiedziałem:

– Gdybyś był chrześcijaninem, natychmiast zaprowadził bym cię do spowiedzi. Ale ty nie masz tej możliwości.

– Ależ my też, jeśli chcemy, możemy się spowiadać.

– Tak, ale nie przed prawdziwym spowiednikiem. Przed przyjacielem, który nas wysłucha, i na tym koniec; nie udziela sakramentu, i nie może wam wybaczyć w imieniu Boga i nie jest nawet zobowiązany do zachowania tajemnicy.

– W takim razie, jeśli mnie zaprowadzisz, pójdę się wyspowiadać księdzu.

– Do tego potrzebne jest długie przygotowanie.

– Jakie?

– Chrześcijańska spowiedź daje odpuszczenie grzechów po pełnionych po chrzcie. Więc, jeśli chcesz przyjąć sakrament, musisz najpierw być ochrzczony.

– A co powinienem zrobić, by przyjąć chrzest?

– Nauczyć się religii chrześcijańskiej i uwierzyć w Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i Człowieka. Dopiero wtedy będziesz mógł być ochrzczony.

– A co mi da chrzest?

– Uczyni cię synem Bożym i otworzy przed tobą bramy Raju. Wodą, którą się ochrzci, Bóg zmywa grzech pierworodny, wybacza grzechy dotychczas popełnione i przyjmuje cię do swe go Kościoła, gdzie będziesz mógł przyjąć wszystkie Sakramenty zbawienia.

– A czy my, Żydzi, nie możemy dostąpić zbawienia?

– Od przyjścia Syna Bożego, Jezusa Chrystusa na świat, normalną drogą do zbawienia jest wiara w Niego.

– Gdyby moja matka dowiedziała się, że chcę zostać chrześcijaninem, miałbym kłopoty.

– Nie obawiaj się. Bóg jest panem serc. Jeśli wzywa cię, byś został chrześcijaninem, to sprawi również, by twoja matka była zadowolona, lub znajdzie jakieś inne rozwiązanie.

– Jesteś moim przyjacielem. Co byś zrobił na moim miejscu?

– Zabrałbym się do uczenia religii chrześcijańskiej. Bóg da ci do zrozumienia, czego od nas chce. Weź katechizm i przeczy taj go uważnie. I proś Boga, by pomógł ci poznać prawdę.

Rodzinny dramat

Od tego czasu Jonasz zaczął interesować się religią katolicką. Kiedy przychodził do kawiarni, po partii bilardu, przychodził do mnie by podyskutować. Razem pogłębialiśmy odpowiedzi katechizmu i omawialiśmy problemy religijne.

W ciągu paru miesięcy nauczył się znaku krzyża, *Ojcze nasz, Zdrowaś Maryja* i *Wierzę* oraz głównych prawd wiary. Był bardzo szczęśliwy. Widać tylko, że z dnia na dzień staje się coraz lepszy i w rozmowie i w postępowaniu.

Ojca stracił, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Do matki, noszącej imię Rebeka, początkowo docierały jakieś pogłoski o tym, że syn zmienił przekonania, ale nie zwracała na nie większej uwagi.

Dramat wybuchł, kiedy ścieląc pewnego dnia łóżko Jonasza, matka znalazła katechizm, z którego się uczył. Narobiła krzyku na cały dom, a potem zaniosła katechizm rabinowi. Podejrzewała, że to ja jestem sprawcą wszystkiego, jako że Jonasz wiele razy jej o mnie opowiadał, i przyszła do mnie z wielkimi pretensjami.

Tak jak Jonasz był ślicznym chłopcem, tak jego matka była niestety brzydka. Miała wydatny nos, nie widziała na jedno oko i bardzo źle słyszała. Brzydkie też były jej usta: o nabrzmiałych wargach, skrzywione i ukazujące parę tylko zębów. Brodę –miała spiczastą i wydłużoną. Nawet głos jej był bardzo nieprzyjemny. Żydzi, którzy straszą niegrzeczne dzieci *czarownikiem Lilith,* nazywali ją *czarownicą Lilith.*

Napadła na mnie z takim gniewem i goryczą, że aż się wystraszyłem. Powiedziała mi:

– To z twojej winy zdarzyło się to nieszczęście. To ty zgubiłeś mojego Jonasza, zhańbiłeś go przed ludźmi. W końcu zostanie chrześcijaninem i nie wiem, co się z nim stanie.

Przemawiałem do niej najlepiej jak potrafiłem. Spokojnie powiedziałem jej, że powinna cieszyć się, bo czyniłem dobrze dla jej syna.

– Dobrze? To dobrze, kiedy ktoś wypiera się swojej wiary?

– Dobra kobieto, spróbuj się uspokoić i zastanowić. Ja nie szukałem przecież twojego syna, spotkaliśmy się u księgarza Eliasza i zaprzyjaźniliśmy się. Przywiązał się do mnie i ja też go lubię. Jako prawdziwy przyjaciel chcę, by zbawił swą duszę, by poznał religię chrześcijańską, która jest jedyną drogą do zbawienia. Niech pani zwróci uwagę, że ja tylko dałem książkę pani synowi i zachęciłem go, by zapoznał się z religią chrześcijańską. Jeśli zostanie chrześcijaninem, to nie porzuci przecież religii żydowskiej, tylko będzie ją wyznawał w doskonalszej formie.

– Jeśli na nieszczęście przejdzie na chrześcijaństwo, będzie musiał porzucić naszych proroków. Chrześcijanie nie wierzą w Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza i innych proroków.

– To nieprawda. Czcimy świętych patriarchów Biblii i wierzymy w proroków narodu żydowskiego. Ich pisma, słowa i proroctwa są podstawą wiary chrześcijańskiej.

– Gdyby był tu nasz rabin, wiedziałby, co ci odpowiedzieć.

– Ja nie znam ani Mishna ani Ghemara (dwie części Talmudu), wiem tylko; że mój syn biedny Jonasz jest stracony.

To powiedziawszy, poszła sobie. Musiałbym zapisać wiele stron, by opowiedzieć wypełnione pogróżkami rozmowy z rabinem, krewnymi Jonasza i jego matką. Szczególnie wiele pogróżek i ataków spadło na Jonasza. Zniósł to wszystko mężnie i nadal kształcił się w wierze.

W rodzinie nie czuł się już bezpiecznie. Musiał odejść z domu i skazać się na bardzo niepewny byt, ale wiele osób pomogło mu. Pewien bardzo wykształcony kapłan, któremu wszystko opowiedziałem, wziął go pod opiekę i pomógł pogłębić przygotowanie do chrztu.

Teraz Jonasz z niecierpliwością już czekał chwili, gdy zostanie chrześcijaninem.

(10 sierpnia, w katedrze w Chieri) odbył się chrzest. Był on zarazem umocnieniem w wierze dla mieszkańców miasta i okazją do rozmyślań dla kilku Żydów, którzy później sami przyjęli chrześcijaństwo.

Rodzicami chrzestnymi byli Karol i Oktawia Bertinetti, dla których nowy chrześcijanin stał się jakby własnym synem. Przy ich pomocy Jonasz znalazł dobre miejsce pracy, gdzie mógł uczciwie zarabiać na życie. Na chrzcie nadano Jonaszowi[8] imię Alojzy.

[8] Jonasz jest fikcyjnym imieniem, użytym przez ks. Bosko zamiast prawdziwego imienia chłopca, lub też przydomkiem, jakim koledzy nazywali Jakuba Leviego. W oficjalnych rejestrach w Chieri można znaleźć urzędowe świadectwo chrztu, spisane po łacinie: „10 sierpnia ja, Sebastian Schioppo, teolog i kanonik... ochrzciłem uroczyście młodzieńca Jakuba Leviego, w wieku osiemnastu lat, i nadałem mu imię Alojzy... „.

11. Biała magia

„Paliłem moje «arcydzieła»

Dni moje upływały na nauce i spotkaniach z przyjaciółmi. Największą przyjemnością był dla nas teatr, wspólny śpiew i granie na instrumentach.

Miałem bardzo dobrą pamięć. Mogłem recytować bez zająknięcia obszerne fragmenty prozaików i poetów klasycznych. Dantego, Petrarkę, Tassa, Patriniego, Montiego i innych poetów znałem tak dobrze, że ich utwory miałem opanowane w najwyższym stopniu, mogłem nimi operować, jakby były moje własne. Dlatego też było mi łatwo improwizować wiersze na jakikolwiek temat.

W przygotowywanym przez nas przedstawieniu zawsze byłem gotów wystąpić ze śpiewem, grą na instrumencie czy z improwizacjami poetyckimi. Moje utwory, uważane za arcydzieła, były w rzeczywistości tylko fragmentami z dzieł sławnych poetów, zaadoptowanymi do różnych okoliczności.

Z tej przyczyny nigdy nie pożyczałem „moich" poezji innym, a jeśli przypadkiem je zapisywałem, to natychmiast potem paliłem.

Wracają sztuczki

W tym okresie nauczyłem się wielu nowych gier i zabaw: w karty, w taroki, w kule, w kamyki, nabrałem nowych umiejętności w skokach, a nawet biegach na szczudłach. Nie we wszystkim wiodłem prym, ale w każdym bądź razie radziłem sobie nieźle.

Niektórych gier, jak już wspomniałem, nauczyłem się wcześniej na łąkach Morialdo. Ale tam stawiałem dopiero pierwsze kroki, tu zaś byłem już mistrzem. A że te gry były mało znane, wydawały się wręcz niesamowite.

Sztuczki iluzjonistyczne prezentowałem publicznie i prywatnie. Ileż było przy tym zdumienia ze strony widzów! „Wyczarowywane" z pudełeczka dziesiątki większych od pudełeczka kuleczek czy dziesiątki jajek wyjmowane z mikroskopijnego woreczka zapierały dech w piersiach widzów.

Jeszcze większe wrażenie robiły inne sztuczki, kiedy to „zbierałem" kulki z czubka nosa któregoś widza czy zgadywałem, ile kto ma pieniędzy w portfelu. Pod dotykiem moich palców metalowe monety zamieniały się w proszek. Kazałem zaproszonym na „estradę" widzom patrzeć na publiczność i zamiast ludzi widzieli straszne zwierzęta lub ludzi bez głowy.

Te ostatnie sztuki doprowadziły co poniektórych do takiego szoku, że zaczęli podejrzewać, iż jestem czarodziejem i działam w zmowie z diabłem.

Żywy kogucik Tomasza Humino

Jedną z osób, na których łatwo było wywrzeć piorunujące wrażenie, był mój nowy gospodarz, Tomasz Cumino. Był gorącym chrześcijaninem, ale odznaczał się dużą łatwowiernością. A że lubił żarty, wykorzystywałem to, by płatać mu różne psoty.

W dzień swych urodzin przygotował dla lokatorów kurczaka w galarecie. Przyniósł go na stół w rondlu, ale kiedy zdjął pokrywę, wyskoczył żywy kogucik, który strasznie przerażony *zaczai* piać i latać po całym pokoju.

Innym razem Cumino przygotował garnek spaghetti, ale kiedy wziął się do odcedzania, na durszlak wysypały się suchutkie otręby. Wiele razy zdarzyło się, że choć napełniał butelkę winem, w kieliszkach znajdował czystą wodę, zaś kiedy chciał się właśnie napić wody, kieliszek był pełen wina. Innymi żartami, które dość często stosowałem, były owoce zamieniane w kromki chleba, monety przekształcane w kawałki zardzewiałej blachy, kapelusz przemieniony w szlafmycę, czy wreszcie orzechy w żwir.

W pewnym momencie biedny pan Tomasz zaczął się bać. Myślał sobie:

– Ludzie nie mogą robić czegoś takiego, Bóg nie traci czasu na podobne głupstwa, więc za tym musi się kryć diabeł.

Nie mając odwagi porozmawiać z kimś o tej sprawie, zwierzył się ze swych wątpliwości mieszkającemu niedaleko ks. Bertinetti, który uznał moje sztuczki za „białą magię". Poinformował o całej sprawie inspektora szkolnego, kanonika Burzio, prałata katedry.

Ks. Burzio był człowiekiem bardzo wykształconym i roztropnym, więc nic nikomu nie mówiąc, wezwał mnie do siebie na rozmowę.

„Albo ty służysz diabłu, albo diabeł służy tobie”

Przyszedłem do jego biura w chwili, gdy odmawiał brewiarz. Spojrzał na mnie z uśmiechem i dał znak, bym chwilkę zaczekał. Gdy skończył, zaprowadził mnie do drugiego biura. Uprzejmie, ale z surowym wyrazem twarzy zaczął śledztwo.

– Mój drogi, jestem bardzo zadowolony z twoich wyników w nauce i z twojego sprawowania, ale opowiadają o tobie takie rzeczy, że... Powiedziano mi, że odczytujesz myśli innych ludzi, zgadujesz, ile kto ma pieniędzy w kieszeni, zamieniasz białe w czarne, znasz rzeczy odległe... Wielu mówi o tobie, a niektórzy podejrzewają, że znasz magię i że jesteś w zmowie z diabłem. Musisz mi szczerze odpowiedzieć: kto cię nauczył tych rzeczy? I gdzie się ich nauczyłeś? To, co mi powiesz, pozostanie naszą wspólną tajemnicą. Daję ci słowo, że wykorzystam to tylko dla twego dobra.

Bynajmniej nie zmieszany, poprosiłem o pięć minut na odpowiedź i zapytałem o godzinę. Ksiądz włożył rękę do kieszeni, ale zegarka w niej nie znalazł.

– Jeśli nie ma ksiądz zegarka – powiedziałem – to proszę przynajmniej dać mi monetę pięciosoldową.

Pogrzebawszy w kieszeni, stwierdził, że nie ma także portmonetki. Zdenerwował się wówczas i podniósł głos:

– Hultaju! Albo ty służysz diabłu, albo diabeł służy tobie. Zdążyłeś już mi ukraść zegarek i portmonetkę. Jestem zmuszony złożyć na ciebie doniesienie i ciesz się, że nie potraktuję cię kijem!

12. Olimpiady Jana Bosko

„Pędził jak pociąg”

Oskarżenia o uprawianie „białej magii” nie naruszyły rytmu naszego życia. Znów się zatem spotykaliśmy, dawaliśmy przedstawienia i bawiliśmy się.

W tym okresie przybył do Chieri linoskoczek, który rozpoczął swe występy wspaniałym biegiem: przebiegł przez całe miasto, z jednego końca na drugi, w dwie i pół minuty, tj. z prędkością pociągu. Moi koledzy mówili o nim z rozszerzonymi oczami, jak o jakimś fenomenie.

Nie biorąc pod uwagę konsekwencji mych słów, powiedziałem, że dałbym nie wiem co, by spróbować go pobić. Jeden z kolegów, bardziej nierozważny od innych, powtórzył to linoskoczkowi, a ten natychmiast przyjął wyzwanie. Lotem błyskawicy całe Chieri obiegła wiadomość, *że uczeń wyzwał na pojedynek zawodowego linoskoczka.*

Na miejsce próby wybrano aleję Piotra Torinese. Stawką z zakładu było dwadzieścia lirów. Nie dysponowałem taką sumą, ale koledzy z *Towarzystwa Wesołości* uskładali ją razem. Wiele ludzi przyszło oglądać zawody.

Przy starcie linoskoczek wyprzedził mnie o parę metrów, ale szybko nadrobiłem tę stratę i zacząłem zyskiwać coraz większą przewagę. W połowie trasy linoskoczek zatrzymał się i uznał się za pokonanego.

– Żądam rewanżu w skokach. Ale tym razem założymy się o czterdzieści lirów, a nawet więcej, jeśli chcesz.

Osiemdziesiąt lirów na czubku czarodziejskiej pałeczki

Przyjęliśmy zakład. Miejsce wybrał linoskoczek. Trzeba było przeskoczyć przez rów, na wprost wznoszącego się przy mostku

murku. Linoskoczek skakał jako pierwszy i skoczył tak blisko murku, że dalej już nie było można postawić nogi. W tej sytuacji mogłem tylko przegrać, a w żadnym wypadku nie wygrać. Znalazłem jednak sposób. Skoczyłem tak samo daleko jak on, ale przed wylądowaniem oparłem ręce na murku i przesadziłem go, wykonując zatem coś w rodzaju *prymitywnego skoku o tyczce.* Zerwała się burza oklasków.

– Chcę rzucić ci jeszcze jedno wyzwanie. Wybierz jakąkolwiek sztuczkę zręcznościową.

Zgodziłem się. Wybrałem popis z czarodziejską pałeczką. Stawka zakładu wzrosła do osiemdziesięciu lirów. Wziąłem pałeczkę, na jej czubku położyłem kapelusz, a drugi koniec postawiłem na dłoni. Nie dotykając pałeczki drugą ręką, podrzuciłem ją tak, że wylądowała najpierw na czubku małego palca, potem serdecznego, wreszcie na kciuku; następnie

przerzuciłem ją na wierzch dłoni, na łokieć, na ramię, na brodę, na wargi, na nos i na czoło. Wreszcie, idąc w odwrotnej kolejności, przerzuciłem ją z powrotem na dłoń.

– Tym razem nie wygrasz – powiedział linoskoczek. – Jest to mój ulubiony numer.

Wziął tę samą pałeczkę i z cudowną wręcz zręcznością przerzucał ją tak jak ja, ale gdy doszedł do nosa, okazało się, że miał za długi nos, pałeczka się zachwiała i musiał ją złapać ręką, żeby nie spadła.

„Cieszyliśmy się z przegranej"

Biedaczysko był bliski utraty wszystkich swych oszczędności i wściekły krzyknął:

– Pogodziłbym się z każdym upokorzeniem, ale nie z tym, żeby pobił mnie jakiś uczniak. Mam jeszcze sto lirów i stawiam je, że nie pokonasz mnie we wspinaniu się. Wygra ten, kto wdrapie się bliżej wierzchołka tego oto drzewa.

Mówiąc to, wskazał na rosnący przy alei wiąz. I tym razem zgodziliśmy się na jego propozycję. W pewnym sensie cieszyliśmy się, że tym razem przegramy, bo współczuliśmy mu, a nie chcieliśmy go przecież zrujnować.

Wszedł na drzewo jako pierwszy i wdrapał się tak wysoko, że gdyby wspiął się o parę centymetrów wyżej, drzewo by się zgięło i spadłby na ziemię. Wszyscy twierdziliśmy, że wyżej już się nie da.

Teraz była moja kolej. Wszedłem tak wysoko, jak tylko było można, żeby wierzchołek się nie ugiął, po czym, trzymając się rękami drzewa, wyprostowałem się i postawiłem stopy około metr powyżej miejsca, do którego doszedł mój rywal. Na dole rozległy się oklaski.

Biesiada z 22 chłopcami

Moi koledzy ściskali się z radości, linoskoczek był siny z gniewu, a ja byłem dumny ze zwycięstwa nie z chłopakiem takim jak ja, a z zawodowym przeciwnikiem.

Ale linoskoczkowi zbierało się na płacz, więc zlitowaliśmy się nad nim i zwróciliśmy mu pieniądze, pod jednym wszelako warunkiem: postawi nam obiad w hotelu Muletto.

Taka propozycja podniosła go na duchu i zgodził się natychmiast. Było nas dwudziestu dwóch: wszyscy członkowie *Towarzystwa Wesołości*. Obiad kosztował go dwadzieścia pięć lirów, zaś odzyskał z powrotem dwieście piętnaście lirów.

Był to rzeczywiście bardzo wesoły czwartek. Ja okryłem się chwałą czterokrotnego zwycięstwa nad linoskoczkiem. Moi koledzy dzielili mój triumf z najwyższą radością, a poza tym zjedli doskonały obiad. Nawet linoskoczek był zadowolony, bo w końcu odzyskał prawie wszystkie pieniądze. Żegnając się, podziękował nam:

– Oddając mi te pieniądze, uchroniliście mnie od ruiny. Dziękuję wam z całego serca. Będę was miło wspominał, ale już nigdy nie będę się zakładał z uczniami.

13. Głód książek

Dwie trzecie nocy spędzane na czytaniu

Zapytacie mnie: „Kiedy uczyłeś się, skoro tyle czasu spędzałeś na zabawie?".

Nie ukrywam, że mógłbym uczyć się więcej. Ale by opanować cały niezbędny materiał, wystarczało, bym uważał na lekcjach. Miałem wówczas tak dobrą pamięć, że po prostu czytając też się uczyłem. Bez trudu mogłem przedstawić treść jakiejkolwiek przeczytanej czy tylko ze słyszenia znanej książki. Poza tym moja matka przyzwyczaiła mnie do tego, że sypiałem niewiele, więc mogłem spędzać dwie trzecie nocy na czytaniu, a dzień poświęcać na inne zajęcia. Udzielałem korepetycji i prywatnych lekcji. Robiłem to co prawda z koleżeństwa i z chęci pomocy, a nie dla zarobku, ale wielu i tak mi płaciło.

Był w Chieri pewien księgarz Żyd, Eliasz. Umówiłem się z nim, że będę mu płacił po soldzie od książki, a on będzie mi je wypożyczał tak, bym mógł przeczytać wszystkich klasycznych pisarzy włoskich. Tomiki wydawane w bibliotece ludowej czytałem z prędkością jednego na dzień.

Świt zastawał mnie nad kartami Tytusa Liwiusza

Będąc w czwartej klasie gimnazjum przeczytałem wszystkich autorów włoskich.

W roku nauki retoryki zabrałem się do klasycznych autorów łacińskich: Korneliusza Nepota, Cycerona, Sallustiusza, Kwincjusza, Kurcjusza, Tytusa Liwiusza, Korneliusza Tacyta, Owidiusza, Wirgiliusza, Horacego i innych.

Te książki czytałem dla rozrywki. Podobały mi się i wydawało mi się, że je doskonale rozumiem. Dopiero później zauważyłem, że faktycznie było inaczej. Kiedy zostałem księdzem i, prowadząc zajęcia, starałem się przedstawić innym te arcydzieła, pojąłem, że tylko drogą ciągłego pogłębiania i wielkiej pracy można zrozumieć w pełni ich sens i urok.

Zajęcia szkolne, korepetycje i długie lektury zajmowały mi cały dzień i znaczną część nocy. Niejeden raz zdarzyło się, że gdy przychodziła pora wstawania, ja jeszcze siedziałem z historią Tytusa Liwiusza, którą zacząłem czytać poprzedniego wieczoru.

To gorączkowe tempo nadwerężyło poważnie moje zdrowie i przez parę lat odczuwałem potem skutki śmiertelnego wyczerpania. Radzę więc zawsze, by robić tyle, ile można, a nie więcej. Noc jest po to, by odpoczywać. Po kolacji nie powinno się zaprzątać głowy poważnymi studiami, chyba że jest to rzeczywiście niezbędne. Człowiek bowiem, jeśli jest silny, wytrzyma co prawda jakiś czas narzucone tempo, ale zawsze będzie to z uszczerbkiem dla zdrowia.

14. Co uczynię z moim życiem?

„Nie chciałem wierzyć w sny”

Zbliżał się koniec roku nauk humanistycznych, a wraz z nim nadchodził moment zastanowienia się, co robić dalej.

Sen, jaki miałem w Becchi, nadal tkwił mi w pamięci. Muszę nawet powiedzieć, że powtórzył się on jeszcze kilka razy, za każdym razem coraz bardziej wyrazisty. Jeśli chciałem potraktować go poważnie, powinienem był zacząć myśleć, czy nie zostać księdzem, miałem zresztą ku temu pewne skłonności.

Ale ja nie chciałem wierzyć w sny. A poza tym sposób życia, przyzwyczajenia, jakiego nabrałem, i całkowity brak cnót potrzebnych kapłanowi budziły we mnie wątpliwości. Był to bardzo trudny wybór.

Ileż razy pragnąłem mieć duchowego przewodnika, który pomógłby mi w tych momentach. Byłby to dla mnie prawdziwy skarb, ale niestety nie posiadałem go. Miałem dobrego spowiednika, który pomagał mi być uczciwym chrześcijaninem, ale nigdy nie chciał ze mną mówić o powołaniu.

Długo nad tym myślałem. Przeczytałem parę książek o powołaniu do życia zakonnego i kapłańskiego i wreszcie postanowiłem wstąpić do Franciszkanów. Rozumowałem tak:

– Jeśli zostanę księdzem świeckim, ryzykuję, że temu nie sprostam[9]. Zostanę więc księdzem, ale nie będę żył wśród ludzi. Wstąpię do klasztoru, poświęcę się nauce i medytacji. W samotności łatwiej mi będzie zwalczać moje namiętności, a zwłaszcza zakorzenioną już głęboko w mym sercu dumę.

[9] Nie był to jakiś skrupuł czy płonna obawa. W tych latach, jak pisze historyk, „jedną z rzeczy”, których najbardziej się obawiano, było „zawodowstwo” kleryków, wybór „kariery” kościelnej nie z głębokiego powołania, lecz z powodów czysto ludzkich, jako środek na zapewnienie sobie przyszłości. Wyczuwano, jak wielkim złem jest dla kapłaństwa wewnętrzna pustka i powierzchowność wiary. Jednym z przejawów tego niebezpieczeństwa był nadmiar młodych ludzi, którzy obierali drogę kapłaństwa. Dużej liczbie tych, którzy na nią wstępowali, odpowiadała również duża ilość tych, którzy ją porzucali. Studia kościelne były z miejsca uważane przez wielu ludzi za „krótszą drogę” do posady państwowej czy w szkolnictwie publicznym.

„Bóg przygotowuje dla ciebie inne pole”

Tak oto złożyłem prośbę o przyjęcie mnie do klasztoru Franciszkanów reformowanych. Złożyłem egzamin wstępny i zostałem przyjęty. Wszystko już zatem było gotowe, bym mógł wstąpić do klasztoru della Pace w Chieri.

Brakowało jeszcze do tego parę dni, kiedy znów miałem jeden z tych dziwnych snów. Ujrzałem wielu zakonników przyodzianych w podarte szaty i biegających w różnych kierunkach. Jeden z nich podszedł do mnie i rzekł mi:

– Szukasz pokoju, ale tu go nie znajdziesz. Nie widzisz, jak postępują twoi bracia? Bóg przygotowuje dla ciebie inne miejsce, inne pole do pracy[10].

Chciałem zapytać jeszcze o coś zakonnika, ale obudził mnie jakiś hałas i wszystko zniknęło. Poszedłem do mego spowiednika i opowiedziałem mu wszystko. Nie chciał słyszeć ani o snach ani o zakonnikach. Powiedział mi:

– W tych sprawach każdy powinien iść za swoimi inklinacjami, a nie za radami innych.

Rozjaśniający list

W tym właśnie czasie miało miejsce zdarzenie, które uniemożliwiło mi planowane wstąpienie do Franciszkanów. Początkowo sądziłem, iż są to przejściowe trudności, a tymczasem przyszły po nich inne, znacznie większe przeszkody.

Postanowiłem zwierzyć się memu przyjacielowi Alojzemu Comollo. Poradził mi, bym odprawił nowennę i napisał do jego wuja, proboszcza.

Ostatniego dnia nowenny przystąpiłem wraz z Alojzym do spowiedzi i Komunii świętej. Potem wysłuchaliśmy mszy w katedrze i służyliśmy do następnej mszy, odprawianej przy ołtarzu Matki Boskiej Łaskawej. W domu zastaliśmy po powrocie list od ks. Comollo, wuja Alojzego. Brzmiał on tak:

[10] Piotr Stella pisze: „Zakon Franciszkanów w Piemoncie wyróżniał się wówczas dzięki niektórym należącym doń wybitnym postaciom: misjonarzom w Ameryce, Ziemi Świętej i Chinach... ale ogólnie przeżywał straszny kryzys powołań... W XVIII w. było ich ponad siedemdziesiąt tysięcy. Podczas Rewolucji Francuskiej nastąpił gwałtowny spadek, w wyniku którego w 1862 r. do zakonu należało już tylko dwadzieścia trzy tysiące, a w 1882 r. - piętnaście tysięcy, po czym nastąpiło odrodzenie się instytutu i trzeciego zakonu „ *(Ks. Bosko w dziejach religii katolickiej,* t. I, str. 45).

– Rozważywszy wszystko, radziłbym twemu koledze nie wstępować do klasztoru. Niech przywdzieje szatę kleryka[11], a dalsze studia pozwolą mu lepiej zrozumieć, czego Bóg od niego oczekuje. Niech się nie obawia utraty powołania. Odosobnienie i praktyki religijne pomogą mu pokonać wszelkie przeszkody. Posłuchałem tej mądrej rady i zabrałem się do lektur i rozważań przygotowujących do zostania klerykiem.

Turyn zagrożony cholerą

Zdałem egzamin z retoryki, a zaraz potem egzamin wstępny do seminarium[12]. Do tego drugiego powinienem był przystąpić w Turynie, ale miasto było zagrożone cholerą, której przypadki notowano już w okolicach, zdawałem więc go w domu Bertinetti, wynajętym wówczas przez kanonika Burzio; domu, który pan Karol Bertinetti zapisał potem w testamencie moim Salezjanom.

Chciałbym przy okazji podkreślić jeden fakt, który uzmysławia, jaka była wówczas atmosfera religijna w szkołach w Chieri. W ciągu czterech lat nie pamiętam, żebym usłyszał jakieś złe słowa, lub uwagi przeciw Kościołowi.

Kurs retoryki ukończyło nas dwudziestu pięciu. Trzech podjęło dalszą naukę, zgłębiając medycynę, jeden został kupcem, zaś pozostali zaczęli studia w seminarium.

Podczas tych wakacji przestałem już bawić się w linoskoczka, a oddałem się lekturze książek religijnych, które do tej pory, przyznaję ze wstydem, zaniedbywałem.

[11] „Klerykami” nazywano tych, którzy podejmowali studia teologiczne, by zostać kapłanami. Nosili czarną, sięgającą za kolana lub też do kostek sutannę.

Dzielili się na *mieszkających na zewnątrz,* którzy przychodzili do seminarium tylko na zajęcia lekcyjne i na nabożeństwa, zaś resztę czasu spędzali u rodziny, oraz na *mieszkających w internacie,* którzy spędzali całe życie w seminarium. Biskupi dążyli do ograniczenia liczby mieszkających w domu, ponieważ wnosili oni w życie seminarium pewną atmosferę świeckości.

[12] Jan Bosko postanowił wstąpić do seminarium i zamieszkać w internacie, by dostosować się do wszystkich surowych regul. Seminarium w Chieri otwarto parę lat wcześniej, w 1829 r. Arcybiskup Turynu, Kolumb Chiaveroti chciał zapewnić w ten sposób przyszłym księżom siedzibę pełna skupienia niemal klasztorną, oddaloną od hałaśliwego Turynu.

Nadal jednak zajmowałem się chłopcami. Przyciągały ich moje opowieści, zabawy ruchowe i śpiew. Wielu nawet spośród najstarszych nie znało prawd wiary, więc oprócz zabaw i anegdot uczyłem ich katechizmu i chrześcijańskich modlitw. Był to rodzaj oratorium. Pięćdziesięciu chłopców, którzy kochali mnie i słuchali jak ojca.

Rozwój wielkiej idei 1835–1845

1. W kleryckiej szacie

Porzucić stare życie

Postanowiłem zostać kapłanem i zdałem egzamin wstępny do seminarium. Teraz przygotowywałem się do dnia, w którym miałem założyć ubiór kleryka. W zamyślenie wprawiło mnie przekonanie, że normalnie zbawienie lub zguba naszej duszy zależy od kierunku, jaki nadamy naszemu życiu.

Prosiłem wielu przyjaciół, by modlili się za mnie. Odprawiałem nowennę. W dzień św. Rafała, 25 października, przystąpiłem do spowiedzi i do Komunii świętej. Przed uroczystą mszą proboszcz z Castelnuovo, ks. Cinzano, pobłogosławił szatę kleryka i kazał mi ją założyć.

Kazał mi odłożyć świeckie ubranie z tymi oto słowami: „Niech cię Pan wyzwoli ze starego człowieka z jego uczynkami i skłonnościami". A ja powiedziałem sobie w sercu: „Ileż starych rzeczy należy wyrzucić z mojego życia! Mój Boże, wykorzeń moje złe nawyki". Kapłan wręczył mi białą koloratkę, mówiąc przy tym: „Niech Pan przyoblecze cię w nowego człowieka, który został stworzony według Boga w sprawiedliwości i świętości". Poczułem się głęboko wzruszony i w duchu rzekłem: „Mój Boże, spraw, abym zaczął rzeczywiście nowe życie w myślach, słowach i uczynkach. Maryjo, bądź moim zbawieniem".

„Wydawałem się kukiełką w nowym stroju"

Po mszy – niespodzianka. Proboszcz poprosił mnie, bym towarzyszył mu na przedmieściu Bardella, gdzie obchodzono właśnie święto patrona dzielnicy. Chciał mi tym zrobić przyjemność, ale okazało się, że charakter tej imprezy nie bardzo dla mnie pasował. Wydawałem się kukiełką w nowym stroju, która wystawia się na pokaz, aby ją chwalili.

Miało to jeszcze inne złe strony. Po tygodniach skupienia, będących okresem przygotowania do tego dnia, musiałem uczestniczyć w obiedzie wśród mężczyzn i kobiet, którzy zgromadzili się, by się pośmiać, pogadać, zjeść, popić i zabawić się. Mówiono o zabawach, grach i meczach. Cóż wspólnego mogli mieć oni z kimś, kto zaledwie parę godzin wcześniej przywdział świętą szatę, by całkowicie poświęcić się Bogu?

Proboszcz to zauważył. W drodze powrotnej do domu zapytał mnie, dlaczego przez cały czas byłem zamyślony. Szczerze mu odpowiedziałem, że poranne obrządki kłóciły się z popołudniowym nastrojem. Dodałem:

– Czy ksiądz sam zresztą nie widział tych duchownych, prawie że pijanych, i pajacujących za stołem? Niemalże obrzydzili mi postać kapłana. Gdybym miał stać się podobnym do nich, wolałbym zdjąć tę szatę i żyć jak ubogi chrześcijanin.

– Proboszcz odrzekł mi:

– Świat jest niestety taki i trzeba go brać, jakim jest. Musisz zobaczyć zło, by potem go unikać. Nikt nie zostanie dobrym żołnierzem, jeśli nie zna się na broni. My, którzy ciągle toczymy walkę z nieprzyjacielem dusz, musimy tak postępować.

– Nic na to nie odpowiedziałem, ale w duchu postanowiłem:

– Nigdy więcej nie będę uczestniczył w przyjęciach, jeśli nie okaże się to absolutnie konieczne dla chwały Bożej.

W następnych dniach wiele razy rozmyślałem nad moim stylem życia. Musiałem go radykalnie zmienić. Co prawda, i do tej pory nie byłem złym człowiekiem, ale w mojej postawie dominowały: rozproszenie, duma, chęć zabawy, bieganie, czyli rozrywki – rzeczy, które dają chwilową radość, a nie zaspokajają serca.

7 – punktowy program nowego stylu życia

By ustalić program nowego, odmiennego stylu życia, który miał mnie już na zawsze obowiązywać, sformułowałem sobie siedem postanowień:

1. Nie będę więcej uczestniczył w publicznych występach i jarmarkach. Nie będę chodził do teatru i przyglądał się zabawom. Zrobię co tylko się da, by nie uczestniczyć w obiadach i przyjęciach.
2. Nie będę więcej występował jako iluzjonista ani linoskoczek. Nie będę chodził po linie, grał na skrzypcach i uczestniczył w polowaniach, sądzę bowiem, że rzeczy te są sprzeczne z życiem księdza.
3. Zawsze znajdę czas na rozmyślania i medytacje. Będę wstrzemięźliwy w jedzeniu i piciu. Będę spał tylko tyle godzin, ile jest niezbędne dla zdrowia.
4. Dotychczas czytałem wiele książek świeckich. Odtąd, by służyć Bogu, będę czytał książki o tematyce religijnej.
5. Ze wszech sił będę zwalczał myśli, słowa i lektury sprzeczne z duchem czystości i praktykował będę wszystko, co służy zachowaniu tej cnoty.
6. Codziennie będę się modlił do Pana. Każdego dnia odprawię rozmyślanie i czytanie duchowe.
7. Codziennie opowiem kolegom, przyjaciołom i krewnym takie zdarzenia i poruszę myśli, które służą dobru. Jeśli nikogo nie spotkam, będę mówił o budujących rzeczach przynajmniej z matką.

Tak przedstawiają się postanowienia, jakie podjąłem w dniu, w którym zostałem klerykiem. Aby dobrze utkwiły w pamięci, stanąłem przed obrazem Matki Boskiej, tam je odczytałem i złożyłem jej formalne przyrzeczenie, że będę ich przestrzegał bez względu na wyrzeczenie, jakie trzeba będzie ponieść.

2. Pożegnanie mamy Małgorzaty

„To nie ubiór zdobi"

30 października miałem już być w seminarium. Mój skromny ekwipunek był gotowy. Rodzina się cieszyła, a ja jeszcze bardziej. Tylko matka spoglądała na mnie często w głębokim zamyśleniu. Chciała coś mi powiedzieć i czekała na sposobną chwilę.

W wieczór przed wyjazdem wzięła mnie na bok i powiedziała mi te oto głębokie słowa:

– Janku, przywdziałeś strój kapłański. Cieszę się z tego tak, jak tylko matka może się cieszyć, że jej syn jest na dobrej drodze. Pamiętaj jednak, że to nie szata zdobi a cnota. Gdyby któregoś dnia naszły cię wątpliwości co do twego powołania, nie okrywaj tej szaty hańbą. Zdejm ją natychmiast. Wolę mieć syna ubogiego chłopa niż zaniedbującego swe obowiązki księdza. Kiedy urodziłeś się, poświęciłam cię Matce Boskiej, a kiedy zacząłeś naukę, poleciłam ci zawsze kochać naszą Matkę. Teraz polecam ci, byś oddał Jej się cały. Kochaj tych kolegów, którzy Ją kochają. A jeśli zostaniesz księdzem, rozkrzewiaj wokół siebie miłość do Niej.

Po wypowiedzeniu tych słów głęboko się wzruszyła. Ja płakałem. Odpowiedziałem mamie:

– Mamo, dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Nigdy nie zapomnę twoich słów, zabiorę je ze sobą jako skarb na całe życie.

Wczesnym rankiem udałem się do Chieri, a wieczorem tego samego dnia przekroczyłem próg seminarium.

Program wypisany na ścianie

Przywitałem się z przełożonymi i poszedłem do pokoju przygotować sobie łóżko. Wraz z przyjacielem Garigliano obszedłem dokładnie sypialnie, korytarze i dziedziniec. Z wysokiego muru pozdrowił nas zegar słoneczny, na którym widniały słowa*: Afflictis lentae, celeres gaudentibus horae* (Dla tych, co cierpią, godziny płyną powoli, zaś dla tych, którzy mają serce wypełnione radością, biegną szybko).

Powiedziałem do Garigliano:

– Oto nasz program! Bądźmy weseli, a czas będzie szybko upływał.

Wkrótce potem zaczęły się trzydniowe rekolekcje. Starałem się odprawić je dobrze. Pod koniec udałem się do profesora filozofii, teologa Tarnavasia z Bra i poprosiłem go o rady, które pomogłyby mi dobrze się

sprawować i zasłużyć na zaufanie profesorów. Ten dobry ksiądz odpowiedział mi na to:

– Tylko jednej rady mogę ci udzielić: dokładnie wypełniaj swoje obowiązki.

Przyjąłem tę radę jako punkt wyjścia w moim seminaryjnym życiu. Starałem się dokładnie przestrzegać regulaminu i rozkładu zajęć. Skwapliwie stosowałem się do sygnałów, jakie dawał nam dzwon, zarówno wtedy, gdy wzywał nas do nauki i do kościoła, jak i wtedy, gdy przywoływał nas do refektarza, na rekreację czy na spoczynek.

Ta skrupulatność zyskała mi przyjaźń innych seminarzystów i szacunek przełożonych.

Sześć lat spędzonych w seminarium dało mi bardzo wiele.

3. Karty w seminarium

„Jak gdyby przechodził jakiś antypatyczny typ"

Dni w seminarium były mniej więcej do siebie podobne.

Najpierw przedstawię ludzi i codzienne życie, a potem opowiem o paru zdarzeniach.

Najpierw słowo o przełożonych. Bardzo ich kochałem, a oni traktowali mnie zawsze nader życzliwie, ale nie byłem w pełni zadowolony. Rektora i innych przełożonych odwiedzaliśmy tylko przy wyjeździe na wakacje i po powrocie z nich. Z nikim nie rozmawiali, chyba że mieli mu udzielić jakiejś nagany. Jeden z nich, wyznaczony po kolei, towarzyszył nam przy posiłkach i na spacerach i na tym kończyły się nasze „kontakty". Ileż to razy miałem ochotę porozmawiać z nimi, poprosić ich o radę. Kiedy miałem wątpliwości, nie wiedziałem, do kogo zwrócić się o wyjaśnienie.

Gdy któryś przełożony przechodził wśród seminarzystów, wszyscy rozstępowali się pospiesznie, jakby przechodził jakiś antypatyczny osobnik.

Wszystko to sprawiało, że chciałem jak najszybciej ukończyć seminarium i jak najprędzej zostać księdzem, by zacząć inne życie, by przebywać wśród chłopców, pomagać im i wspierać ich mą przyjaźnią.

Dziwne manewry przed przystąpieniem do Komunii

A teraz słów parę o kolegach. Dotrzymałem danego matce słowa: zaprzyjaźniłem się z tymi, którzy kochali Matkę Boską, przykładali się do nauki i byli wzorem w kościele.

Muszę przyznać, że w seminarium, obok kleryków, którzy świecili przykładem, byli także niebezpieczni osobnicy: młodzi ludzie, którzy wstąpili do seminarium, nie zastanawiając się specjalnie nad swym powołaniem, bez odpowiedniej postawy i dobrej woli. Właśnie w seminarium zdarzyło się słyszeć wiele bardzo złych słów. Krążyły niemoralne i antyreligijne książki, znalezione podczas rewizji.

Tych niebezpiecznych typów usuwano, gdy tylko dali się poznać. Sami też w pewnym momencie odchodzili, ale podczas miesięcy, jakie spędzali w seminarium, siali zarazę, a zaraza może dotknąć i dobrych i złych.

Uniknąłem tego niebezpieczeństwa, wybierając sobie na przyjaciół wspaniałych chłopców: Wilhelna Garigliano, Jana Giacomelli z Avigliana i Alojzego Comollo. Takich trzech przyjaciół, to skarb. Bardzo skrupulatnie przestrzegano praktyk religijnych. Codziennej porannej mszy towarzyszyła medytacja i różaniec. W jadalni zachowywaliśmy milczenie: przy posiłkach czytano nam *Historię Kościoła* Barcastela. Spowiadaliśmy się co dwa tygodnie, ale, kto chciał, mógł przystępować do spowiedzi co sobotę.

Komunię świętą można było przyjmować tylko w niedziele i w dni świąteczne. Jeśli ktoś chciał komunikować w czasie tygodnia, mógł to robić za cenę nieposłuszeństwa. Podczas gdy inni udawali się na śniadanie, trzeba się było wymknąć do kościoła św. Filipa, i po przyjęciu Komunii, dołączyć do reszty w drodze do szkoły czy też samej sali wykładowej. Regulamin zabraniał tego rodzaju manewrów, ale nasi przełożeni, choć doskonale widzieli, co się dzieje, nic nie mówili. Milcząco aprobowali.

Stosując ten dziwny system, mogłem wielokrotnie przyjmować Komunię, muszę stwierdzić, że był to najskuteczniejszy pokarm dla mego powołania.

Ten, negatywny jak sądzę, szczegół życia w seminarium, usunął arcybiskup Gastaldi. Klerycy, jeśli tylko czują się przygotowani, mogą Eucharystię przyjmować codziennie.

Król i walet

W wolnych chwilach grywaliśmy zwykle w „złamany drąg". Na początku gra ta strasznie przypadła mi do gustu, ale potem stwierdziłem, że była bardzo podobna do numerów linoskoczków, z których postanowiłem zrezygnować, więc przestałem się w nią zabawiać.

W niektóre dni mogliśmy grać w taroki i przez jakiś czas było to moją ulubioną rozrywką, ale i ten medal miał dwie strony. Choć nie byłem nadzwyczajnym graczem, prawie zawsze wygrywałem i pod koniec partii miałem pełno pieniędzy. Niemniej jednak, widząc przygnębienie kolegów, którzy przegrali, ogarniał mnie jeszcze większy smutek. Poza tym, wskutek tego, że byłem bardzo przejęty kartami, nawet wtedy gdy studiowałem czy modliłem się, stał mi przed oczami król i walet. Z tego powodu, w połowie drugiego roku filozofii, postanowiłem rzucić również karty.

Kiedy czasu wolnego było więcej, organizowaliśmy wesołe wycieczki piesze do tonących w zieleni małych miejscowości w okolicach Chieri. Wycieczki te służyły zresztą nauce, ponieważ improwizowaliśmy podczas nich quizy z pytaniami i odpowiedziami dotyczącymi przedmiotów szkolnych oraz innych zagadnień.

Zimą, gdy padało lub było chłodno, spotykaliśmy się w jadalni w seminarium. Odbywały się tam ożywione dyskusje na najróżniejsze tematy, zaczerpnięte z życia szkoły i spoza niej. Ten „szkolny klub", w którym byłem przewodniczącym i bezapelacyjnym sędzią, stanowił dla mnie prawdziwą przyjemność, a zarazem służył kształtowaniu w nas dobroci, pogłębianiu nauki i zachowaniu zdrowia. Najciekawsze pytania stawiał zawsze Alojzy Comollo, który wstąpił do seminarium rok po mnie. Dominik Peretti, przyszły proboszcz w Buttigliera, mówił jak młody orator i na każde pytanie miał zawsze gotową odpowiedź. Garigliano odzywał się mało, ale przysłuchiwał się bardzo uważnie a jego komentarze i refleksje były bardzo trafne. W tych pogawędkach wyłaniało się wiele problemów i zagadnień naukowych, którym żaden z nas nie był w stanie sprostać czy dogłębniej je przedstawić. Dzieliliśmy się wtedy pracą. Każdemu przydzielano jedno pojęcie lub kwestię do opracowania i na następnym spotkaniu referował wyniki swych poszukiwań naukowych.

Kiedy Alojzy ciągnął mnie za rękaw

Alojzy często przerywał mi zajęcia rekreacyjne. Ciągnął mnie za rękaw, na znak, bym poszedł z nim do kościoła. Tam kazał mi się modlić: składaliśmy pokłon przed Najświętszym Sakramentem, modliliśmy się za umierających, odmawialiśmy różaniec i litanię do Matki Boskiej za dusze w czyśćcu.

Ten wspaniały chłopak był dla mnie prawdziwym skarbem. Potrafił wybrać najodpowiedniejszy moment, by przestrzec mnie przed czymś, poprawić czy dodać otuchy, a wszystko to robił w tak ujmujący i serdeczny sposób, że sprawiało mi to przyjemność.

Bardzo się zaprzyjaźniliśmy ze sobą. Starałem się go naśladować, choć byłem daleko z tyłu, ale faktem jest, że jeśli nie zepsuli mnie najbardziej lekkomyślni koledzy i wytrwałem w powołaniu, to właśnie zawdzięczam jemu.

W jednej tylko rzeczy nawet nie próbowałem go naśladować; w umartwianiu się. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, a przestrzegał ścisłego postu przez cały okres Wielkiego Postu i w każdą sobotę ku czci Matki Boskiej. Często nie jadł śniadania, a jego obiad składał się niekiedy tylko z wody i chleba. Z łagodną cierpliwością znosił nieuprzejme słowa i chłodną pogardę. W kościele i w szkole był we wszystkim nader skrupulatny.

Wydawało się wręcz niemożliwością, by potrafił osiągnąć tak wiele. Był mi więcej niż przyjacielem, był ideałem, najwyższym wzorem cnót i ciągłym bodźcem, by otrząsnąć się z lenistwa i być choć trochę podobnym do niego.

4. Wakacje

W polu przy żniwach

Wakacje są na ogół okresem bardzo dla kleryków niebezpiecznym. W moich czasach tym większym, że trwały cztery i pół miesiąca.

Starałem się wtedy zajmować lekturą i pisaniem, ale ponieważ nie potrafiłem narzucić sobie ściśle określonego rozkładu zajęć, często prowadziło to do niczego. Zabijałem więc czas zajęciami technicznymi, stawałem przy tokarce, brałem się za hebel i młot tokarski, kroiłem i szyłem odzież, robiłem buty. W moim domu w Morialdo stoi jeszcze parę „arcydzieł" sporządzonych przeze mnie podczas takich właśnie wakacji: biurko, stół i kilka krzeseł.

Poza tym z sierpem w ręku szedłem kosić trawę i zboże. W piwnicy przygotowywałem beczki, wytłaczałem winorośl i ściągałem młode wino.

Chłopcom mogłem poświęcić tylko dni świąteczne. Wielu z nich dochodziło już do 16-go czy 17-go roku życia, a nie wiedzieli nic o wierze. Bardzo cieszyło mnie, że mogłem ich uczyć katechizmu.

Młodszych chłopców, szczerze garnących się do nauki, uczyłem czytać i pisać. Te lekcje były bezpłatne, ale stawiałem uczniom trzy warunki: pilność, uwagę i miesięczną spowiedź. Niektórzy nie zgadzali się na nie i odchodzili, ale to nie szkodziło: pozostali rozumieli, że nie chodziło tu o drobnostkę i poważnie się przykładali do pracy.

„Prościej, prościej, prościej"

Za zgodą mojego proboszcza zacząłem wygłaszać kazania. Podczas wakacji w 1838 roku mówiłem kazanie we wsi Alfiano w święto Matki Boskiej Różańcowej. Po pierwszym roku teologii, w święto św. Bartłomieja Apostoła przemawiałem w kościele w Castelnuovo. W Capriglio wygłosiłem kazanie na święto Narodzenia Matki Boskiej. Nie wiem, jaki pokarm duchowy czerpali ludzie z moich kazań. Wszędzie oklaskiwano mnie i zaczynała mnie rozpierać próżność, gdy pewnego dnia dostałem pewną lekcję.

Po skończeniu kazania w Capriglio spytałem o zdanie człowieka, który wyglądał na inteligentnego. Obsypał mnie nie kończącymi się pochwałami:

– Kazanie księdza o duszach w czyśćcu było wspaniałe! A ja przecież mówiłem o wielkości Matki Boskiej...

W Alfiano zapytałem o opinię proboszcza, ks. Józefa Pelato, człowieka bardzo doświadczonego i głęboko wierzącego.

– Proszę mi szczerze powiedzieć, co ksiądz myśli o moim kazaniu?

– Było bardzo ładne i uporządkowane. Przemawiałeś w dobrym języku, cytując wiele fragmentów z *Biblii*. Jeśli tak dalej będziesz pracował, staniesz się poszukiwanym kaznodzieją.

– Ale czy ludzie coś zrozumieli?

– Niewiele. Mój brat ksiądz, paru jeszcze innych – tak.

– A przecież myśli te nie były trudne.

– To tobie wydają się proste, dla ludzi są za bardzo wzniosłe. Ludzie nie nadążają za tokiem rozumowania opartego na refleksjach z Pisma świętego i popartego przykładami z historii Kościoła.

– Co ksiądz mi radzi?

– Porzucić język i styl klasyków, mówić dialektem, lub jeśli chcesz po włosku, ale prościej, prościej, prościej. Zamiast abstrakcyjnego rozumowania, przytaczać przykłady, robić proste, z życia wzięte porównania. Pamiętaj, że ludzie nie wszystko rozumieją i że prawdy wiary należy wykładać możliwie prosto.

Ta ojcowska rada posłużyła mi na całe życie. Zachowuję do tej pory te pierwsze kazania, dowody mego zawstydzenia. Kiedy dziś biorę je do ręki, nie widzę w nich nic innego jak próżność i chęć bycia „modnym". Bóg miłosierny dał mi tę bezcenną lekcję, która przydała mi się później przy głoszeniu kazań, uczeniu katechizmu i pisaniu książek.

5. Wolne dni na wzgórzach Monferrato

Rzucano kieliszkami i ciskano pogróżkami

Kiedy mówiłem, że wakacje są niebezpiecznym okresem dla kleryków, miałem między innymi na myśli siebie. Zupełnie nieświadomie biedny kleryk może się znaleźć w poważnych opałach i mnie też zdarzyło się właśnie coś takiego.

Któregoś roku moi krewni zaprosili mnie na przyjęcie. Nie chciałem na nie iść, ale mój wuj zaczął bardzo nalegać, ponieważ jak mówił, nie było żadnego kleryka do pomocy proboszczowi w kościele. Po usilnych prośbach, ustąpiłem.

Podczas mszy świętej służyłem przy ołtarzu i śpiewałem. Potem przyszła pora na obiad. Na początku wszystko było dobrze. Ale kiedy wino zaczęło wprawiać wszystkich w dobry humor, a niektórych nawet za dobry, rozmowy przybrały charakter zupełnie nie do przyjęcia dla kleryka. Próbowałem skierować je na inne tory, ale mój głos ginął w ogólnym gwarze.

Nie wiedziałem, co robić, więc postanowiłem pójść. Wziąłem kapelusz i wstałem, ale wuj mnie zatrzymał. Jeden z gości, pijany, zaczął znieważać wszystkich obecnych. Inny, który też za dużo wypił, wstał z zamiarem rzucenia się na niego. Doszło do kłótni jak w jakiejś knajpie, poleciały kieliszki, zaczęto się obrzucać wyzwiskami. Potem za broń posłużyły talerze, butelki, łyżki i widelce. Ktoś wyciągnął nawet nóż.

Zrozumiałem, że jedyną rozsądną rzeczą, jaka pozostawała do zrobienia, było opuszczenie towarzystwa, więc wymknąłem się. Po powrocie do domu ponowiłem gorące postanowienie, które już kiedyś powziąłem: unikać hulanek, by nie zniszczyć przyjaźni z Bogiem.

Połamane skrzypce

Inne nieprzyjemne zdarzenie miało miejsce w Croveglia, podmiejskiej dzielnicy Buttigliera. Obchodzono właśnie święto św. Bartłomieja i inny wuj zaprosił mnie, bym uczestniczył w obrządkach kościelnych. Miałem służyć do mszy, śpiewać i grać na skrzypcach. Bardzo kochałem ten instrument, ale wyrzekłem się go w dniu, w którym zostałem klerykiem.

W kościele wszystko szło dobrze.

Po mszy wujek zaprosił nas na obiad do siebie, jako że to on właśnie był odpowiedzialny za organizację uroczystości. Przy stole nie było na szczęście żadnych ekscesów.

Potem goście poprosili mnie, bym coś zagrał dla rozweselenia. Odmówiłem, ale obecny na obiedzie muzykant poprosił:

– Ja będę grał daną melodię, a ksiądz niech tylko mi akompaniuje.

Fakt, że nie potrafiłem w tym momencie powiedzieć nie, zasługuje na pogardę. W każdym bądź razie graliśmy już od paru minut, gdy usłyszałem jakieś szepty i zauważyłem jakieś ruchy. Podszedłem do okna i zobaczyłem, że na podwórzu tłum ludzi tańczył wesoło przy dźwiękach naszej muzyki. Ogarnął mnie gniew.

– Jak to? – powiedziałem do wszystkich. – To ja mówię w kazaniach, że nie powinno się organizować publicznych zabaw, a wy mi każecie przygrywać, by móc potańczyć na podwórzu? Nigdy więcej do tego nie dopuszczę!

Połamałem skrzypce na drobne kawałki i już nigdy nie wziąłem do rąk instrumentu, nawet wtedy, gdy była okazja, by zagrać w kościele.

Ostatnie polowanie

Jeszcze jedna wakacyjna historia. Latem i jesienią, przy pomocy używanych wówczas środków: lepu, klatek, czasami strzelby, łowiłem ptaki. Pewnego ranka mignął mi przed oczami zając. Pogoniłem za nim. Biegnąc za nim przez pola i winnice, przebiegłem w końcu całą dolinę i znalazłem się na wzgórzach.

Zabrało mi to wiele godzin. Wreszcie zwierzątko znalazło się w polu strzału, przymierzyłem się i trafiłem je. Biedne zwierzę upadło, a ja, widząc jego śmierć, poczułem wielki smutek. Ponieważ było ze mną paru przyjaciół, gratulowali mi wspaniałego strzału. Ale ja spojrzałem na siebie: bez szaty kleryka, a nawet bez marynarki, w słomkowym kapeluszu, ze strzelbą w ręku i zadyszany po pięciokilometrowym biegu, wyglądałem jak przemytnik.

Poczułem się upokorzony, przeprosiłem przyjaciół za ten niegodny spektakl i natychmiast wróciłem do domu.

Po raz drugi postanowiłem sobie wtedy, że już nigdy nie pójdę na polowanie i tym razem, przy pomocy Pana, dotrzymałem obietnicy. Niech Bóg mi wybaczy gorszące widowisko, którego byłem sprawcą w ten ostatni dzień.

Te trzy zdarzenia były dla mnie jedyną w moim rodzaju nauczką. Jeśli rzeczywiście chce się służyć Panu, trzeba jak najwięcej czasu poświęcać na skupienie i refleksje, a odrzucić wszelkie materialne rozrywki. Nie dlatego, by same w sobie obrażały one Boga, ale dlatego, że przy ich okazji mówi się i robi rzeczy, które narażają na szwank przyjaźń z Bogiem, a On nakazał nam przecież, byśmy byli czyści w myślach, słowach i uczynkach.

Gotowanie kurczaka

Zawsze byłem bliskim przyjacielem Alojzego Comollo, dopóki Bóg zachował go przy życiu. Podczas wakacji wielokrotnie jeździłem do niego, a on do mnie. Pisaliśmy także do siebie. Ja widziałem w nim prawdziwego „świętego chłopca" i kochałem go za jego niespotykaną dobroć. Gdy byliśmy razem, pomagałem mu w nauce i starałem się choć trochę go naśladować.

Po pierwszym roku teologii Alojzy przyjechał do mnie na jeden dzień. Mój brat i matka byli przy żniwach w polu. Alojzy dał mi do przeczytania kazanie, jakie miał wygłosić na święto Wniebowzięcia i wygłosił je przede mną, jak gdybym był słuchaczami w kościele.

Czas mijał i w pewnej chwili spostrzegliśmy się, że już pora na obiad. Byliśmy sami w domu, i nie bardzo wiedzieliśmy, jak się zabrać do gotowania.

– Ja podpalę w piecu – powiedział Alojzy, a ty przygotuj garnek. Coś tam ugotujemy.

– Matka powiedziała, żebym ugotował kurczaka – odpowiedziałem na to. – Będzie z tego i pierwsze i drugie danie. Trzeba jednak najpierw złapać go.

Po krótkiej pogoni udało nam się schwytać kurczaka. Teraz trzeba było go zabić, ale kto to miał zrobić? Ani Alojzy, ani ja nie czuliśmy się na siłach. Wreszcie znaleźliśmy kompromis: Alojzy miał szyję kurczaka na pniu, a ja miałem uciąć mu głowę sierpem. Jednym uderzeniem uciąłem łeb kurczakowi, ale widok tryskającej krwi przeraził nas obu i odskoczyliśmy do tyłu.

Zapadliśmy w smutne milczenie, ale po paru chwilach Alojzy otrząsnął się:

– Jacy my jesteśmy głupi. Przecież Pan dał nam zwierzęta na pokarm. Czego się więc brzydzimy?

Odważnie zabraliśmy się do skubania kurczaka, ugotowaliśmy go i zjedliśmy.

Bardzo chciałem pojechać do Cinzano, żeby wysłuchać kazania Alojzego o Wniebowzięciu, ale tego samego dnia też miałem głosić kazanie w innej parafii, więc do Cinzano udałem się następnego dnia. Słowa Alojzego bardzo się spodobały i wiele osób wyrażało przede mną swoje zadowolenie.

Improwizacja na temat św. Rocha

16 sierpnia przypadało święto św. Rocha. Nazywamy je „świętem garnków", bo w ten dzień zaprasza się krewnych i przyjaciół na obiad, a potem razem spędza się wesoło resztę dnia.

To, co wówczas mi się przydarzyło, świadczy o tym, jak daleko posuwała się moja śmiałość. Miał przyjechać do nas kaznodzieja, by mówić o św. Rochu. Ale gdy nadszedł moment kazania, nadal go jeszcze nie było. Proboszcz z Cinzano siedział jak na szpilkach. Z sąsiednich wsi zjechało na święto wielu proboszczów, więc widząc, że nasz ksiądz zupełnie stracił głowę, zwróciłem się do każdego po kolei z prośbą, by powiedział parę słów do zgromadzonych w kościele ludzi.

Nikt nie czuł się na siłach. Jeden wręcz na moje naleganie powiedział w rozdrażnieniu:

– Ależ ksiądz zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego co mówi. Czy sądzi ksiądz, że improwizować kazanie o św. Rochu to tak jak wypić kieliszek wina? Niech ksiądz sam spróbuje!

Powiedział to na głos i wszyscy mu przytaknęli. Upokorzony, ale podrażniony w mej dumie, odpowiedziałem:

– Nie miałem śmiałości wysuwać się przed innych, ale skoro nikt nie chce, to wygłoszę to kazanie.

Zaintonowano hymn, by dać mi czas na zebranie myśli. Ponieważ czytałem kiedyś żywot św. Rocha, więc teraz przypomniałem sobie główne

wiadomości i fakty i wszedłem na kazalnicę. Było to jedno z piękniejszych kazań, jakie udało mi się wygłosić.

„Mam nadzieję, że będę pił lepsze wino”

Tego samego dnia poszedłem na krótką przechadzkę z Alojzym Comollo. Weszliśmy na wzgórze, z którego widać było jak na dłoni łąki, pola i winnice.

– Popatrz, jaka w tym roku susza! – powiedziałem. – Zbiory są bardzo małe. Biedni chłopi: tyle pracy i żadnego efektu!

– Ręka Pana ciąży nad nami – odpowiedział. – Uwierz mi: przyczyną wszystkiego są nasze grzechy.

– Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku Pan da nam lepszą pogodę!

– Mam nadzieję. Szczęśliwi, którzy to zobaczą.

– Nie mówmy o takich smutnych rzeczach. W tym roku będzie gorzej, mówi się trudno, ale zobaczysz, że w przyszłym roku będą wspaniałe zbiory i znów będziemy pić doskonałe wino.

– Ty je będziesz pił.

– A ty? Jak zwykle będziesz pił wodę?

– Nie. Mam nadzieję, że będę pił dużo lepsze wino.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A, zostawmy to. Pan wie.

– Nie zmieniaj tematu. Co chciałeś powiedzieć mówiąc, że masz nadzieję pić dużo lepsze wino? Że pójdziesz do nieba?

– Nie jestem pewien, czy po śmierci pójdę do raju, ale mam nadzieję, że tak. Od jakiegoś czasu tak bardzo pragnę odejść już do domu Bożego, że wydaje mi się niemożliwością, bym długo jeszcze żył tu na ziemi.

Alojzy mówił te słowa z twarzą promieniującą radością. A przecież cieszył się wówczas doskonałym zdrowiem i miał wrócić ze mną do seminarium.

6. Wiadomości z tamtego świata

Ostatnie spojrzenie było jak podpis

Wydarzenia, które poprzedziły i towarzyszyły śmierci Alojzego Comollo, opisałem już w jego biografii[13], więc tych, którzy chcą ją poznać, odsyłam do tamtej książki.

Tu pragnę przypomnieć tylko pewien fakt, o którym tylko wspomniałem w biografii, a o którym było bardzo głośno.

Byliśmy związani tak głębokimi więzami przyjaźni, że zupełnie otwarcie mówiliśmy o wszystkim, co może się zdarzyć, między innymi i o tym, że jeden z nas umrze.

Pewnego dnia, gdy czytaliśmy razem dłuższy fragment biografii jakiegoś świętego, któryś z nas pół żartem a pół serio powiedział:

– Byłoby wspaniale, gdyby ten z nas, który umrze pierwszy mógł przynieść drugiemu wiadomość z tamtego świata.

Wiele razy powracaliśmy jeszcze do tego tematu, aż wreszcie umówiliśmy się:

– Ten, który umrze wcześniej, przyjdzie, jeśli Bóg pozwoli, powiedzieć drugiemu, czy jest zbawiony.

Nie przywiązywałem wielkiej wagi do tej umowy, zawartej nieco lekkomyślnie *(odradzam wszystkim tego rodzaju pakty!),* niemniej jednak, zwłaszcza podczas ostatniej choroby Alojzego, potwierdziliśmy i odnowiliśmy ją wiele razy. Mogę wręcz powiedzieć, że ostatnie słowa i ostatnie spojrzenie Alojzego było jak podpis złożony pod umową. Wielu naszych kolegów wiedziało o całej sprawie.

[13] Ks. Bosko opublikował pierwsze wydanie tej biografii w 1844 r., pod tytułem *Zarys historyczny życia kleryka Alojzego Comollo, zmarłego w seminarium w Chieri i podziwianego przez wszystkich za swe wyjątkowe cnoty”.* Po pierwszym przyszły trzy kolejne wydania, w latach 1854, 1867 i 1884. To ostatnie wzbogacono o pełny opis ukazania się Alojzego Comollo, w poprzednich wydaniach tylko pokrótce wspomnianego.

„Bosko, jestem zbawiony”

Alojzy Comollo zmarł 2 kwietnia 1839 roku, a następnego dnia wieczorem został pochowany z wielkim bólem w kościele św. Filipa.

Ci, którzy wiedzieli o naszej umowie, z niecierpliwością czekali na to, co się wydarzy. Ja też oczywiście myślałem o tym. Miałem nadzieję, że „wiadomość”, jaką Alojzy mi prześle, złagodzi nieco ogromny ból po jego stracie.

Wieczorem tego samego dnia leżałem już w łóżku w sypialni, w której spało około dwudziestu seminarzystów. Byłem cały podekscytowany. „Dziś w nocy wypełni się przyrzeczenie”, myślałem.

Około w pół do dwunastej w korytarzach rozległ się głuchy odgłos, jakby olbrzymi, ciągnięty przez wiele koni wóz zbliżał się do drzwi sypialni. Z każdą minutą dźwięk ten stawał się coraz bardziej posępny, jak grzmot. Cała sypialnia się trzęsła. Przerażeni klerycy wyskoczyli ze swych łóżek i stłoczyli się w jednym kącie. I wtedy właśnie, wśród posępnego łoskotu gromu, rozległ się jasny głos Alojzego Comollo, który po trzykroć powiedział: „Bosko, jestem zbawiony”[14].

Wszyscy klerycy słyszeli łoskot, wielu słyszało także głos, ale nie zrozumiało słów, natomiast kilku, tak jak ja, zrozumiało je doskonale, tak że przez długi jeszcze czas przekazywano je sobie z ust do ust. Po raz pierwszy wtedy tak się przeraziłem; tak bardzo, że aż się poważnie rozchorowałem i byłem bliski śmierci.

Odradzam wszystkim zawieranie takiej jak nasza umowy. Bóg jest wszechmocny i miłosierny. Zwykle nie zwraca uwagi na takie umowy, ale czasami w swej nieskończonej dobroci pozwala, by się wypełniły, jak to się zdarzyło mnie.

[14] Dwa pisemne świadectwa, zachowane w Centralnym Archiwum Salezjańskim, potwierdzają ukazanie się Comollo w sypialni kleryków w Chieri. Jedno wyszło spod pióra ks. Michała Chiantore, mieszkającego w Chieri w tej samej sypialni co ks. Bosko; drugie - spod pióra Genowefy Fiorito, siostry ks. Józefa Fiorito, który był opiekunem sypialni w okresie, gdy to nastąpiło. Genowefa Fiorito zaświadcza, że brat opowiadał o tym wydarzeniu wielokrotnie (p. F. Desramaut, *Wspomnienia I G.B. Lemoyne,* str. 113 i 74, przyp. 21).

7. Słowa księdza Borela zawsze miały głębszy sens

Cenne sto dwadzieścia lirów

W seminarium zawsze się czułem dobrze i byłem w dobrych stosunkach z kolegami i ze wszystkimi przełożonymi.

W szóstym miesiącu każdego roku szkolnego zdawaliśmy egzamin ze wszystkich przedmiotów. Ten, kto dostawał najlepsze oceny z nauki i ze sprawowania dostawał nagrodę w wysokości sześćdziesięciu lirów. Przy Bożej pomocy w ciągu sześciu spędzonych w seminarium lat za każdym razem ta nagroda przypadała mnie.

Będąc na drugim roku teologii, zostałem zakrystianinem. Nie było to nic wielkiego, ale przynosiło rocznie sześćdziesiąt lirów i przełożeni w swej dobroci przyznali tę funkcję mnie. Nagroda szkolna i „pensja” zakrystianina wystarczały mnie na zapłacenie połowy opłaty za internat. Drugą połowę płacił za mnie miłosierny ks. Cafasso. Do moich obowiązków jako zakrystianina należało utrzymywanie kościoła w czystości, sprzątanie ołtarza i wszystkich przedmiotów liturgicznych.

Słowa z głębszym sensem

W tym samym roku miałem szczęście poznać jednego z najlepszych turyńskich księży, ks. Jana Borela. Prowadził u nas rekolekcje. Zawarliśmy znajomość w zakrystii, a największe wrażenie wywarły na mnie jego wesołość i żartobliwe, ale zawsze zawierające głębszy sens duchowy, słowa.

Przyglądałem się jego przygotowaniu i podziękowaniu podczas mszy świętej oraz postawie wyrażającej głęboką wiarę podczas celebrowania i od razu zauważyłem, że był wspaniałym kapłanem.

Podziwiałem prostotę, jasność i żywość jego kazań oraz słowa przepełnione miłosierdziem. Nietrudno było zrozumieć, że mamy przed sobą świętego.

Wszyscy poszliśmy do niego do spowiedzi. Wielu mówiło mu o swym powołaniu i prosiło go o jakieś wskazówki. Ja też poszedłem porozmawiać z nim o moich problemach duchowych. Poprosiłem go o radę, ponieważ

zawsze bałem się, że w ciągu roku, a zwłaszcza podczas wakacji, utracę powołanie. Odpowiedział mi na to:

– Przystępowanie do Komunii świętej i umiejętność skupienia się w milczeniu przed Bogiem podtrzymują powołanie i przygotowują do prawdziwego kapłaństwa.

Te rekolekcje przyniosły wszystkim wiele dobrego, tak że długo jeszcze potem wspominaliśmy słowa ks. Borela, które bardzo nam pomogły.

8. Pochylony nad białymi kartkami

Niewielka książeczka otwierająca horyzont

W mojej nauce popełniałem poważny błąd. W szkole średniej czytałem dniami i nocami dzieła klasyków pogańskich. Szczerze podziwiałem legendy i mity greckie i rzymskie, pisane olśniewającym wprost językiem.

W porównaniu z nimi dzieła pisarzy chrześcijańskich nie podobały mi się i w końcu zacząłem sądzić, że nie da się pogodzić religii chrześcijańskiej z pięknym językiem i wielką poezją. Nawet utwory Ojców Kościoła wydawały mi się pozbawione większych walorów artystycznych. Zasady religijne były w nich wyłożone jasno i przekonywująco, ale w sposób, który ze sztuką nie miał wiele wspólnego.

Na szczęście Opatrzność pomogła mi zmienić zdanie. Na początku drugiego roku filozofii poszedłem pewnego dnia złożyć pokłon Jezusowi w tabernakulum. Nie mając przy sobie książki do nabożeństwa, przeczytałem parę rozdziałów znalezionego na ławce modlitewnika *O naśladowaniu Chrystusa.* Byłem zdumiony głębią myśli i prostotą oraz pięknem wykładu. Pomyślałem, że autor tej książki musiał być wielkim pisarzem.

Wielokrotnie wracałem jeszcze potem do tej małej a tak wielkiej książki i odkryłem, że w jednej jej linijce było więcej mądrości niż w grubych tomach autorów starożytnych.

Lektura *O naśladowaniu Chrystusa* położyła kres lekturom świeckim. Wkrótce potem przeczytałem *Dzieje Starego i Nowego Testamentu* Calmeta, *Zabytki starożytności judejskiej* Józefa Flawiusza, *Refleksje o religii* wielebnego Marchettiego, dzieła Frayssinousa, Balmesa, Zucconiego oraz wiele innych utworów o chrześcijaństwie. Bardzo mi się spodobała *Historia Kościoła* Fleury'ego (nie wiedziałem, że zalecano lektury tych 20 tomów), a z jeszcze większą przyjemnością przeczytałem książki Cavalca, Passavantiego, Segneriego i *Dzieje Kościoła* Henriona.

Można by zadać pytanie, czy czytanie wszystkich tych książek nie przeszkadzało mi w nauce szkolnej. Spokojnie mogę na to odpowiedzieć, że nie, bo nadal dopisywała mi świetna pamięć, wystarczało więc, bym uważał na lekcji i przeczytał materiał z podręcznika, a przeznaczony na naukę własną czas mogłem wykorzystywać na lekturę. Przełożeni wiedzieli zresztą o tym, ale zostawiali mi wolną rękę.

Sam na sam z Homerem

Szczególnie leżała mi na sercu nauka greki. Zacząłem jej się uczyć w szkole średniej. Z tego właśnie okresu datowała się moja znajomość gramatyki greckiej i pierwsze próby tłumaczeń.

W 1836 roku nadarzyła się doskonała sposobność, by pogłębić dotychczas zdobyte wiadomości. Turynowi zagrażała epidemia cholery i Ojcowie Jezuici postanowili przenieść na ten czas poza miasto, w przeznaczonym na wypoczynek domu, w zamku w Montaldo k. Turynu, uczniów kolegium del Carmine.

Ponieważ przeniesiono tam zarówno uczniów zamieszkałych w internacie jak i dochodzących, do opieki nad nimi potrzeba było dwa razy tyle co zwykle wychowawców i korepetytorów. Ks. Cafasso, do którego zwrócono się z prośbą o polecenie paru chętnych do tej pracy kleryków, wymienił mnie jako kandydata na wychowawcę jednej sali i korepetytora od języka greckiego.

Okoliczności skłoniły mnie więc do poważniejszego zajęcia się tym językiem. Wśród Jezuitów był niejaki ojciec Bini, doskonały znawca greki, który bardzo mi w tym pomógł. W ciągu czterech miesięcy pomagał mi tłumaczyć cały *Nowy Testament,* pierwsze dwie księgi *Iliady* Homera i *Ody*

Pindara i Anacreonta, a ponieważ wykazałem wiele dobrej woli, postanowił i później mi pomagać. Przez cztery lata wysyłałem co tydzień tłumaczenie grecko-włoskie lub włosko-greckie, które on następnie skrupulatnie poprawiał i odsyłał mi opatrzone stosownymi uwagami. Dzięki temu mogłem posługiwać się greką z taką samą łatwością, z jaką posługiwałem się łaciną.

W tym samym czasie uczyłem się także francuskiego oraz zabrałem się do podstaw języka hebrajskiego. Nauka tych trzech języków: greki, hebrajskiego i francuskiego była zawsze dla mnie dużą przyjemnością.

9. Ksiądz na całe życie

Podanie do arcybiskupa

W 1840 roku, a więc w rok po śmierci Alojzego Comollo, wygolono mi tonsurę i otrzymałem cztery niższe święcenia.

Przyszło mi wtedy na myśl, że mogę wykorzystać okres wakacji na nadrobienie roku nauki. Pozwolenia na to udzielano co prawda w tych czasach nader rzadko. Nie mówiąc nikomu ani słowa, udałem się osobiście do arcybiskupa Fransoniego i poprosiłem go o zezwolenie na przestudiowanie latem przedmiotów objętych programem czwartego roku nauki, co pozwoliłoby mi ukończyć 5-letnią naukę teologii w roku szkolnym 1840/1841. Jako powód główny podałem wiek: kończyłem już wówczas dwadzieścia cztery lata.

Arcybiskup przyjął mnie bardzo serdecznie, przeanalizował wyniki, jakie osiągałem dotychczas na egzaminach i udzielił mi zgody pod warunkiem, ze do listopada zdam wszystkie przewidziane na czwarty rok egzaminy. Na egzaminatora wyznaczono Cinzano, proboszcza z Castelnuovo.

W ciągu dwóch miesięcy intensywnej pracy przygotowałem a następnie zdałem przewidziane egzaminy i zostałem dopuszczony do święceń na subdiakona[15].

Myśl, która przeraża

Kiedy powracam myślą do tego decydującego kroku w moim życiu, myślę, ze nie byłem dostatecznie przygotowany, ponieważ nie posiadałem wszystkich koniecznych zalet. A że nie było nikogo, kto by bezpośrednio kierował moim powołaniem, poradziłem się ks. Cafasso, a on powiedział mi, żebym zaufał jego słowu i bez obaw szedł naprzód.

Na dziesięć dni zamknąłem się w milczeniu na rozważania w Domu Misyjnym w Turynie. Odbyłem ogólną, tj. obejmującą całe moje życie spowiedź, by zapytać spowiednika, czy jego zdaniem byłem już gotów do podjęcia zobowiązania na całe życie. Pragnąłem iść naprzód, ale drżałem jednocześnie na myśl o związaniu się na zawsze i dlatego nie chciałem podejmować decyzji o ostatecznym wstąpieniu na drogę kapłaństwa bez pełnej aprobaty spowiednika.

Od tej chwili z największą gorliwością starałem się realizować radę ks. Borela: „Przystępowanie do Komunii świętej i umiejętność skupienia się w ciszy przed Bogiem podtrzymują powołanie i kształtują prawdziwego księdza".

Wróciłem do seminarium, gdzie wpisano mnie na piąty rok. Mianowano mnie także wychowawcą, co było najwyższym stanowiskiem, jakie powierzano ubogim klerykom.

19 marca 1841 roku otrzymałem święcenia na diakona, a 5 czerwca miałem zostać wyświęcony na księdza.

Dzień, w którym miałem ostatecznie opuścić seminarium, był dniem bardzo smutnym. Przełożeni bardzo lubili mnie i okazywali mi to przy każdej okazji. Koledzy przyjaźnili się ze mną i można wręcz powiedzieć, że ja żyłem

[15] Subdiakonat był w tym czasie decydującym krokiem w życiu tych, którzy zamierzali zostać kapłanami. Otrzymując go, składali *uroczyste śluby czystości na* całe życie, z którego Kościół nie zwalniał nikogo i z żadnego powodu. Przygotowującego się do tego święcenia kleryka czekało dziesięć dni odosobnienia, czyli dni skupienia, podczas których miał odbyć spowiedź generalną, obejmującą całość jego chrześcijańskiego życia, która pozwoliła zarówno jemu samemu jak i spowiednikowi, przedstawicielowi Boga, ocenić, czy był w stanie ostatecznie i na zawsze wstąpić na drogę *kapłaństwa.*

dla nich, a oni dla mnie. Do mnie przybiegali wszyscy, którzy musieli się ogolić, mieli ubranie do uszycia czy naprawienia, bądź potrzebowali biretu.

Opuszczenie domu, w którym przeżyłem sześć lat życia, otrzymałem wykształcenie i przygotowanie duchowe do kapłaństwa, a oprócz tego spotkałem się z tyloma oznakami dobroci i sympatii, bardzo wiele mnie kosztowało.

Pierwsza msza

Święcenia kapłańskie otrzymałem 5 czerwca 1841 roku, w przeddzień święta Przenajświętszej Trójcy, a pierwszą mszę celebrowałem w kościele św. Franciszka z Asyżu, w asyście ks. Cafasso. Z niecierpliwością oczekiwano co prawda na mnie w mojej wsi, gdzie od lat nie było Prymicji, ale ja wolałem zrobić to w Turynie bez rozgłosu. Mogę stwierdzić, że był to najpiękniejszy dzień w moim życiu. W chwili, gdy wspomina się podczas mszy wszystkich, których darzy się miłością, przypomniałem przed Bogiem moich profesorów i tych, którzy czynili mi dobro. Ze szczególnym uczuciem wspomniałem ks. Calosso, którego zawsze uważałem za wielkiego i wspaniałego dobroczyńcę.

W poniedziałek odprawiłem moją drugą mszę w Sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia. Podziękowałem Najświętszej Pannie za tak wiele łask, które wyjednała mi u swego Syna Jezusa.

We wtorek udałem się do Chieri i celebrowałem mszę w kościele św. Dominika. Żył jeszcze mój profesor ks. Giusiana. Uścisnął mnie serdecznie, a podczas mszy długo płakał ze wzruszenia. Spędziłem z nim cały ten dzień prawdziwie rajski.

We czwartek przypadało święto *Bożego Ciała (wówczas święto obowiązujące)*. Odśpiewałem mszę w mojej wsi w otoczeniu bliskich, a podczas uroczystej procesji niosłem Najświętszy Sakrament przez uliczki Castelnuovo. Proboszcz zaprosił na obiad moich krewnych, księży i zarząd miasteczka. Wszyscy kochali mnie i cieszyli się wraz ze mną.

Wieczorem wróciłem do domu. Gdy znalazłem się już w miejscu, gdzie mieszkałem jako chłopak i ujrzałem domek, w którym przyśnił mi się pamiętny sen, nie mogłem powstrzymać wzruszenia. Powiedziałem:

– Jakże niezbadane są drogi Opatrzności! Bóg rzeczywiście podniósł z ziemi biednego chłopca, by umieścić go wśród swych wybranych.

10. Gdy poniósł koń

„Miałem zawsze wokół siebie wielu chłopców”

W 1841 roku, a więc gdy otrzymałem święcenia, w Castelnuovo nie było zastępcy proboszcza, więc przez pierwszych pięć miesięcy zajmowałem to miejsce.

Praca w parafii dawała mi wiele satysfakcji. Co niedzielę wygłaszałem kazania, odwiedzałem chorych, udzielałem Sakramentów. Nie mogłem jeszcze spowiadać, ponieważ nie zdawałem jeszcze egzaminu. Uczestniczyłem także w pogrzebach, prowadziłem księgi parafialne, wystawiałem świadectwa dotyczące ubóstwa i inne, o które prosili ludzie.

Ale największą radością było katechizowanie dzieci, przebywanie z nimi i rozmawianie. Zaczynałem zdobywać przyjaciół wśród małych mieszkańców Castelnuovo. Kiedy wychodziłem z plebanii, czekali już na mnie. Szli ze mną wszędzie w świątecznym nastroju. Odwiedzali mnie także chłopcy z Morialdo. Kiedy potem wracałem do domu, do Becchi, zewsząd otaczali mnie chłopcy.

Stado wróbli nad łbem konia

Mówienie do ludzi przychodziło mi łatwo, więc gdy trzeba było wygłaszać homilie czy kazania z okazji świąt czy patronów, często proszono mnie o pomoc. Pod koniec października zaproszono mnie do Lavriano na święto Św. Benigno. Zgodziłem się chętnie, jako że była to wieś mojego przyjaciela, ks. Jana Grassino. Starannie się przygotowałem. Napisałem kazanie w prostym, ale pięknym języku i nauczyłem się go. Byłem pewien, że wypadnie dobrze, ale Bóg dał mojej próżności straszną nauczkę.

Była to niedziela i najpierw musiałem odprawić mszę dla mieszkańców Castelnuovo. Aby zdążyć na czas, nie poszedłem pieszo, a pojechałem konno do Lavriano.

Kłusując i galopując na przemian, przebyłem już połowę drogi i dojechałem do doliny Cassalborgone między Cinzano a Bersano, gdy z łanów prosa uniosło się nagle stado wróbli. Gwałtowny i nagły trzepot ich skrzydeł

spłoszył mojego konia, który pognał jak szalony przez pola i łąki. Starałem się przynajmniej utrzymać w siodle, ale w pewnym momencie zauważyłem, że popręg się obluzował i że siodło zsuwa się na bok. Usiłowałem je wyprostować, ale wystarczył jeden gwałtowny wstrząs i wyleciałem w górę, po czym upadłem na wznak na stos kamieni.

„Ocknąłem się w obcym domu"

Z pobliskiego wzgórza widział mą pechową przygodę pewien człowiek. Zbiegł wraz ze swym pomocnikiem po zboczu, a stwierdziwszy, że zemdlałem, zaniósł mnie delikatnie do swego domu i położył w najlepszym łóżku, jakie miał. Zaopiekował się mną starannie i po godzinie odzyskałem przytomność. Widząc obce ściany, zdziwiłem się.

– Niech się ksiądz nie obawia – powiedział zaraz ten dobry człowiek. – Niczego tu księdzu nie zabraknie. Posłałem już po lekarza, a mój parobek pobiegł poszukać konia. Jestem tylko chłopem, ale w moim domu będzie miał ksiądz wszystko, czego potrzeba. Czy bardzo źle się ksiądz czuje?

– Niech Bóg odpłaci panu, drogi przyjacielu, za pana miłosierdzie. Nie sądzę, żeby było to coś poważnego, nie mogę tylko ruszać ramieniem i obawiam się, że jest złamane. A gdzie w ogóle jestem?

– Na wzgórzu Bersano, w domu Jana Calosso, zwanego Brina. Nie zna mnie ksiądz, ale to nie szkodzi: ja też wędrowałem po świecie i nie jeden raz korzystałem z pomocy ludzi. Jeździłem po jarmarkach i targach i mam za sobą wiele przygód!

– Może mi pan opowie jakiś swój wypadek, zanim nie przyjdzie lekarz?

– Wiele miałbym do opowiadania! Ot, na przykład, dawno temu, pojechałem z moją oślicą do Asti, żeby kupić zapasy na zimę. W drodze powrotnej biedne zwierzę, za bardzo objuczone, poślizgnęło się w błocie i upadło na środku drogi. Było to w okolicy Moriondo. Próbowałem postawić je z powrotem na nogi, ale na próżno. Była północ, ciemno choć oko wykol i lało. Nie widziałem już, do którego świętego modlić się i zacząłem wołać o pomoc. Po paru minutach odpowiedziano mi z pobliskiego domu, a wkrótce przyszedł mi na pomoc, przyświecając sobie łuczywem, pewien kleryk, jego brat i jeszcze dwóch ludzi. Pomogli mi zdjąć bagaże z oślicy, wyciągnęli ją z błota i przenocowali mnie u siebie. Byłem ledwie żywy, ubłocony od stóp do głów. Umyli mnie, dali pyszną kolację, a potem położyli do miękkiego łóżka. Następnego dnia rano, przed wyjazdem, chciałem zostawić pieniądze należne za pomoc i gościnę, ale kleryk odmówił uprzejmie, mówiąc: „Jutro może my będziemy potrzebowali twojej pomocy".

Zauważył, że mam zaczerwienione oczy

Wzruszyłem się, słuchając tej opowieści. Gospodarz zauważył, że mam zaczerwienione oczy i zapytał:

– Źle się ksiądz czuje?

– Nie, tylko pana opowieść jest piękna i wzruszająca.

– Ci ludzie, których spotkałem wtedy w nocy, byli bardzo dobrzy. Gdybym mógł coś dla nich zrobić, zrobiłbym to z prawdziwą przyjemnością.

– Jak się nazywali?

– Bosko, w dialekcie Boschett. Ale co znów tak wzruszyło księdza? Może zna ksiądz tych ludzi? A co się dzieje z tym klerykiem?

– Kapłan, którego dziś pan przyjął u siebie, drogi przyjacielu, to właśnie ten kleryk. Wynagrodził mi pan po tysiąckroć to, co ja uczyniłem dla pana tamtej nocy. Przyniósł mnie pan do swego domu i położył do własnego łóżka. Boska Opatrzność chciała nam wykazać, że kto dobrze czyni, w nagrodę dobro otrzymuje.

Trudno wyobrazić sobie radosne zdumienie tego dobrego chrześcijanina i moje. Bóg sprawił, że w mym nieszczęściu spotkałem ponownie drogiego przyjaciela. Dowiedziawszy się o tym, co zaszło, żona gospodarza, mieszkająca z nimi siostra, a także inni krewni i znajomi, z radością przyszli powitać „kleryka", o którym tyle słyszeli. Byli dla mnie bardzo uprzejmi.

Kiedy przybył wreszcie lekarz, nie stwierdził na szczęście żadnych złamań, więc zostawszy jeszcze trochę, by powrócić do siebie po upadku, mogłem wsiąść znów na konia i wrócić do domu. Jan „Brina" odprowadził mnie i od tego czasu jesteśmy w bardzo serdecznych kontaktach.

Od tego wypadku podjąłem zdecydowane postanowienie, że odtąd moje kazania będę przygotowywał ku chwale Bożej, a nie dla własnej ambicji.

11. Nauczyć się być księdzem

Odmówiłem objęcia trzech posad

Pod koniec lata zaoferowano mnie trzy posady. Pewna bogata rodzina z Genui zaproponowała mi pracę prywatnego nauczyciela. Pensja moja miała wynosić tysiąc lirów na rok.

Mieszkańcy Morialdo, którzy gorąco pragnęli, bym został wśród nich, prosili mnie, bym przyjął miejsce kapelana, gwarantując przy tym podwójną pensję.

Zaproponowano mi również miejsce zastępcy proboszcza w Castelnuovo.

Przed podjęciem decyzji udałem się do Turynu, do ks. Cafasso, który od paru lat radził mi w sprawach zarówno materialnych jak i duchowych. Święty kapłan wysłuchał wszystkiego: ofert finansowych, nalegań krewnych i przyjaciół, mojej chęci podjęcia pracy, ale na koniec, bez najmniejszego wahania, powiedział:

– Niech ksiądz niczego nie przyjmuje. Niech lepiej ksiądz przyjdzie do Konwiktu Kościelnego i uzupełni swe wykształcenie i przygotowanie z etyki *(wiedza o życiu chrześcijańskim)* i kaznodziejstwa.

Przyjąłem chętnie tę radę i 3 listopada wstąpiłem do Konwiktu[16].

Wielki profesor, ks. Guala

W Konwikcie, uczono jak być księdzem. W seminarium kładziono duży nacisk na naukę prawd wiary i na ich pogłębienie przez odbywane dyskusje. Wiedzę o zasadach moralnych ograniczono do spraw najtrudniejszych i najcięższych. Konwikt uzupełniał zatem naukę w seminarium.

Czas był przeznaczony na medytację, lektury duchowe, dwa wykłady etyki dziennie, lekcje z kaznodziejstwa, chwile skupienia i refleksje. Tak więc był czas i możność zdobywania nauki i czytania dobrych autorów.

Na czele Konwiktu stało dwóch znanych z mądrości i świątobliwości mężów: teolog Alojzy Guala i ks. Józef Cafasso.

Ks. Guala był założycielem instytucji. W latach 1797–1814, gdy Piemont okupowali Francuzi, wykazywał niewyczerpane miłosierdzie. Ten bezinteresowny, pełen wiedzy, roztropności i odwagi człowiek założył Konwikt, by młodzi kapłani, ukończywszy seminarium, mogli się nauczyć być księżmi. Dzieło to przyniosło Kościołowi wielki pożytek, zwłaszcza jeśli chodzi o wykorzenienie tendencji jansenistycznych[17], które utrzymywały się w Kościele piemonckim.

Jednym z bardziej roztrząsanych w etyce problemów była tzw. kwestia „probabilizmu i probabilioryzmu”[18]. Na czele probabiliorystów stali niektórzy najbardziej zasadniczy autorzy, jak Alasia i Antoine. Ich sztywna postawa mogła prowadzić do poglądów jansenistycznych. Probabiliści szli za naukami moralnymi św. Alfonsa. Dziś Kościół uznał go za „doktora Kościoła”, a jego myśl można nazwać „myślą papieską”, ponieważ Papież ogłosił, że dzieł Św. Alfonsa można nauczać, stosować w praktyce i kierować się nimi bez żadnego niebezpieczeństwa.

Teolog, ks. Guala stanowczo stawał ponad tymi dyskusjami. W centrum każdej kwestii stawiał miłosierdzie Pana i w ten sposób nie skłaniał się ani w jedną ani w drugą stronę. Dzięki niemu właśnie św. Alfons stał się mistrzem piemonckich szkół teologii, co okazało się bardzo korzystne.

Duchowy spowiednik, ks. Cafasso

Prawą ręką teologa Guali był ks. Cafasso, któremu udało się stopić ostatnie lody, jakie dzieliły jeszcze probabilistów i probabiliorystów, a

[16] Konwikt Kościelny był dawnym klasztorem znajdującym się obok kościoła św. Franciszka z Asyżu. W tym to budynku ks. Alojzy Guala, wspomniany przez ks. Cafasso, przygotowywał czterdziestu pięciu młodych kapłanów do pełnienia roli księży w epoce i społeczeństwie, w którym żyli. Przygotowanie to trwało dwa lata, w przypadku ks. Bosko wyjątkowo trzy.

[17] Jansenizm był herezją, która m.in. narzucała chrześcijanom bardzo surowy tryb życia, długie i skrupulatne przygotowania do przyjęcia sakramentu Eucharystii i odznaczała się pewną wrogością wobec Papieża.

[18] Wydaje się to tylko dziwną grą słów, a jednak miało poważne konsekwencje w codziennym życiu chrześcijan. *Probabiliorizm* wymagał surowszego i ostrzejszego trybu życia, przypominającego ten, jaki narzucał jansenizm. *Probabilizm* miał łagodniejsze wymagania, ale probabilioryści oskarżyli go o nadmierną łagodność.

dokonał tego niewzruszonym spokojem, subtelnym miłosierdziem, wielką roztropnością i delikatnością w działaniu.

Innym bardzo cennym dla Konwiktu nauczycielem był teolog Feliks Golzio. Ze względu na swą skromność nie zyskał co prawda rozgłosu, ale dzięki niezmordowanej pracy, głębokiej pokorze i jasnemu umysłowi był dla ks. Guali i ks. Cafasso nieocenioną pomocą.

Tych trzech wybitnych turyńskich księży pracowało z olbrzymim zapałem w więzieniach i szpitalach, na kazalnicach i w domach chorych, a ich działalność była dobrodziejstwem dla miast i wsi, dla pałaców bogaczy i domów nędzarzy.

Boska Opatrzność postawiła mi przed oczami te trzy wzorce i tylko ode mnie zależało, czy potrafię iść w życiu za ich przykładem.

Chłopcy za kratami

Ks. Cafasso już od sześciu lat był moim duchowym mistrzem i jeśli uczyniłem w życiu coś dobrego, to zawdzięczam to jemu. Przed każdą decyzją, projektem czy obraniem kierunku w pracy kapłańskiej jego właśnie pytałem o zdanie.

Zaczął zabierać mnie na odwiedziny więźniów. Tam właśnie pojąłem ogrom zła i nędzy ludzkiej. Przerażeniem napawał mnie widok tak wielu chłopców w wieku od dwunastu do osiemnastu lat, zdrowych, silnych i inteligentnych, skazanych na bezczynność, nękanych przez wszy i pluskwy, pozbawionych chleba i dobrego słowa.

Ci nieszczęśni młodzi ludzie byli plamą i hańbą dla ojczyzny i rodzin. Upokarzano ich, aż zatracali zupełnie poczucie godności. A największe wrażenie robił na mnie fakt, że choć wielu w momencie wypuszczenia na wolność miało silne postanowienie zmiany swego życia na lepsze, to i tak po niedługim czasie wracało za kratki.

Starałem się zrozumieć przyczyny takiego stanu rzeczy i ostatecznie stwierdziłem, że jeśli wielu z nich ponownie kończyło w więzieniu, to dlatego, że pozostawiano ich samym sobie. Myślałem: „Ci chłopcy powinni znaleźć na wolności jakiegoś przyjaciela, który by się nimi zajął, pomógł im, pouczył ich i zaprowadził do kościoła w dni świąteczne. Może wtedy nie gubiliby się, a przynajmniej nie wszyscy kończyliby w więzieniu". Podzieliłem się tymi myślami z ks. Cafasso i przy jego pomocy starałem się je wprowadzić w czyn. Pokładałem ufność w Panu, bo wiedziałem, że bez jego wsparcia moje wysiłki pójdą na marne.

12. Mam szesnaście lat, a nic nie potrafię

Chłopiec, który wziął nogi za pas

Od pierwszych dni spędzonych w Konwikcie miałem już grupkę chłopców, którzy stali się moimi przyjaciółmi. Zawsze kręcili się koło mnie, gdy szedłem przez ulice i place, szli za mną do zakrystii kościoła Konwiktu. Nie dysponowałem jednak wówczas lokalem, w którym mógłbym ich zebrać i gdzie mógłbym przystąpić do realizacji zamiaru otoczenia ich opieką.

Dopomógł mi w tym pewien dziwny przypadek. Od niego właśnie wzięło początek działanie na rzecz chłopców włóczących się po mieście, a zwłaszcza tych, którzy wyszli dopiero co z więzienia.

W święto Niepokalanego Poczęcia Maryi *(8 grudnia 1841 roku)* ubierałem się właśnie, by odprawić o wyznaczonej godzinie mszę świętą, gdy zakrystian, Józef Comotti, zawołał stojącego w kącie chłopca, by służył mi do mszy.

– Kiedy nie potrafię – odpowiedział ze wstydem.

– Chodź, będziesz służył do mszy – nalegał zakrystian.

– Ale kiedy nie potrafię, nigdy tego nie robiłem.

– Jesteś osioł! – rozzłościł się zakrystian. – Jeśli nie potrafisz służyć do mszy, to po co przychodzisz do zakrystii? – Wściekły chwycił biednego chłopaka, który wziął nogi za pas. Krzyknąłem do zakrystiana:

– Co też pan najlepszego robi? Dlaczego pan bije tego chłopca? Co złego zrobił?

– Przychodzi do zakrystii, a nie potrafi nawet służyć do mszy!

– I to jest powód do bicia?

– A co to księdza obchodzi?

– Obchodzi, bo to mój przyjaciel. Proszę go natychmiast zawołać z powrotem, bo muszę z nim pomówić.

„Moja matka nie żyje”

Zakrystian pobiegł za chłopcem, dogonił go, jakoś go uspokoił i przyprowadził z powrotem do mnie. Cały drżący i upokorzony patrzał na mnie. Zapytałem serdecznie:

– A słuchałeś już mszy?

– Nie.

– No to chodź, posłuchasz. A potem porozmawiamy o czymś, co sprawi ci przyjemność.

Obiecał, że zostanie na mszy. Chciałem wymazać z jego pamięci razy, jakie otrzymał i złe wrażenie, jakie musiał mieć o księżach z tego kościoła. Odprawiłem mszę, odmówiłem modlitwy dziękczynne, a potem wziąłem chłopca do kaplicy. Przede wszystkim zapewniłem go, że nikt już nie podniesie na niego ręki, a potem zapytałem:

– Jak się nazywasz, mój mały przyjacielu?

– Bartłomiej Garelli.

– Skąd jesteś?

– Z Asti.

– Masz ojca?

– Nie, umarł.

– A mamę?

– Też nie żyje.

– Ile masz lat?

– Szesnaście.

– Potrafisz czytać i pisać?

– Nic nie potrafię.

– Byłeś u pierwszej Komunii?

– Jeszcze nie.

– A u spowiedzi?

– Tak, jak byłem mały.

– A na religię chodzisz?

– Nie mam odwagi.

– Dlaczego?

– Bo młodsi chłopcy potrafią odpowiadać na pytania, a ja jestem taki duży i nic nie umiem. Wstyd mi.

– A gdybym uczył cię katechizmu, przychodziłbyś?

– Bardzo chętnie.

– Nawet tutaj?

– Byleby tylko mnie nie bili.

– Nie bój się, nikt cię nie będzie bił. Teraz jesteś moim przyjacielem, więc muszą cię szanować. Kiedy chcesz, byśmy zaczęli nasz katechizm?

– Kiedy ksiądz chce.

– Dziś wieczorem.

– Dobrze.

– A gdyby tak zaraz?

– Chętnie.

Wszystko zaczęło się od lekcji katechizmu

Wstałem i na początek przeżegnałem się. Zauważyłem jednak, że Bartłomiej nie zrobił tego, bo nie pamiętał, jak się robi znak krzyża. Na tej pierwszej lekcji katechizmu nauczyłem go zatem znaku krzyża i mówiłem mu o Bogu Stwórcy i o tym, dlaczego Bóg nas stworzył.

Nie miał dobrej pamięci, ale dzięki wytrwałości i uwadze w ciągu już paru lekcji nauczył się, czego potrzeba, by odprawić dobrą spowiedź, a potem przyjąć Komunię.

Wkrótce dołączyli do niego inni chłopcy. Tej zimy zebrałem także paru dorosłych, którzy potrzebowali dostosowanych do ich wieku lekcji katechizmu. Wciąż miałem na myśli przede wszystkim tych, którzy wychodzili z więzienia. Namacalnie przekonałem się, że jeśli znajdą na wolności przyjaciela, który się nimi zajmie, będzie z nimi w świąteczne dni, znajdzie im pracę u uczciwego pracodawcy i odwiedzi ich czasem w ciągu tygodnia, to zapomną o przeszłości i zaczną porządne życie. Staną się uczciwymi obywatelami i dobrymi chrześcijanami.

Taki był początek naszego Oratorium, które dzięki Pańskiemu błogosławieństwu rozrosło się tak, jak bym się tego nigdy nie spodziewał.

13. Pierwsze Oratorium

Po katechizmie, opowiadania o jakimś ciekawym zdarzeniu

W ciągu tej pierwszej zimy starałem się skonsolidować małe Oratorium. Moim celem było zebranie tylko tych chłopców, którzy byli szczególnie narażeni na niebezpieczeństwo zła, a zwłaszcza tych, którzy wychodzili na wolność.

By móc jednak utrzymać porządek i promieniować dobrocią, zapraszałem do Oratorium także innych chłopców, należycie wychowanych i dobrze się sprawujących. Pomagali mi oni w utrzymaniu porządku, czytaniu i wykonywaniu śpiewów liturgicznych. Od początku bowiem zauważyłem, że bez śpiewu i czytania interesujących książek nasze świąteczne spotkanie byłoby jak ciało bez duszy.

2 lutego 1842 roku, w święto Oczyszczenia Maryi *(które wówczas było świętem obowiązującym),* z dwudziestką chłopców donośnie odśpiewaliśmy w kościele po raz pierwszy *Chwalcie Maryję.*

Na święto Zwiastowania, 25 marca, było nas już trzydziestu. Tego dnia urządziliśmy coś na kształt święta. Rano chłopcy wyspowiadali się i przyjęli Komunię, wieczorem wspólnie wybrana pieśń pobożna, a po lekcji katechizmu opowiadałem im ciekawe rzeczy. Ponieważ kaplica, w której dotychczas się zbieraliśmy, zaczynała się stawać za ciasna, przenieśliśmy się do większej kaplicy przy zakrystii.

Józef Buzzetti, wzór wierności

Spróbuję naszkicować obraz życia tego pierwszego Oratorium. Rano w dni świąteczne każdy mógł przystąpić do sakramentów spowiedzi i Komunii, natomiast wszyscy starali się spełnić ten chrześcijański obowiązek przynajmniej raz w miesiącu. Wieczorami, o wyznaczonej godzinie, odbywały się lekcje katechizmu, poprzedzone jakąś pieśnią pobożną, a na zakończenie opowiadałem niecodzienną historię i rozdawałem drobiazgi wszystkim, albo też tylko niektórym, którzy mieli szczęście wygrać przez ciągnięcie losu.

Spośród chłopców, którzy przychodzili na te pierwsze zebrania pamiętam Józefa Buzzettiego, niezawodnego bywalca na wszystkich spotkaniach. Tak przywiązał się on do ks. Bosko i do Oratorium, że nie chcąc stracić codziennego kontaktu, zrezygnował nawet z dorocznego wyjazdu do rodzinnego domu w Caronno Chiringhello *(dziś Caronno Varesino),* tak przecież wyczekiwanego przez jego rodzeństwo i kolegów. Pamiętam także jego braci: Karola Anioła i Jozuego oraz Jana Gariboldiego i jego brata. Wówczas byli czeladnikami, dziś są mistrzami.

Większość chłopców stanowili kamieniarze, murarze, sztukatorzy i brukarze pochodzący z odległych wsi. Nie znając turyńskich parafii, nie wiedząc, którym kolegom z pracy można zaufać, byli narażeni, zwłaszcza w dni świąteczne, na tysiące niebezpieczeństw moralnych.

Ks. Guala i ks. Cafasso cieszyli się z tej mojej działalności. Chętnie dawali mi obrazki, kartki z modlitwami, książeczki, medaliki i krzyżyki, bym rozdał je w prezencie, a kiedy zaszła potrzeba dali mi także pieniądze, bym mógł zakupić ubrania. Tym, którzy szukali pracy, przez wiele tygodni dawali jeść.

Święto małych murarzy

Kiedy chłopców było już dość dużo, ks. Guala i ks. Cafasso pozwolili mi przyprowadzić moją małą armię na zabawy na podwórze Konwiktu. Dziedziniec był, niestety, mały, z trudnością mógł pomieścić osiemdziesięciu chłopców, bo gdyby nie to, ich liczba wzrosłaby szybko do paruset.

W godzinach, gdy chłopcy spowiadali się, ks. Guala i ks. Cafasso przychodzili zaopiekować się nimi i bawili ich opowiadaniem różnych zdarzeń i przykładów do naśladowania.

W dzień św. Anny, patronki murarzy, ks. Guala zaproponował, byśmy urządzili coś z tej okazji. Po porannej mszy zaprosił wszystkich na śniadanie do Konwiktu. Wielka sala wykładowa pomieściła stu chłopców. Podano im

kawę, mleko, czekoladę, bułki, drożdżówki, rożki i ciastka. Chłopcy powitali je wybuchem radości i spałaszowali z apetytem. Zapanowało wielkie ożywienie, a później opowiadanie o śniadaniu krążyło z ust do ust. Iluż chłopców mogłoby jeszcze przyjść, gdyby tylko aula była większa.

„Utrzymywałem kontakty z chłopcami w więzieniu"

Wszystkie święta spędzałem wśród moich młodych przyjaciół. W ciągu tygodnia odwiedzałem ich w ich miejscach pracy, w fabrykach i warsztatach. Te spotkania sprawiały im wiele radości, dawały im poczucie, że jest ktoś, kto się nimi interesuje. Moje wizyty cieszyły zresztą również ich szefów, którzy chętnie zatrudniali młodych ludzi znajdujących się pod naszą opieką.

Co sobotę wracałem do więzień z torbą pełną owoców, bułek i papierosów. Chciałem utrzymać kontakt z tymi młodymi nieszczęśnikami, którzy tam się znaleźli, pomóc im pozyskać ich przyjaźń i zaprosić do Oratorium, gdy tylko opuszczą to smutne miejsce.

14. Bóg wybiera Valdocco

Czterdziestu chłopców przy konfesjonale

W okresie rozwoju działalności Oratorium zacząłem jednocześnie głosić kazania w turyńskich kościołach, w Szpitalach Miłosierdzia, w Schronisku Cnoty *(instytucji, która udzielała schronienia około stu chłopcom, nie mającym pieniędzy na mieszkanie),* w więzieniach, w Kolegium Św. Franciszka od św. Pawła. Odprawiałem nowenny, tridua i rekolekcje.

Po dwóch latach nauki w Konwikcie zdałem egzamin na spowiednika i od tego momentu mogłem już przyjmować chłopców, którzy chcieli pogodzić się z Bogiem i udzielać im Jego odpuszczenia. Dzięki temu w więzieniach, w Oratorium i wszędzie, gdzie się znalazłem, mogłem skuteczniej pomagać młodzieńcom, by wzrastali w dobroci i w życiu synów Bożych.

Odczuwałem żywą radość w ciągu tygodnia, a zwłaszcza w dni świąteczne, widząc, iż mój konfesjonał otaczało czterdziestu lub pięćdziesięciu chłopców, którzy cierpliwie czekali na swoją kolejkę, by pojednać się z Bogiem.

Na poprzednich kartkach opowiedziałem o normalnej działalności Oratorium w okresie od grudnia 1841 do października 1844 roku, a więc przez prawie trzy lata.

Tymczasem na horyzoncie rysowały się nowe wydarzenia, zmiany i cierpienia. Prowadziła nas Opatrzność Boża.

„Widzę mnóstwo chłopców proszących mnie o pomoc"

Po trzech latach przygotowań nadszedł moment wyboru pracy kapłańskiej w życiu kościoła turyńskiego.

Ks. Józef Comollo, stary i kończący się wuj Alojzego i proboszcz w Cinzano, poprosił Arcybiskupa, by skierował mnie do jego probostwa jako administratora, ponieważ ze względu na wiek i stan zdrowia nie mógł już sam podołać obowiązkom. Arcybiskup wyraził zgodę. Ale sam ks. Guala podyktował mi list, w którym dziękowałem Arcybiskupowi Fransoniemu, ale uchylałem się od przyjęcia miejsca. Ks. Guala i ks. Cafasso przygotowywali dla mnie inne pole działalności duszpasterskiej.

Pewnego dnia ks. Cafasso wezwał mnie do swego biura i powiedział:

– Skończył ksiądz naukę, teraz pora zabrać się do pracy. Możliwości pracy na niwie Pańskiej jest bardzo wiele. Do czego ma ksiądz największe skłonności?

– Do tego, co mi ksiądz wskaże.

– W tej chwili są trzy możliwości: zastępca proboszcza w Buttigliera d'Asti, wykładowca etyki w Konwikcie i dyrektor Szpitalika, jaki powstaje przy Schronisku[19]. Co ksiądz wybiera?

[19] Markiza Julia Franciszka Barolo założyła w okolicy Valdocco, obok *Małego Domu* Cottolengo, kilka instytutów dobroczynnych. Pierwszym było *Schronisko,* instytut, który przyjmował ulicznice, gotowe zacząć uczciwe życie; drugim - *Dom Magdalenek,* zagrożonych dziewcząt, mających mniej niż

– To, co ksiądz uzna za najodpowiedniejsze dla mnie.

– A nie czuje ksiądz skłonności do tego czy innego miejsca?

– Chciałbym zajmować się młodzieżą. Ksiądz o tym wie, proszę więc zdecydować, jak ksiądz uważa. W radzie księdza będę widział wolę Bożą.

– A co ma ksiądz na myśli? Jak to ksiądz widzi?

– Wydaje mi się, jakbym był wśród tłumu chłopców, proszących mnie o pomoc.

– W takim razie niech ksiądz jedzie na parę tygodni na urlop, a po powrocie powiem księdzu, dokąd ma jechać.

– Minęło parę tygodni od mojego powrotu, a ks. Cafasso nie wracał do tej rozmowy, ja również nie.

– Dlaczego ksiądz nie pyta mnie, dokąd ma pojechać?

– Ponieważ chcę wypełnić wolę Bożą wtedy i w taki sposób, jaki ksiądz mi wskaże. Nie chcę o tym decydować.

– Niech ksiądz spakuje walizki i jedzie do ks. Borela do Schroniska. Będzie ksiądz dyrektorem szpitalika św. Filomeny oraz będzie ksiądz pracował w schronisku. Bóg wskaże tymczasem księdzu, co trzeba zrobić dla młodzieży.

„Ale gdzie zebrać moich chłopców?"

Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że decyzja ta kłóciła się z moimi inklinacjami. Miałem objąć kierownictwo Szpitalika oraz głosić kazania i spowiadać w Instytucie, w którym przebywało czterysta dziewcząt. Jak znaleźć czas dla Oratorium? Ale taka była wola Boga i przyszłość miała to wykazać.

Od pierwszego spotkania z ks. Borelem widziałem w nim świątobliwego kapłana, wzór do podziwiania i naśladowania. Za każdym razem, gdy z nim przestawałem, dawał mi on doskonałą lekcję życia kapłańskiego. Udzielał dobrych rad, a zarazem potrafił zapalić do pracy dla Boga.

W ciągu trzech lat, jakie spędziłem w Konwikcie, wiele razy zapraszał mnie, bym głosił kazanie czy spowiadał w Schronisku, gdzie spełniał rolę wzorowego kapłana. Pole mojej przyszłej pracy było mi więc nie tylko znane, ale i bliskie.

Wielekroć rozmawiałem z nim o tym, jak można by ulepszyć moją pracę w więzieniach *(gdzie i on prowadził duszpasterską działalność)* i o tym, co decyduje o skuteczności pracy wśród młodzieży. Problem osamotnionej i zagrożonej młodzieży coraz bardziej nurtował księży turyńskich.

Jak miałem postępować w nowej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Gdzie zbierać moich chłopców?

Przez jakiś czas – powiedział mi ks. Borel – jako miejsce spotkań z chłopcami, którzy przychodzili do kościoła św. Franciszka z Asyżu, może służyć wyznaczony księdzu pokój. A kiedy zostanie oddany do użytku nowy budynek dla księży, obok szpitala, zastanowimy się nad jakimś lepszym rozwiązaniem.

15. Powracający sen

„Poszedłem spać z ciężkim sercem"

12 października 1844 roku wypadała sobota. Następnego dnia miałem zakomunikować chłopcom o przeniesieniu Oratorium na przedmieście Valdocco. Nie wiedziałem, gdzie ich będę mógł zebrać, jak zostaną przyjęci, kto z nich za mną pójdzie, a kto nie. Nurtowała mnie niepewność i poszedłem spać z ciężkim sercem.

W nocy miałem sen, który wydał mi się kontynuacją tego, który przeżyłem w Becchi, gdy miałem dziewięć lat.

Znalazłem się w otoczeniu stada wilków, kóz i koźląt, jagniąt, owiec, baranów, psów i ptaków, które robiły tak straszny rozgardiasz, że wystraszyłyby najodważniejszego. Chciałem uciec, ale pojawiła się pani, ubrana jak pasterka, która powiedziała mi, bym pilnował stada, które ona

czternaście lat. W 1884 r. zaczęto budowę trzeciego instytutu, *Szpitalika Św. Filomeny,* dla chorych i ułomnych dziewczynek.

będzie prowadzić. Szliśmy przez różne miejsca i trzykrotnie zatrzymaliśmy się, a przy każdym postoju coraz to nowe zwierzęta zamieniały się w jagnięta, tak że ilość tych łagodnych stworzeń coraz bardziej rosła. Gdy uszliśmy już w ten sposób spory kawał drogi, znaleźliśmy się na łące, gdzie zwierzątka zaczęły skakać i razem szczypać trawę w całkowitej zgodzie.

„Jagnięta zmieniały się w małych pasterzy"

Byłem bardzo zmęczony i chciałem przysiąść na skraju drogi, ale pani kazała mi ruszać dalej. Gdy przeszliśmy ostatni, krótki już odcinek drogi, znaleźliśmy się na przestronnym dziedzińcu, otoczonym portykiem, na którego końcu wznosił się kościół. Jagniąt było już bardzo dużo. Pojawili się inni pasterze do pilnowania stada, ale zostawali z nami krótko i szybko odchodzili. I wtedy zdarzył się cud: część jagniąt zaczęła się zmieniać w pastuszków, którzy w miarę jak podrastali pomagali mi w pilnowaniu stadka. Było ich coraz więcej, aż podzielili się na grupy i rozeszli w różne strony, by tam zbierać i gromadzić pod swoją opieką inne zwierzęta i prowadzić je w bezpieczne miejsce.

Chciałem już odejść, ale pani kazała mi spojrzeć na południe. Spojrzałem i zobaczyłem pole obsiane kukurydzą, ziemniakami, kapustą, burakami, sałatą i różnymi ziołami. „Popatrz jeszcze raz", powiedziała pani. Tym razem zobaczyłem wysoki i wspaniały kościół, w którym orkiestra zaczynała grać, chór zaczynał śpiewać, a ja miałem rozpocząć mszę. W kościele wisiała biała wstęga, na której ogromnymi literami było napisane: *To jest mój dom. Stąd wyjdzie moja chwała.*

„Zrozumiałem sen w miarę rozwoju wypadków"

Zapytałem pani, gdzie jestem, co oznacza ta droga i postoje, jak również ten dom, pierwszy i drugi kościół. Odrzekła mi:

– Zrozumiesz wszystko, kiedy oczami ciała ujrzysz to, co teraz widzisz oczami duszy.

Ja jednak sądziłem, że to już jawa i powiedziałem:

– Ja już teraz widzę oczami ciała, i widzę jasno. Wiem, dokąd idę i co robię.

W tym momencie zadzwonił dzwon na *Ave Maria* na dzwonnicy kościoła św. Franciszka i obudziłem się.

Ten sen trwał prawie całą noc. Widziałem w nim wiele innych szczegółów, których nie potrafiłem tutaj opisać. Wówczas nie bardzo wierzyłem w to, co w nim ujrzałem, a jeszcze mniej pojmowałem, co by to znaczyło. Zrozumiałem wszystko dopiero w miarę rozwoju wypadków. Ten sen i jeszcze jeden, posłużyły mi później jako program działania.

16. W domu markizy

W kierunku Valdocco

13 października, w święto Macierzyństwa Maryi, informuję chłopców o przeniesieniu Oratorium do Schroniska Markizy Barolo. Widząc, że nie bardzo wiedzą, co o tym myśleć, mówię, że będziemy tam mieli przestronne pomieszczenie tylko dla nas, gdzie będziemy mogli śpiewać, biegać, skakać. Chłopcy cieszą się, każdy z niecierpliwością czeka na niedzielę, by móc zobaczyć nowe miejsce.

Nadchodzi trzecia niedziela października, święto czystości Najświętszej Maryi Panny. Zaraz po południu tłum chłopców schodzi ku Valdocco, szukają nowego Oratorium. Są wśród nich młodsi i starsi, czeladnicy murarscy i terminatorzy z warsztatów mechanicznych. Na wszystkie strony pytają:

– Gdzie jest Oratorium? Gdzie jest ks. Bosko?

– Nikt o niczym nie wie. Nikt w tej okolicy nie słyszał o ks. Bosko i o Oratorium. Chłopcy, sądząc, że to kpiny, zaczynają krzyczeć. Ludzie z Valdocco, myśląc, że to jakiś głupi kawał, zaczynają wygrażać i podnoszą pięści. Rzeczy przybierają najwyraźniej zły obrót ale na szczęście słyszę wrzaski i wraz z ks. Borelem wychodzę z domu. Biegną nam naprzeciw, pytając, gdzie jest Oratorium.

Odpowiadam, że nowe Oratorium jeszcze nie jest skończone, ale że na razie możemy wejść do mojego pokoju, który jest duży i doskonale się w nim pomieścimy. W tę niedzielę, rzeczywiście, wszystko poszło dość dobrze.

„Tak dalej nie może być”

Ale w następną niedzielę, do chłopców przychodzących z miasta przyłączyło się wielu nowych z okolicznych domów. Nie wiedziałem, gdzie ich pomieścić. Pokój, korytarz, schody, wszystko było zatłoczone.

1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych, spowiadaliśmy ich w dwójkę z ks. Borelem, ale potrzebnych by było ze dwustu księży. Co robić? Jak utrzymać ich w spokoju? Jeden chciał rozpalić ogień, drugi go gasił; jeden układał drewno, inny przewracał wiadro z wodą. Wiadro, szufelka, szczypce do węgla, miska, dzbanek do wody, krzesła, buty, książki, wszystko było poprzewracane do góry nogami, bo każdy chciał zrobić porządek. Kochany ks. Borel w pewnym momencie powiedział:

– Tak dalej być nie może. Trzeba znaleźć jakieś odpowiednie pomieszczenie.

Zanim jednak to się stało, sześć kolejnych niedziel spędziliśmy w moim pokoju, położonym nad wejściem do Schroniska.

Na rozmowie z Arcybiskupem

W międzyczasie poszliśmy przedstawić sytuację księdzu arcybiskupowi Fransoniemu. Zrozumiał on wagę naszej inicjatywy i powiedział:

– Aprobuję wszytko, co robicie dla dobra dusz i dam wam wszystko, czego potrzeba. Porozmawiajcie z Markizą Barolo, może będzie mogła wam przydzielić odpowiedniejszy lokal na Oratorium. Ale powiedzcie, czy ci chłopcy nie mogliby iść do swoich parafii?

Prawie wszyscy pochodzą spoza Turynu. Wielu nie ma stałego miejsca zamieszkania, a w Turynie spędza tylko część roku. Nie wiedzą nawet, do jakiej parafii należą. Mówią różnymi dialektami, więc niewiele rozumieją, a i ich ciężko zrozumieć. Poza tym niektórzy są już starsi i wstydzą się chodzić na lekcje katechizmu razem z małymi.

Arcybiskup zamyślił się, a potem powiedział:

– Rzeczywiście potrzebne jest jakieś odrębne i odpowiednie dla nich miejsce. Ja błogosławię was i wasz projekt. Jeśli będę mógł wam w czymś pomóc, przyjdźcie. Zrobię, co tylko będę mógł.

Podniesieni na duchu, udaliśmy się do Markizy Barolo i przedstawiliśmy jej sytuację. Ponieważ Szpitalik miał być oddany do użytku dopiero w sierpniu następnego roku, pozwoliła byśmy urządzili kaplicę w dwóch obszernych salach, przewidzianych według projektu na pokoje dla księży pracujących w Schronisku.

Oratorium pod wezwaniem św. Franciszka Salezego: dlaczego?

Było to miejsce, które Opatrzność wyznaczyła nam na pierwszy kościół Oratorium. Aby do niego dotrzeć, trzeba było wejść przez bramę szpitala, przemierzyć krótką alejkę i znaleźć się na trzecim piętrze.

Nazwaliśmy Oratorium imieniem św. Franciszka Salezego, a to z dwóch powodów:

1. Markiza Barolo miała zamiar utworzyć Kongregację księży pod patronatem tego świętego i nad wejściem do pomieszczenia, które oddała na świetlicę, kazała wymalować obraz św. Franciszka Salezego.

2. Nasza posługa wymagała wiele opanowania i słodyczy. Oddaliśmy się więc pod opiekę św. Franciszkowi Salezemu, by wstawiał się za nami do Boga i prosił Go dla nas o taką samą jak jego łagodność i także pewne wyniki w pracy duszpasterskiej.

Był jeszcze inny powód, odstępstwa od religii, a zwłaszcza protestantyzm, zaczynały niebezpiecznie wdzierać się do naszych miast, szczególnie do Turynu. Oddaliśmy się w opiekę św. Franciszkowi Salezemu, by pomógł nam naśladować go w wysiłkach celem obrony wiary.

Jest 8 grudnia 1844 roku, święto Niepokalanej Maryi Panny. Przejmuje wielkie zimno i pada gęsty śnieg. Za pozwoleniem Arcybiskupa poświęcamy naszą kaplicę. Odprawiam mszę a wielu chłopców przyjmuje Komunię. Podczas mszy nie mogę powstrzymać łez wzruszenia, bo wydaje mi się, że Oratorium ma własny dom. Nareszcie będę mógł zbierać

najbardziej osamotnionych i opuszczonych chłopców, najbardziej narażonych na zejście na złą drogę. Będę mógł dać mi możliwość zostania przyjaciółmi Pana.

17. Eksmisja Oratorium

Siedem miesięcy raju

W kaplicy przy szpitaliku Św. Filomeny Oratorium działało bardzo dobrze. W świąteczne dni chłopcy przybywali bardzo licznie, by odbyć spowiedź i przyjąć Komunię. Po mszy tłumaczyłem im krótko Ewangelię. Po południu był czas na lekcje katechizmu, śpiewanie pieśni religijnych, krótki wykład nauki chrześcijańskiej, litanie do Matki Boskiej i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

Zajęcia te przeplatałem grami i zawodami, które bawiły chłopców. Rozgrywały się one w alei łączącej klasztor Magdalenek z drogą.

W ten sposób upłynęło nam siedem miesięcy. Wydawało się to nam istnym rajem, ale i stamtąd musieliśmy wyjść i szukać innej siedziby.

Markiza Barolo aprobowała każdą dobroczynność. 10 sierpnia 1845 roku miał być oddany do użytku jej szpitalik dla dziewcząt i nasze Oratorium musiało opuścić tymczasowo zajmowane pomieszczenie. Prawdę mówiąc, te dwa pokoje, które służyły nam za kaplicę, szkołę i miejsce zabaw nie miały żadnego połączenia ze Szpitalikiem. Nawet listewki żaluzji, założone ukośnie do góry, zasłaniały widok na zewnątrz, ale musieliśmy usłuchać.

Migracja do św. Marcina

Zwróciliśmy się zatem do Rady Miejskiej Turynu z pilnym podaniem, popartym przez Arcybiskupa. W rezultacie pozwolono nam przenieść Oratorium do kościoła św. Marcina przy młynach miejskich.

I tak, w którąś niedzielę 1845 roku poszliśmy objąć w posiadanie naszą nową siedzibę. Każdy niósł, co mógł, a towarzyszyły temu śmiechy, wesołe okrzyki i odgłosy upuszczanych na ziemię rzeczy przez młodych tragarzy. Przez dzielnicę ciągnął pochód dzieci i wyrostków niosących ławy, klęczniki, świeczniki, krzyże, obrazy i obrazki. Była to prawdziwa, choć na wesoło przeprowadzona migracja. W głębi serca czuliśmy jednak żal.

Ks. Borel i kazanie o kapuście

Wyjściu ze Schroniska i przybyciu na nowe miejsce towarzyszyły wygłoszone przez ks. Borela kazania. Dzięki swej ludowej żywiołowości, która zjednywała mu powszechną sympatię, ks. Borel potrafił podnieść nas wszystkich na duchu:

– Kochana młodzieży, jeżeli chce się, by wyrosły piękne i duże głowy kapusty, to trzeba je przesadzać. I to samo da się powiedzieć o naszym Oratorium. Przenoszono je z jednego miejsca na drugie, ale przy każdych przenosinach rozrastało się. Was, przychodzących do niego, było coraz więcej i coraz bardziej byliście zadowoleni. Przy parafii św. Franciszka Oratorium zrodziło się z lekcji katechizmu i śpiewów, bo też i więcej nie dałoby się tam zrobić. W pierwszym pokoiku, jaki dostaliśmy w Schronisku, zrobiliśmy postój, jak podróżni jadący pociągiem. Tam już wszyscy mogli otrzymać duchową pomoc: spowiedź, katechizm, tłumaczenie Ewangelii. A na łąkach mogliśmy się wesoło bawić.

W pomieszczeniach przy Szpitaliku zaczęło się prawdziwe życie Oratorium. Wydawało nam się już, że znaleźliśmy wreszcie ostateczną siedzibę, że osiągnęliśmy spokój. Ale Boska Opatrzność pozwoliła, by nam tę siedzibę wymówiono i przeniosła nas tu, do św. Marcina.

Czy długo tu zabawimy? Nie wiemy, ale miejmy nadzieję, że tak. W każdym bądź razie wierzymy, że w naszym Oratorium będzie tak jak z tą przesadzaną kapustą: wzrośnie liczba chłopców, którzy chcą stać się dobrzy, wzrośnie nasza chęć grania i śpiewania, rozrosną się dzienne i wieczorowe szkoły dla tych, którzy ich pragną.

Nie myślmy więc o tym, ile czasu tu pozostaniemy, dużo czy mało; myślmy natomiast o tym, że jesteśmy w rękach Pana i że On zadba o nasze dobro. To pewne, że On nas błogosławi i wspomaga. I On da nam zawsze

miejsce, w którym będziemy mogli pomnażać jego chwałę i działać z pożytkiem dla naszych dusz.

Łaski Pana tworzą jakby łańcuch, którego wszystkie kolejne ogniwa łączą się ze sobą. Przyjmując pierwsze łaski, jakie Bóg nam daje, możemy być pewni, że da nam inne, jeszcze większe. Jeśli dziś chodząc do Oratorium poprawiamy nasze zachowanie, Bóg pomoże nam wzrastać w dobru przez całe życie, aż wreszcie osiągniemy ojczyznę, którą Bóg nam przygotował, a Jezus da nam nagrodę, na jaką zasłużyliśmy dobrymi uczynkami.

Słów tych słuchało mnóstwo chłopców. Na zakończenie odśpiewaliśmy ze wzruszeniem hymn dziękczynny do Pana.

Dziwne i niepokojące pogłoski

Życie religijne w nowym Oratorium toczyło się dalej jak w Schronisku, choć były spore trudności. Nie wolno nam było odprawiać mszy ani udzielać błogosławieństwa eucharystycznego. Chłopcy nie mogli zatem przyjmować Komunii, która była podstawowym elementem życia naszego Oratorium. Nie było również łatwo organizować zabawy: chłopcy musieli bawić się na ulicy lub na placyku przed kościołem, gdzie przejeżdżały konie i wozy. Nie mając nic lepszego, dziękowaliśmy niebiosom i za to, co nam dały, ale marzyliśmy o lepszym miejscu. Jednocześnie napotkaliśmy na nieprzewidziane sprzeciwy.

Pracownikom młynów i ich rodzinom przeszkadzały zabawy, śpiewy i krzyki naszych chłopców. Zaczęły się skargi w Radzie Miejskiej. Rozeszły się na nasz temat niepokojące pogłoski. Mówiono, że zebrania w Oratorium są niebezpieczne, ponieważ chłopcy są posłuszni na każde moje skinienie, a więc mogą być wykorzystani do rozruchów i rewolucji. Twierdzono także, bez żadnego powodu, że chłopcy niszczyli wszystko w kościele i na zewnątrz, że nawet niszczyli bruk. Miało się wrażenie, jeśliby wierzyć tym pogłoskom, że jeśli natychmiast nie zostaniemy usunięci, to Turyn się zawali.

List zawierający poważne oskarżenia

Pogłoski osiągnęły takie nasilenie, że sekretarz administracji młynów napisał list do burmistrza Turynu, w którym wyliczał i rozdmuchiwał przeciw nam zarzuty[20]. Posunął się wręcz do stwierdzenia, że nasze Oratorium jest siedliskiem niemoralności. List kończył się oświadczeniem, że pracujące przy młynach rodziny nie będą mogły wykonywać swoich obowiązków ani żyć spokojnie, dopóki sobie stamtąd nie pójdziemy.

Burmistrz rozumiał doskonale bezpodstawność tych oskarżeń, ale wydał jednak nakaz, byśmy natychmiast opuścili młyny. Byliśmy tym bardzo rozżaleni, ale musieliśmy się wynieść.

Warto jednak zauważyć, że sekretarz *(ks. Bosko nie podaje nazwiska i zaraz potem dodaje, że „nie należy go publikować")* nie mógł już więcej pisać oszczerczych listów, ponieważ zaczęła mu bardzo drżeć prawa ręka, a po trzech latach zmarł. Jego syn, opuszczony przez wszystkich, zwrócił się o pomoc do Oratorium na Valdocco, gdzie otrzymał chleb i schronienie. Tak chciał Bóg.

18. Porażka w kościele św. Piotra w Okowach.

Przekrzywiony czepek gospodyni kapelana

Burmistrz i władze miasta, jak mówiłem, doskonale wiedziały o tym, że wysuwane przeciw nam zarzuty były zupełnie bezpodstawne, więc skierowaliśmy do nich nowe podanie o pozwolenie na organizowanie naszych spotkań w kościele Świętego Krzyża, zwanego przez mieszkańców kościołem św. Piotra w Okowach[21]. Dzięki poparciu Arcybiskupa otrzymaliśmy zgodę Rady Miejskiej.

---

[20] *Przypis ks. Bosko:* „Burmistrz przysłał ludzi do sprawdzenia stanu rzeczy. Nie stwierdzono żadnych zniszczeń murów, bruku, posadzki i przedmiotów kościelnych. Znaleziono jedynie krótką rysę na ścianie, którą jeden z chłopców zrobił gwoździem".

[21] Był to Kościół Świętego Krzyża, obok którego znajdował się nieużywany od dziesięciu lat cmentarz. Cmentarz (istniejący do dziś i noszący nazwę św. Piotra w Okowach od zbudowanej w 1746 r. kapliczki) miał przedsionek, rozległy dziedziniec i był otoczony portykiem.

Tak więc, po dwóch miesiącach spędzonych u św. Marcina, znów musieliśmy migrować[22]. Nowa siedziba wydawała się bardziej odpowiednia dla Oratorium. Długie portyki, przestronny dziedziniec i kościół, w którym można było odprawiać msze, budziły entuzjazm chłopców, z których wielu nie posiadało się z radości.

Ale i tu czekał na nas potężny wróg, którego jeszcze nie znaliśmy. Nie był to żaden ze spoczywających w pobliskich grobach zmarłych. Był to żywy człowiek: gospodyni kapelana. Gdy tylko usłyszała ona śpiew, krzyki – przyznajmy szczerze – wrzaski Oratorium, wypadała jak burza z mieszkania. W przekrzywionym czepku na głowie, ująwszy się pod boki, zaczęła wrzeszczeć na bawiących się chłopców. Wspomagali ją w tym dzielnie jakaś dziewczynka, pies, kot i całe stado kur. Wydawało się, jakby miała wybuchnąć wojna światowa.

Spróbowałem przemówić do tej kobiety, by uspokoić ją. Powiedziałem jej, że chłopcy nie są źli, że, owszem, są żywi, ale nie robią nic złego. Wtedy zwróciła się do mnie i obrzuciła obelgami.

Ostatni list ks. Tesio

Zrozumiałem, że najlepszym wyjściem było jednak przerwanie zabaw. Zrobiłem lekcję katechizmu, a potem poszliśmy do kościoła, odmówiliśmy różaniec i rozeszliśmy się. Miałem nadzieję, że w następną niedzielę będzie więcej spokoju, ale moje nadzieje szybko się rozwiały.

Kiedy kapelan wieczorem wrócił do domu, gospodyni podniosła lament. Mówiła, że ks. Bosko i jego chłopcy są wywrotowcami, łajdakami i że profanują święte miejsce. W końcu, pod jej dyktando, kapelan napisał list do Rady Miejskiej.

Był tak pełen żółci, że natychmiast wydano rozkaz zatrzymania każdego z nas, kto ośmieliłby się tam powrócić.

[22] Ks. Bosko opowiada o tym zdarzeniu bardzo żywo i na wesoło, podkreślając pewne szczegóły dla osiągnięcia efektu humorystycznego, ale popełnia przy tym pewien błąd w chronologii: nieudana przeprowadzka Oratorium do św. Piotra w Okowach miała nastąpić nie po przeniesieniu się do Młynów miejskich, ale bezpośrednio przed nim, prawdopodobnie w niedzielę 25 maja. Niepowodzenie, po którym nastąpił zgon ks. Tesio, zmusił ks. Bosko do krótkiego powrotu do Schroniska, po którym Oratorium przeniosło się 12 lipca do Młynów miejskich, do kościoła św. Marcina.

Przykro mówić, ale był to ostatni list kapelana Tesio. Napisał go w poniedziałek, a w kilka godzin później dostał ataku apopleksji i zmarł. W dwa dni później zmarła także jego gospodyni. Wiadomość ta szybko się rozeszła i wywarła olbrzymie wrażenie, zwłaszcza na młodzieży. Wszyscy chcieli poznać bliżej szczegóły tragedii. Ale w kościele Św. Piotra w Okowach nie wolno nam już było się spotykać. Gdzie miały się zatem odbywać nasze spotkania? Nie wiedzieli tego chłopcy, bo nie potrafiłem im podać żadnej konkretnej informacji, a tym bardziej również ja tego nie wiedziałem.

19. Trzy pokoje i wiosenna wyprowadzka

Oratorium na ulicach Turynu

W następną niedzielę wielu chłopców, których nie zdążyliśmy zawiadomić o zakazie wydanym przez Radę Miejską, poszło do kościoła św. Piotra. Znalazłszy wszystko zamknięte na cztery spusty, przyszli całą grupą do Szpitalika, w którym nadal mieszkałem.

Co miałem robić? Mój pokój był zawalony obrazami, ławkami i świecznikami służącymi do mszy oraz kulami, szczudłami i kółkami do zabawy. Szła za mną cała armia chłopców, ale nie miałem ani piędzi ziemi, gdzie mógłbym ich zebrać.

Starałem się ukryć mój żal. Pokazywałem im wesołą twarz i opowiadałem cuda o Oratorium, które jak na razie istniały tylko w mojej wyobraźni i w planach Boga.

By zorganizować im jakieś rozrywki w świąteczne dni, prowadziłem ich na spacery aż do Sassi, do kościoła Matki Bożej del Pilone, Matki Pól na Górę Kapucynów, a nawet do Supergi. W tamtejszych kościołach odprawiałem rano dla nich mszę i tłumaczyłem Ewangelię, a po południu robiłem lekcję katechizmu, opowiadałem i śpiewaliśmy razem. A potem spacerowaliśmy aż do chwili powrotu do domu. Wydawało się już, że w tej

krytycznej chwili plany dotyczące Oratorium rozwieją się, a tymczasem ilość chłopców, którzy się do nas garnęli, wciąż się zwiększała.

Pierwsze szkoły wieczorowe w domu ks. Moretty

Ale nadszedł listopad 1845 roku. Było już za zimno na spacery i wypady na miasto. Porozumiawszy się z ks. Borelem, wynająłem więc trzy pokoje w domu ks. Moretty, położonym tuż obok, prawie że naprzeciwko Sanktuarium św. Maryi Wspomożycielki. Po licznych remontach dom ten dziś wygląda zupełnie inaczej niż wówczas[23].

Spędziliśmy tam cztery miesiące. Było co prawda dość ciasno, ale przynajmniej mieliśmy się gdzie zebrać, mogłem dalej chłopców uczyć religii i spowiadać. Tej samej zimy zaczęliśmy również wieczorowe lekcje. Była to pierwsza tego typu inicjatywa w naszych stronach i wiele się o niej mówiło: wielu było za, ale inni przeciw.

W tym czasie znów zaczęły krążyć jakieś bardzo dziwne pogłoski, jakoby ks. Bosko był rewolucjonistą, a według innych heretykiem lub szaleńcem.

Turyńscy proboszczowie chcą zorientować się w sytuacji

Dwóch szacownych proboszczów turyńskich spotkało się ze mną. Reprezentowali wszystkich swych kolegów. Powiedzieli mi:

– To Oratorium odciąga chłopców od ich parafii i wkrótce proboszczowie zobaczą puste kościoły. Przecież nie będą nawet znali chłopców, za których odpowiadają przed Bogiem. Niech się ksiądz nad tym zastanowi. Niech ksiądz przestanie się z nimi spotykać i odeśle ich do swoich parafii.

– Większość chłopców, z którymi się spotykam – odparłem – nie zakłóca w niczym życia parafii, ponieważ nie znają ani swego proboszcza ani parafii.

– A dlaczego?

– Bo prawie wszyscy są spoza Turynu. Ich rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy. Nie znaleźli jej, ale wracając do siebie, chłopców zostawili tutaj. Lub też sami ci chłopcy przyszli do miasta, by znaleźć jakieś zajęcie. Pochodzą z Sawoi, Val d'Aosta, Szwajcarii, Lombardii, z Nowary i Bielli.

– A dlaczego nie pomóc im wejść do parafii?

– Bo nie wiedzą nawet, do jakiej parafii należą.

– To trzeba im pomóc ją odnaleźć.

– To wykluczone. Odmienność ich dialektów, brak stałego miejsca zamieszkania i nieznajomość miasta utrudniają, jeśli wręcz nie uniemożliwiają tego. Poza tym trzeba dodać, że wielu z nich to już dorośli, mają po osiemnaście, dwadzieścia lat, a niektórzy nawet dwadzieścia pięć. A o religii nic nie wiedzą. Kto przyjmie ich na lekcje katechizmu, na które przychodzą ośmio czy dziesięcioletni malcy?

– A nie mógłby ksiądz zaprowadzić ich do ich parafii, a potem przychodzić tam na lekcje katechizmu.

– Co najwyżej mógłbym chodzić do jednej parafii, na pewno nie do wszystkich. Lepiej już by było, gdyby proboszcz przyszedł tu zabrać tych, którzy należą do jego parafii i ich do niej zaprowadził, ale i tak nie byłoby to łatwe. Jest wielu niezdyscyplinowanych i trzpiotów. Akceptują katechizm i modlitwy tylko pod warunkiem, że się ich przyciągnie zabawami i wycieczkami, więc każda parafia musiałaby dysponować miejscem, gdzie można by im organizować rozrywki.

– To niemożliwe. Nie mamy miejsca, a poza tym w świąteczne dni księża mają co innego do roboty.

– A zatem?

– Niech ksiądz nadal się nimi zajmuje, a my tymczasem przedyskutujemy sytuację.

Wiosna przynosi nakaz wyprowadzki

Turyńscy proboszczowie gruntownie rozpatrzyli kwestię, czy Oratorium należy udzielić aprobaty, czy nie. Nie byli w tym względzie jednomyślni. Ostateczną decyzję zakomunikował mi ks. August Gattino, proboszcz z Borgo Dora i ks. Ponzati, proboszcz parafii św. Augustyna:

[23] Dom ten już nie istnieje. Ostatnia pozostała po nim ściana weszła w skład filii parafii Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, na prawo od drogi prowadzącej do wielkiej Bazyliki.

„Zebrani na posiedzeniu proboszczowie Turynu rozpatrzyli kwestię przydatności Oratorium. Rozważono za i przeciw, obawy i nadzieje. Ponieważ jest niemożliwością zorganizowanie Oratorium przy poszczególnych parafiach, zachęcamy ks. Bosko do kontynuowania dzieła, dopóki nie podejmiemy innych decyzji". W czasie, gdy to wszystko się rozgrywało, nadeszła wiosna 1846 roku. W domu ks. Moretty mieszkało wielu lokatorów. Zmęczeni krzykami chłopców i hałasem, jaki robili wchodząc i wychodząc, zapowiedzieli, że wyprowadzą się wszyscy, jeśli nie skończą się nasze zebrania. Biedny ks. Moretta musiał więc przyjść i przedstawić mi tę zbiorową skargę. Jeśli chcieliśmy, by Oratorium dalej wiodło swój żywot, musieliśmy natychmiast zacząć szukać innej siedziby.

20. Oratorium pod gołym niebem

Spowiedź nad brzegiem kanału

Marzec 1846 roku. Tak więc jeszcze raz z wielkim żalem i rozgoryczeniem musieliśmy zbierać manatki. Od braci Filippich wynająłem łąkę *(na której obecnie znajduje się odlewnia surówki)*[24].

I tak Oratorium znalazło się pod gołym niebem, na murawie łąki otoczonej rzadkim żywopłotem, przez który każdy mógł wejść. Chłopców było już od trzystu do czterystu i w tym Oratorium pod gołym niebem czuli się doskonale.

Ale przede mną piętrzyły się konkretne problemy do rozwiązania. Gdzie odprawiać mszę? Jak umożliwić im przystępowanie do Komunii i modlitwę? Jedyne, co mogliśmy robić, to lekcje katechizmu, śpiewy i nieszpory. Po modlitwach ks. Borel lub ja wchodziliśmy na jakieś podwyższenie terenu lub na krzesło i mówiliśmy do chłopców. Słuchali nas zawsze z dużą dozą dobrej woli.

Sprawę spowiedzi rozwiązaliśmy w ten sposób: wczesnym rankiem w świąteczne dni szedłem na łąkę, gdzie sporo chłopców już na mnie czekało. Siadałem nad rowem i słuchałem tych, którzy chcieli się wyspowiadać. Inni w tym czasie przygotowywali się do spowiedzi lub odmawiali modlitwy dziękczynne. Po spowiedzi organizowaliśmy zabawy.

Przy wtórze trąbki i bębna do Supergi

O określonej porze graliśmy na trąbce sygnał, który wzywał chłopców do zebrania się wokół mnie. Następny sygnał nakazywał ciszę. Wtedy zapowiadałem, gdzie pójdziemy wysłuchać mszy świętej i przyjąć Komunię.

Wyruszaliśmy, jak już mówiłem, do Sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia, do Matki Pól, do Stupinigi lub innego z wyżej wspomnianych miejsc. Często, by dotrzeć do tych odległych miejscowości, musieliśmy przejść spory kawał drogi. Opiszę, jak wyglądała taka wędrówka do Supergi. Na jej podstawie łatwo już wyobrazić sobie pozostałe.

Chłopcy byli na łące, grali w kule, puszczali kaczki lub biegali na szczudłach. W pewnej chwili rozległ się warkot bębna, a zaraz potem trąbka dała sygnał do zbiórki i wyruszenia w drogę. Szliśmy na mszę i parę minut po 9-ej byliśmy już na drodze prowadzącej do Supergi. Rozdzieliliśmy między siebie zabrany prowiant: jedni nieśli kosze z chlebem, inni sery i wędlinę, a jeszcze inni koszyki z owocami. Dopóki szliśmy przez miasto, staraliśmy się zachowywać cicho, dopiero potem zaczynały się śpiewy i krzyki. Cały czas jednak szliśmy dwójkami.

Wspaniała harmonia krzyków

U stóp wzniesienia, na którym wznosiła się Bazylika, czekał na nas wspaniały, przystrojony konik, którego wysłał nam ks. Anselmetti, proboszcz Supergi. Znaleźliśmy przy nim list od ks. Borela, który przybył na miejsce przed nami. Wsiadłem na konia i na głos przeczytałem: „Przybywajcie bez obaw. Obiad i wino czekają na was". Słowa te przyjęto z wrzaskiem radości, ogólnym aplauzem i owacjami.

[24] Idąc dziś ulicą Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, na skrzyżowaniu z ulicą Cigno widać po prawej dużą kamienicę, zajmującą pas terenu ciągnący się obok wydawnictwa SEI i wzdłuż alei Królowej Małgorzaty aż do dużej stacji benzynowej. Tam właśnie znajdowała się łąka braci Filippich.

Ruszyliśmy w dalszą drogę przy wtórze śpiewów i nawoływań. Ci, którzy szli najbliżej mnie, głaskali konia, ciągnęli go za ogon i uszy. Biedne zwierzę znosiło to bez protestu, wykazując tym samym, że ma więcej cierpliwości niż ten, który je dosiada. Przez cały ten rozgwar próbowała się przebić także nasza muzyka: bęben, trąbka i gitara. Nie grały co prawda zbyt zgodnie, ale wzmagały hałas i razem z wrzaskami chłopców tworzyły wspaniałą harmonię.

Puszczanie balonów

Na szczyt wzgórza wstępowaliśmy pełni śmiechów, śpiewów i wrzasków. Chłopcy byli zupełnie spoceni i, żeby nas nie przewiało, zgromadziliśmy się na dziedzińcu sanktuarium. Rozdaliśmy to, co przynieśliśmy do jedzenia, by zaspokoić dopisujące wszystkim apetyty. Gdy trochę odpoczęliśmy, zebrałem chłopców i opowiedziałem im ze szczegółami cudowną historię Bazyliki; opowiedziałem o grobach królewskich znajdujących się w jej podziemiach, o Akademii Teologicznej, założonej tam przez króla Karola Alberta przy poparciu wszystkich biskupów[25].

Ks. Wilhelm Audisio, rektor Akademii, zaprosił wszystkich na obiad, a proboszcz dołożył do tego wino i owoce.

Po południu przez dwie godziny zwiedzaliśmy najciekawsze miejsca, a potem zebraliśmy się w kościele pełnym ludzi. O 15-ej wszedłem na kazalnicę i wygłosiłem krótkie kazanie. Przed błogosławieństwem eucharystycznym nasi „kantorzy" pięknie odśpiewali *Tantum ergo*. Ludzie słuchali z podziwem.

O 18-ej wypuściliśmy na placu kilka balonów, podziękowawszy serdecznie gospodarzom za tak serdeczne przyjęcie, wyruszyliśmy z powrotem do Turynu, znów przy wtórze śpiewów i śmiechów, przeplatanych modlitwami.

[25] Założona przez Karola Alberta w 1833 r. Akademia miała na celu dalsze kształtowanie religijne najlepszych księży piemonckich. Przyjmowani księża byli magistrami teologii i prawa oraz poświęcali cztery lata na studia prawa kanonicznego i etyki. Wielu z nich obejmowało później ważne stanowiska w diecezjach. Akademię rozwiązano w 1855 r.

Tak oto dotarliśmy do miasta. W miarę tego, jak szliśmy przez poszczególne ulice, co raz to ktoś żegnał się, by pójść już do domu. Do samego Schroniska odprowadziło mnie siedmiu czy ośmiu najsilniejszych chłopców, którzy pomogli mi przynieść koszyki i resztę rzeczy.

21. Twarzą w twarz z Cavourem

„Gdyby ten ksiądz był generałem armii..."

Te wypady za miasto napełniały chłopców ogromnym entuzjazmem. Oratorium, oferujące im modlitwy, zabawy i wycieczki, stało się ich życiem. Każdy chłopiec był ze mną tak zaprzyjaźniony, że nie tylko mnie słuchał na każde moje skinienie, ale starał się zrobić mi jakąś przyjemność. Pewnego dnia jakiś policjant, który zobaczył, jak jednym gestem ręki uciszam czterystu chłopców, zawołał:

– Gdyby ten ksiądz był generałem armii, mógłby podbić najpotężniejsze wojsko świata.

Muszę przyznać, że sympatia i posłuszeństwo chłopców osiągały wręcz niewiarygodne szczyty. Ale pociągnęło to za sobą tylko nasilenie się pogłosek, jakoby ks. Bosko ze swymi chłopcami mógł w każdej chwili wywołać rozruchy.

Markiz szef policji traci cierpliwość

Były to śmieszne pogłoski, a jednak znalazły posłuch u władz. Największe podejrzenia wzbudziły w markizie Michale Cavourze, ojcu sławnego Kamila i Gustawa, wiceprezydenta miasta i szefa policji. Wezwał mnie do ratusza, zrelacjonował pokrótce szerzące się na mój temat pogłoski, a na zakończenie powiedział:

– Przecież ksiądz jest dobrym kapłanem. Proszę posłuchać mojej rady: niech ksiądz odeśle do domu tych chuliganów. Zarówno księdzu jak i

władzom miasta mogą tylko przysporzyć kłopotów. Mam dowody na to, że spotkania tych chłopców stanowią zagrożenie i dlatego nie mogę na nie dłużej pozwalać.

– Panie markizie – odparłem – przecież ja staram się tylko stworzyć tym biednym chłopcom z ludu trochę lepsze życie. Nie proszę o pieniądze, szukam tylko miejsca, gdzie mógłbym się z nimi zbierać. Dzięki mojej działalności mniej ich kończy w więzieniu.

– Myli się ksiądz. Księdza trud jest daremny. Nie mogę dać wam pomieszczenia, bo – powtarzam – wasze spotkania stanowią zagrożenie. A bez mojej pomocy nie znajdziecie środków na pokrycie wydatków i kosztów wynajmu. Powtarzam jeszcze raz: nie mogę dłużej pozwalać na zebrania tych włóczęgów.

– Mówi pan, że mój trud jest daremny, ale efekty, jakie osiągnąłem, mówią coś wręcz przeciwnego. Wielu z tych chłopców było zupełnie opuszczonych. Zebrałem ich, odciągnąłem od złego życia, wskazałem im drogę do uczciwego zarobku. Jeśli chodzi o środki finansowe, nigdy mi ich nie zabrakło: są w ręku Boga, który niekiedy przy pomocy lichych narzędzi realizuje Swoje największe plany.

– Niech ksiądz mnie posłucha. Nie mogę wydać zezwolenia na dalsze zgromadzenia.

– Nie mnie go pan odmawia, a tym opuszczonym chłopcom i spycha ich pan na złą drogę.

– Proszę milczeć. Nie wezwałem tu księdza na dyskusję. Ksiądz powoduje zamieszki, które powinienem i chcę ukrócić. Czy nie wie ksiądz, że jakiekolwiek publiczne zgromadzenia bez zezwolenia władz są zabronione?

– Ależ nasze spotkania nie mają politycznego charakteru. Uczę tych biednych chłopców katechizmu i robię to za zgodą Arcybiskupa.

– Czy Arcybiskup wie o działalności księdza.

– Oczywiście. Bez jego zgody nie uczyniłem nigdy ani kroku.

– Ale ja nie mogę pozwolić na te zebrania.

– Panie markizie, nie będzie chyba pan mi zabraniał uczyć katechizmu, na co mam pozwolenie Arcybiskupa?

– A jeśli Arcybiskup rozkaże księdzu rozwiązać to śmieszne Oratorium, to posłucha ksiądz?

– Zacząłem je prowadzić zachęcony do tego przez moje władze kościelne. Wypełnię każdy rozkaz Arcybiskupa.

– Dobrze więc, może ksiądz odejść. Porozmawiam z Arcybiskupem. Ale jeśli nawet jego ksiądz nie posłucha, będę musiał użyć surowszych środków, proszę o tym pamiętać.

Sądziłem już, że przynajmniej przez jakiś czas będę miał spokój, ale po powrocie do domu zastałem list od braci Filippich, którzy rozwiązywali umowę. Opadły mi ręce.

„Chłopcy księdza robią z naszej łąki pustynię – pisali. Tak depczą wszystko, że zniszczyli nawet korzenie trawy. Rezygnujemy z reszty zapłaty, ale w ciągu piętnastu dni musi ksiądz opuścić łąkę. Nie możemy zgodzić się na dłuższe z niej korzystanie".

Wielu przyjaciół, dowiedziawszy się o wszystkich tych trudnościach, radziło mi, bym rozwiązał Oratorium, twierdząc, że moje wysiłki są daremne. Inni, widząc mnie zmartwionego i zawsze otoczonego chłopcami, zaczęli już nawet podejrzewać i rozpowiadać, że chyba postradałem rozum.

Biedny ks. Bosko, naprawdę postradał zmysły

Któregoś dnia, siedzieliśmy w moim pokoju wraz z ks. Sebastianem Pacchiottim i innymi księżmi, gdy ks. Borel powiedział:

– Jeśli z czegoś nie zrezygnujemy, to stracimy wszystko. Rozwiążmy Oratorium i zostawmy tylko dwudziestkę najmłodszych chłopców. Nikt nie będzie się nami przejmował, jeśli będziemy uczyć katechizmu grupkę malców. A w międzyczasie Bóg wskaże nam najlepszą drogę, którą obrać.

– Niczego nie rozwiążemy – odparłem. – Mamy już siedzibę: obszerny dziedziniec, dom gotowy przyjąć wielu chłopców z kościołem i portykami. I są księża i klerycy, gotowi z nami współdziałać.

– Ale gdzie jest to wszystko? – przerwał mi ks. Borel.

– Nie wiem. Ale wiem, że to jest i że dostaniemy. Ks. Borel wybuchnął na to płaczem. Wykrzyknął:

– Biedny ks. Bosko, rzeczywiście postradał zmysły! Wziął mnie za rękę, ucałował mnie i odszedł wraz z ks. Pacchiottim i innymi. Zostałem sam w pokoju.

22. Po markizie – markiza

Nie mogę pozwolić, by ksiądz się zaharowywał

Pogłoski krążące na temat ks. Bosko zaniepokoiły wreszcie i markizę Barolo, a tym, co ją najbardziej dręczyło, była dezaprobata Rady Miejskiej Turynu.

Przyszła pewnego dnia do mojego pokoju i zaczęła mówić tymi słowy:

– Jestem bardzo zadowolona z tego, co ksiądz robi dla mojego Schroniska. Dziękuję, że ksiądz zadał sobie tyle trudu, by uczyć dziewczęta muzyki, śpiewów pobożnych i gregoriańskich, arytmetyki, a nawet systemu dziesiętnego.

– Nie ma pani za co dziękować. Praca jest obowiązkiem księży. Bóg nam to stokrotnie wynagrodzi. Nie mówmy już o tym.

– Ale chcę powiedzieć jeszcze jedno. Bardzo boli mnie to, że cały ten ogrom pracy rujnuje księdza zdrowie. To niemożliwe, by ksiądz jednocześnie zajmował się Szpitalikiem i opuszczonymi chłopcami. Tym bardziej, że liczba tych chłopców niepomiernie już wzrosła. Proponuję, by ksiądz się zajął tylko tym, co należy do księdza obowiązków, tzn. kierowaniem Szpitalika. Niech ksiądz przestanie chodzić do więzień, do Cottolengo. A przede wszystkim, niech przynajmniej przez jakiś czas przestanie się ksiądz zajmować tymi chłopcami. Co ksiądz na to?

– Pani markizo, jak dotąd Bóg mi pomagał i wierzę, że nadal będzie to robił. Niech się pani nie martwi ilością pracy, bo ja, ks. Pacchiotti i ks. Borel poradzimy sobie ze wszystkimi trudnościami.

– Ale ja nie mogę pozwolić, by ksiądz się zabijał pracą. Czy ksiądz tego chce, czy nie, nadmiar obowiązków szkodzi księdza zdrowiu i ujemnie odbija się na pracy Schroniska. A poza tym powinien wreszcie zdać sobie ksiądz sprawę z tego, co mówi się o zdrowiu psychicznym księdza i z tego, że Oratorium księdza nie cieszy się poparciem władz. Wszystko to skłania mnie, by postawić sprawę jasno.

– To znaczy, pani markizo?

– Musi ksiądz wybrać: albo Oratorium, albo Schronisko. Niech to ksiądz spokojnie przemyśli, mogę zaczekać na odpowiedź.

– Moja odpowiedź gotowa jest już od dawna. Pani ma pieniądze i może pani znaleźć wielu księży, którzy mnie zastąpią, natomiast moi chłopcy nie mają nikogo. Jeśli ja ich opuszczę, będzie to dla nich koniec. A zatem będzie musiała mnie pani zwolnić, choć chciałbym dalej robić, co w mojej mocy dla Schroniska. Poświęcę się w całości tym biednym i opuszczonym chłopcom.

– Ale jak będzie ksiądz żył bez pensji?

– Bóg mi zawsze pomagał, więc myślę, że i teraz mnie nie opuści.

„Dam księdzu radę, jakbym była księdza matką..."

– Ale ksiądz ma zniszczone zdrowie, jest ksiądz wyczerpany. Jeśli ksiądz stąd odejdzie, zadłuży się ksiądz po uszy, i wtedy ksiądz wróci do mnie, ale ja już teraz księdzu zapowiadam, że na księdza chłopców nie dam ani grosza. Proszę przyjąć moją radę. Daję ją, jakbym była księdza matką. Niech ksiądz weźmie te pieniądze i jedzie, gdzie chce, żeby wreszcie odpocząć. Na rok, trzy, pięć lat, jeśli trzeba. A jak ksiądz wróci do sił, powróci do Schroniska a my powitamy księdza z otwartymi ramionami. Jeśli odrzuci ksiądz radę, jaką daję dla księdza dobra, będę zmuszona księdza zwolnić. Proszę się dobrze zastanowić.

– Powtarzam pani, markizo, że już to przemyślałem. Celem mojego życia jest dobro młodzieży. Dziękuję za pani szlachetne propozycje, ale nie mogę zejść z drogi, którą wytyczyła mi Boska Opatrzność.

– Wniosek z tego, że woli ksiądz swych włóczęgów od mojego Schroniska. Jeśli tak, jeszcze dziś poszukam zastępcy na miejsce księdza.

Zwróciłem jej uwagę, że takie natychmiastowe zwolnienie mnie mogłoby nasunąć podejrzenia co do jego motywów i że lepiej się nie spieszyć i kierować się miłością, z której kiedyś będziemy musieli zdać sprawę Bogu.

– Dobrze – stwierdziła. – Jeśli w ciągu trzech miesięcy nie zmieni ksiądz zdania, znajdę kogoś innego na miejsce dyrektora Szpitalika.

Zgodziłem się, oddając się w ręce Boga.

Pogłoski, jakoby ks. Bosko postradał zmysły, rzeczywiście szerzyły się coraz bardziej. Moi przyjaciele bardzo się tym martwili. Inni podśmiewali się.

Wszyscy trzymali się ode mnie z daleka. Arcybiskup nie mieszał się w tę całą sprawę. Ks. Cafasso radził, by przeczekać. Ks. Borel milczał. Wszyscy moi współpracownicy zostawili mnie samego razem z moimi czterystoma chłopcami.

Nie jeden, ale dwóch księży w domu wariatów

W tym okresie kilka szacownych osób doszło do wniosku, że należy się zająć moim zdrowiem. Jedna z tych osób zaproponowała:

– Ks. Bosko jest pomylony. Jeśli nie znajdzie się pod odpowiednią opieką, zupełnie postrada zmysły. Zawieźmy go do szpitala psychiatrycznego, gdzie lekarze odpowiednio się nim zajmą.

Dwóch księży miało się zająć tym, przyjechać po mnie powozem i zawieźć mnie do szpitala. Przyszli, uprzejmie się ze mną przywitali, zaczęli mnie wypytywać o zdrowie, o Oratorium, o wielki dom i kościół, które miały być, jak mówiłem, przyszłą naszą siedzibą. W końcu z głębokim westchnieniem stwierdzili:

– To jednak prawda.

Zaprosili mnie na przejażdżkę powozem:

– Trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi, a przy okazji trochę porozmawiamy.

Przejrzałem natychmiast „numer", jaki chcieli mi zrobić, ale jak gdyby nigdy nic poszedłem z nimi spokojnie do powozu. Przepuściłem ich, by wsiedli pierwsi, a gdy już byli w środku, zatrzasnąłem szybko drzwiczki i zawołałem głośno do woźnicy:

– Szybko, do szpitala psychiatrycznego! Czekają tam na tych dwóch księży.

23. Szopa, w której wszystko się zaczęło

Bóg zesłał jąkającego się człowieka

Nadeszła ostatnia niedziela, w którą mogłem jeszcze zebrać chłopców z Oratorium. Był 5 kwietnia 1846 roku, ostatnia niedziela przed Wielkanocą. Nic nikomu nie mówiłem, ale wszyscy wiedzieli, że jestem w tarapatach.

Tego wieczoru szczególnie długo przyglądałem się tłumowi bawiących się chłopców. Było to „obfite żniwo", brakowało tylko żniwiarzy. Byłem tylko ja, zmęczony robotnik o nadwątlonym zdrowiu. Czy będę jeszcze mógł zebrać moich chłopców? Gdzie?

Odszedłem na bok, zacząłem się przechadzać i łzy napłynęły mi do oczu. „Mój Boże – zawołałem – dlaczego nie wskażesz mi miejsca, gdzie przenieść Oratorium? Powiedz mi, gdzie ono jest, lub co mam robić".

Ledwie wypowiedziałem te słowa, gdy stanął przede mną niejaki Pankracy Soave i wyjąkał:

– Czy to prawda, że ksiądz szuka miejsca, na laboratorium?

– Nie na laboratorium, a na Oratorium.

– Wszystko jedno, w każdym bądź razie jest takie miejsce. Jest własnością pana Franciszka Pinardi26, porządnego człowieka. Niech ksiądz idzie ze mną. Będzie ksiądz na pewno zadowolony.

Schody i spróchniały balkon

W tym właśnie momencie nadszedł ks. Piotr Merla, mój kolega z seminarium i założyciel *Rodziny Św. Piotra*. Był wspaniałym księdzem. Założył ochronkę dla kobiet, które przebywały w więzieniu i z tego powodu nie mógł znaleźć pracy, by zarobić na życie. Kiedy ks. Merla miał chwilkę wolnego czasu, przybiegał, by pomóc mi w pracy z chłopcami.

Ujrzawszy mnie, wykrzyknął:

---

[26] Franciszek Pinardi był przybyłym do Turynu Lombardczykiem, urodzonym w Arcisate (prow. Varese). Dom, który później miał wynająć i sprzedać ks. Bosko, kupił niecały rok wcześniej, 14 lipca 1845 r.

– Co ci jest? Nigdy cię jeszcze nie widziałem tak przygnębionego. Zdarzyło się jakieś nieszczęście?

– Jeszcze nie, ale niedługo się zdarzy. Dziś jest ostatni dzień, który mogę spędzić wraz z chłopcami na łące. Za dwie godziny będzie już ciemno i będę musiał ich odesłać do domu, a nie wiem, gdzie się z nimi umówić na następną niedzielę. Ten człowiek powiedział mi właśnie, że zna miejsce, które mogłoby nam się przydać. Zastąp mnie na chwilę przy chłopcach, a ja pójdę je zobaczyć i zaraz wrócę.

Prowadzony przez Pankracego Soave dotarłem przed jednopiętrowy domek ze schodami i balkonem ze spróchniałego drewna. Naokoło rozciągały się ogrody, pola i łąki. Zamierzałem wejść na schody, gdy usłyszałem pana Pinardiego:

– Nie, to nie tu. Miejsce dla księdza jest z tyłu.

Długa szopa

Była to długa szopa[27] *(15 na 6 metrów),* z jednej strony opierająca się o ścianę domu, a z drugiej opadała do wysokości jednego metra nad ziemią. Mogła służyć za magazyn czy drewutnię i nic więcej. Wszedłem pod nią schylony, by nie uderzyć się głową o dach.

– Niestety, jest za niska dla nas – powiedziałem.

– Każę zrobić wszystko, co ksiądz chce – odparł uprzejmie pan Pinardi. – Obniżę teren, zrobi się schodki, zmienię nawierzchnie. Chciałbym bardzo, żeby właśnie tu ksiądz zorganizował swoje laboratorium[28].

– To nie będzie laboratorium, ale Oratorium, mały kościół, w którym będę mógł zbierać chłopców.

– Tym lepiej. Jestem śpiewakiem w chórze i mogę księdzu pomóc. Przyniosę dwa krzesła: jedno dla mnie, drugie dla żony. Mam też w domu lampę, mogę ją przynieść. Zawrzyjmy umowę!

Ten dobry człowiek wyraźnie cieszył się, że w jego domu będzie kościół.

– Mój drogi przyjacielu – powiedziałem, dziękuję panu za jego dobre chęci. Jeśli zagwarantuje mi pan, że obniży pan teren o 50 cm, zgadzam się. A ile będzie wynosił czynsz?

– Trzysta lirów. Dawali mi co prawda więcej, ale wolę wynająć księdzu, tym bardziej, że ma tu powstać kościół.

– Mogę dać panu trzysta dwadzieścia lirów29, o ile wynajmie mi pan też pas ziemi naokoło szopy, żeby chłopcy mieli gdzie się bawić. Musi mi pan jednak przyrzec, że już w najbliższą niedzielę będziemy mogli tu przyjść.

– Zgoda. A więc umowa stoi. Może ksiądz spokojnie przyjść w niedzielę, wszystko będzie gotowe.

Ostatni różaniec na trawie

Biegiem wróciłem do chłopców, zebrałem ich wokół siebie i zawołałem:

– Cieszmy się moje dzieci! Mamy Oratorium, z którego nikt nas już nie wygoni. Będziemy mieli kościół, szkołę i miejsce do skakania i zabawy. Idziemy tam w niedzielę. To jest w domu Franciszka Pinardi! – i ręką wskazałem kierunek.

Moje słowa powitał ogólny nieopisany entuzjazm. Jedni biegali, inni skakali z radości, krzyczeli, wznosili okrzyki zachwytu, a jeszcze inni stali nieruchomo, jak posągi, osłupiali z wrażenia.

Przepełniała nas olbrzymia radość i nie wiedzieliśmy, jak jej dać upust. Najświętsza Panna, do której modliliśmy się tego ranka przed obrazem Matki Pól, wysłuchała nas. By podziękować Jej, uklękliśmy na trawie po raz ostatni i odmówiliśmy różaniec. Potem rozeszliśmy się do domów.

W ten sposób pożegnaliśmy się z naszą łąką, ale bez żalu, bo czekało na nas lepsze miejsce.

---

[27] Szopę tę wybudował Franciszek Pinardi dopiero pięć miesięcy przedtem. Służyła ona za magazyn praczkom, które prały w przepływającym obok kanale.

[28] Fakt, że Pinardi i Soave pomylili warsztat i Oratorium (w języku włoskim nazwy te są poza tym podobne: *laboratorio* i *oratorio* - przyp. tłum.) jest w pełni zrozumiały. W owych czasach w pobliżu rzek wznoszono wiele warsztatów, a tam przepływał w pobliżu kanał wpadający do Dory.

[29] Podpisana przez Franciszka Pinardiego i ks. Borela umowa stwierdza, ze szopa i przylegające do niej podwórka zostały wynajęte na trzy lata i że roczny czynsz wynosił trzysta lirów. Początkowo było napisane trzysta dziesięć, ale dziesięć potem skreślono (czyżby dobry uczynek Pinardiego?).

W następną niedzielę wypadała Wielkanoc. Przenieśliśmy pod szopę pana Pinardiego ławki, obrazy, świeczniki, kule, szczudła, trąbkę i bęben. Obejmowaliśmy nasz nowy dom w posiadanie.

Drzewo się rozrasta 1846–1856

1. Jeden dzień życia Oratorium

Zabezpieczeni na trzy lata

Ten nowy kościół był bardzo ubożuchny, ale mieliśmy legalną umowę, która zapewniała nam prawo do niego na trzy lata, a to uwalniało nas od troski o kolejne wypowiedzenie w najmniej oczekiwanym momencie. Z Bożą pomocą skończyły się nasze migracje.

Mnie ten kościółek wydawał się miejscem, gdzie we śnie zobaczyłem napis: *To jest mój dom, stąd wyjdzie chwała moja.* Ale plany Boże były inne.

Niedaleko naszego Oratorium znajdował się, niestety, dom, w którym mieszkały kobiety podejrzanej reputacji i gdzie do późnej nocy była otwarta winiarnia. W świąteczne zwłaszcza dni była ona miejscem spotkań pijaków z miasta. Mimo tego niebezpiecznego sąsiedztwa zaczęliśmy się regularnie spotykać.

Gdy ukończono już wszystkie prace przygotowawcze, Arcybiskup zezwolił nam pobłogosławić nasz ubogi lokal i używać go jako kościoła. Nastąpiło to w niedzielę Wielkanocną, 12 kwietnia 1846 roku.

By okazać nam swe zadowolenie, Arcybiskup odnowił wszystkie zezwolenia dane nam, gdy Oratorium znajdowało się jeszcze w Schronisku. W naszej kapliczce mogliśmy śpiewać mszę, odprawiać triduum i nowennę, organizować rekolekcje, przyjmować Komunię świętą, a nawet urządzić bierzmowanie. Arcybiskup pozwolił również, by wszyscy uczęszczający do Oratorium chłopcy mogli w kaplicy pana Pinardiego przyjmować Wielkanocną Komunię *(w tych czasach do Wielkanocnej Komunii należało przystępować w swojej parafii).*

Dzieje biblijne w odcinkach

Stała siedziba, oznaki sympatii ze strony Arcybiskupa, możliwość odprawiania mszy, muzyka i wesoły rozgwar zabaw przyciągały chłopców ze wszystkich stron. Wielu z księży, którzy mnie opuścili, zaczęło teraz wracać. Bardzo pomagali mi ks. Józef Trivero i ks. Jacek Carpano, ks. Jan Vola, ks. Robert Murialdo i jak zawsze niezmordowany ks. Borel.

A oto jak przebiegał nasz świąteczny dzień.

Wczesnym rankiem otwierałem kościół i zaczynałem spowiadać chłopców. Spowiedź trwała aż do mszy, która normalnie zaczynała się o 8-ej ale by zadowolić wszystkich tych, którzy chcieli się wyspowiadać, często musiałem ją przesuwać na 9–tą, a nawet później.

Jeśli był jeszcze jakiś ksiądz, opiekował się w tym czasie chłopcami i pomagał im modlić się.

Podczas mszy ci, którzy byli przygotowani, przystępowali do Komunii świętej. Zaraz potem wchodziłem na kazalnicę i tłumaczyłem Ewangelię (po kilku niedzielach zacząłem opowiadać *Dzieje biblijne w odcinkach).* Starałem się mówić prostym i zrozumiałym językiem i ożywiać opowiadania opisami miejsc i trybu życia w różnych epokach. Podobało się to zarówno chłopcom, jak i przysłuchującym się księżom. Po kazaniu zaczynaliśmy lekcje, które trwały do południa.

Katechizm, różaniec, nieszpory

O pierwszej zaczynały się zabawy: gra w kule, szczudła, drewniane szpady i strzelby i przyrządy gimnastyczne. O wpół do trzeciej następował katechizm. Chłopcom, którzy przychodzili w tym czasie do Oratorium nauka szła wolno. Wiele razy, gdy zaczynałem śpiewać *Ave Mana,* okazywało się, że na czterystu obecnych chłopców prawie żaden nie umiał śpiewać, jeśli ja milkłem. Po lekcji katechizmu odmawialiśmy różaniec. Powoli zdołałem ich nauczyć śpiewać nieszpory. Zaczęliśmy od *Ave Maris Stella,* potem przeszliśmy do *Magnificat,* a wreszcie kolejno do *Psalmów* i na zakończenie do antyfon. W przeciągu roku nauczyliśmy się śpiewać całe nieszpory do Matki Boskiej.

Po nieszporach (lub po różańcu) następowało krótkie kazanie, w którym zwykle opowiadałem jakieś zdarzenie, ucząc jakiejś cnoty lub skłaniające do zerwania ze złymi przyzwyczajeniami. Całość kończyła litania do Najświętszej Maryi Panny i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

Jedno słówko na ucho

Po wyjściu z kościoła zaczynał się wolny czas, który każdy spędzał jak chciał. Niektórzy dalej uczyli się katechizmu lub śpiewu czy czytania. Większość biegała i skakała do wieczora. Pod moim nadzorem szły w ruch wszystkie przedmioty do zabawy, a nawet przybory linoskoczka, których używałem na łąkach Becchi. Tylko dzięki nim można było zapobiec kłótniom i skłonić do zachowania porządku przy zabawie tę armię chłopców. O wielu z nich można było powiedzieć, używając słów *Pisma świętego:* „Wierzgają jak konie i muły, ale nie rozumieją".

Muszę jednak stwierdzić, że nawet u chłopców bez żadnego wykształcenia, podziwiałem zawsze ich olbrzymi szacunek dla Kościoła i kleru oraz wielką chęć poznania religii chrześcijańskiej.

Ja wykorzystywałem ten wolny czas, by choć trochę porozmawiać z każdym chłopcem. Jednemu polecałem na ucho, by był bardziej posłuszny, innemu, by bardziej przykładał się do katechizmu, innemu, by przyszedł się wyspowiadać, jeszcze innemu poddawałem jakąś myśl do refleksji itd. Mogę powiedzieć, że godziny rekreacji służyły mi do porozmawiania ze sporą ilością chłopców, którzy w następną sobotę wieczorem lub w niedzielę rano przychodzili do mnie z chęcią wyspowiadać się.

„Uklęknij i wyspowiadaj się"

Jeśli widziałem, że któryś z nich przez dłuższy czas zaniedbuje te ważne obowiązki, przerywałem mu zabawę i prowadziłem sam do spowiedzi. Opowiem o jednym takim fakcie.

Pewien chłopiec, któremu parokrotnie już przypominałem o spowiedzi i Komunii Wielkanocnej, za każdym razem obiecywał, po czym nie dotrzymywał słowa. Któregoś popołudnia, po nabożeństwie, zaczął się wesoło bawić. Biegał cały spocony i z zaczerwienioną twarzą, gdy go stanowczo zatrzymałem: „Chodź ze mną do zakrystii. Mam do ciebie sprawę".

Chciał pójść tak jak stał, w samej koszuli. „Nie", powiedziałem, „załóż marynarkę i chodź". Gdy znaleźliśmy się w zakrystii, powiedziałem mu:

– Uklęknij na tym klęczniku.
– Zrozumiał, że każę mu przynieść klęcznik i poszedł po niego.
– Nie, zostaw klęcznik tam, gdzie jest.
– To czego ksiądz chce?
– Chcę cię wyspowiadać.
– Nie jestem przygotowany.
– Wiem o tym.
– A więc?
– A więc przygotuj się, a potem cię wyspowiadam.
– Dobrze. Dobrze ksiądz zrobił, że mnie tak złapał. Inaczej, sam bym nigdy nie przyszedł ze wstydu przed kolegami.

Podczas, gdy ja odmawiałem brewiarz, przygotował się, a potem porządnie się wyspowiadał i odmówił modlitwy dziękczynne. Od tego czasu był jednym z najbardziej pilnych w wypełnianiu chrześcijańskich powinności. A i sam opowiadał o tym jeszcze kolegom, przyznając:

– Ks. Bosko jest sprytny, że złapał takiego ptaszka jak ja. Po zapadnięciu zmroku, dzwonek wzywał jeszcze raz wszystkich do kościoła, gdzie odmawialiśmy parę modlitw lub różaniec. Kończyliśmy dzień odśpiewaniem *Niech zawsze będzie chwalone imię Jezusa i Maryi.*

Ostatnia pieśń na rondzie[30]

Wyjście z Oratorium było sceną niezapomnianą. Po wyjściu z kościoła każdy po tysiąc razy powtarzał dobranoc, nie mogąc rozstać się z przyjaciółmi. Mogłem sobie mówić: „Idźcie do domu, bo robi się późno i

[30] *Ostatni śpiew na rondzie.* Ksiądz Bosko dwukrotnie opisuje rozchodzenie się chłopców w niedzielny wieczór: raz, skrótowo, w pięciu linijkach; drugi – spostrzegłszy może, że za mało rozwinął i rozbudował tę wymowną scenę – w dwudziestu linijkach. Przepisując tekst, opuściłem pierwszą, pięciolinijkową wersję, ale przytaczam ją poniżej: „Po wyjściu z kościoła wychodziłem wraz z nimi z Oratorium. Chłopcy śpiewali i nawoływali się. Wspólnie dochodziliśmy do ronda, odśpiewywaliśmy jeszcze parę zwrotek pieśni o treści dziękczynnej, umawialiśmy się na następną niedzielę, życzyliśmy sobie na głos „dobrej nocy" i rozchodziliśmy się do domów".

krewni na was czekają". Na próżno. Tłoczyli się naokoło mnie, po czym sześciu najsilniejszych splatało coś w rodzaju siodełka, na którym, jak na tronie, musiałem usiąść. Jak na hasło chłopcy ustawiali się wtedy w rzędy i, niosąc na rękach ks. Bosko, ruszali w drogę śpiewając, śmiejąc się i pokrzykując aż do ronda *(na skrzyżowaniu Alei Królowej Małgorzaty, wówczas zwaną Aleją św. Maksyma, z innymi ulicami)*. Tam śpiewaliśmy jeszcze parę pieśni, które kończyło zawsze uroczyste *Niech zawsze będzie chwalone imię Jezusa i Maryi*.

Potem zapadała głęboka cisza, w której życzyłem wszystkim dobrej nocy i udanego tygodnia. Na cały głos odpowiadali mi „Dobranoc" i dopiero wtedy mogłem zejść z mojego tronu. Każdy wracał do swojej rodziny, z tym że najstarsi odprowadzali mnie do domu[31], ledwo żywego ze zmęczenia.

2. Król Karol Albert ratuje Oratorium

„Wydawało mi się, jakby zaczynał się Sąd Ostateczny"

W Oratorium panował porządek, dyscyplina i spokój, ale i tak markiz Cavour, wiceprezydent, chciał położyć kres naszym spotkaniom, które uważał za niebezpieczne.

Dotarła do niego wiadomość, że przy poparciu Arcybiskupa nadal prowadziłem swoją działalność, a że ze względu na stan zdrowia Arcybiskup nie mógł udać się do niego, zwołał naradę Rady Nadzorczej w pałacu Arcybiskupa.

W skład Rady Nadzorczej wchodzili najbardziej szacowni radcy miejscy i w jej rękach skupiała się właściwie cała władza nad miastem. Szef Rady Nadzorczej *(którym był wówczas markiz Cavour),* miał większą władzę niż prezydent miasta. Nazywano go Wiceprezydentem, Mistrzem Prawa lub też Pierwszym Dekurionem. Arcybiskup powiedział mi potem:

- Kiedy zobaczyłem wszystkich tych potężnych mężów w moim pałacu, miałem wrażenie, że zaczyna się Sąd Ostateczny.

Przedyskutowano dobre i złe strony Oratorium, po czym stwierdzono, że należy absolutnie zakazać dalszych zebrań, jako zagrażających publicznemu spokojowi.

Interwencja króla

W skład Rady Nadzorczej wchodził jednak także hrabia Józef Provana di Collengo, wybitny dobroczyńca Oratorium. W tym czasie król Karol Albert powierzył mu urząd Ministra Kontroli Generalnej, czyli Ministra Finansów. Niejednokrotnie hrabia wspierał mnie finansowo w imieniu króla i w swoim własnym. Karol Albert słuchał zawsze z przyjemnością wiadomości o Oratorium. Kiedy organizowaliśmy obchody jakiegoś święta, chętnie czytał pisemne sprawozdanie, jakie mu wysyłałem lub słuchał relacji hrabiego Provany. Wielokrotnie przekazywał mi wyrazy głębokiego szacunku dla naszej posługi wśród chłopców z ludu, posługi tak podobnej do misjonarzowania na obcej ziemi. Wyrażał nadzieję, że instytucje takie jak nasza rozpowszechnią się we wszystkich miastach i miejscowościach jego państwa. Na każdy Nowy Rok wysyłał nam życzenia, do których dołączał trzysta lirów przeznaczonych dla „urwisów ks. Bosko". Gdy dowiedział się, że Rada Nadzorcza zamierza przedyskutować sprawę zamknięcia Oratorium, wezwał do siebie hrabiego Provanę i kazał mu zakomunikować wolę króla tymi oto słowy:

– Król pragnie, by tym świątecznym zebraniom udzielono wszelkiej opieki i pomocy. Jeśli pojawi się niebezpieczeństwo zamieszek, należy szukać sposobu, by je uprzedzić i przeszkodzić im.

Hrabia Provana w milczeniu przysłuchiwał się całej ożywionej dyskusji. Kiedy zobaczył, że podejmuje się decyzję o zamknięciu Oratorium i zakazie dalszych zebrań w nim, poprosił o głos, wstał i zakomunikował wolę króla. Karol Albert brał zawsze nasze początkujące dzieło pod swoją opiekę.

Wobec takiej woli króla, Wiceprezydent i Rada Nadzorcza cofnęli swą poprzednią decyzję.

[31] Ks. Bosko mieszkał wówczas jeszcze w pokoiku przy Schronisku markizy Barolo. Dopiero od listopada 1846 r., kiedy to wynajmie dwa pokoje w domu Pinardiego, zamieszka wraz ze swą matką Małgorzatą przy Oratorium.

Strażnicy Oratorium

Wiceprezydent wezwał mnie ponownie do siebie w trybie pilnym. Dalej co prawda przemawiał tonem groźby i nazywał mnie upartym, ale pod koniec przeszedł do łagodniejszych słów:

– Nie chcę niczyjej krzywdy. Ksiądz pracuje w dobrej intencji, ale to, co ksiądz robi, jest najeżone niebezpieczeństwami. A ponieważ na moich barkach spoczywa cała odpowiedzialność za porządek publiczny, poślę straże, by czuwały nad księdzem i jego zebraniami. Przy najmniejszym zakłóceniu porządku, rozgonię tych łobuzów, a ksiądz odpowie mi za wszystko.

Czy to na skutek wzburzenia i napięcia, jakie przeżywał w tym okresie, czy z powodu jakiejś choroby, która gnębiła go już wcześniej dość, że była to ostatnia bytność markiza de Cavour na ratuszu. Dostał ataku podagry, wiele cierpiał i w parę miesięcy później zmarł.

W ciągu sześciu miesięcy życia[32], jakie mu pozostały, co niedzielę przysyłał do nas strażników miejskich, którzy spędzali z nami cały dzień. Mieli oko na wszystko, co mówiliśmy lub robiliśmy w kościele i poza nim[33]. Któregoś dnia markiz zapytał jednego z nich:

– Ostatecznie, co zobaczyliście i usłyszeliście wśród tej hołoty?

– Panie markizie, widzieliśmy armię chłopców, bawiących się na tysiąc różnych sposobów, a w kościele słyszeliśmy kazania, które budzą strach. Ks. Bosko tyle opowiada o piekle i o diable, że mnie też ogarnęła chęć, by się wyspowiadać.

– A o polityce?

– O polityce ani słowa. Zresztą ci chłopcy i tak by nic z tego nie zrozumieli. Gdyby była mowa o bułkach, to wtedy owszem, każdy mógłby powiedzieć, co o tym myśli.

Od śmierci markiza de Cavour, Ratusz nie stawiał nam więcej przeszkód, a nawet, aż do 1877 roku, zawsze nam pomagał.

3. Analfabeci też mają prawo do nauki

Podstawowy tekst: katechizm

Już wtedy, gdy rozpoczynałem pierwsze akcje w Oratorium przy kościele św. Franciszka z Asyżu, rozumiałem konieczność uczenia chłopców. Niektórzy z nich byli już duzi, a nic jeszcze nie wiedzieli o religii. Normalne lekcje katechizmu, prowadzone na żywo, były dla nich nudne i puste. Zdarzało się, że – po paru takich lekcjach – więcej ich nie widziałem.

Już wtedy zacząłem myśleć o poważnej nauce, ale nie miałem lokalu ani nauczycieli, którzy by mi pomagali, więc eksperyment się nie udał.

W Schronisku, i później, w domu Moretty, zaczęliśmy prowadzić regularną szkółkę niedzielną, a następnie także lekcje wieczorowe.

Chcąc osiągnąć lepsze efekty, omawialiśmy tylko jeden temat na jednej jednostce lekcyjnej. Na przykład, przez dwie niedziele powtarzaliśmy alfabet i podział na sylaby. Potem braliśmy mały katechizm i czytaliśmy dwukrotnie, a więcej razy, pierwsze dwa pytania i odpowiedzi, aż potrafiliśmy je dobrze przeczytać. Tak wyglądała także lekcja w tygodniu. W następną niedzielę dokładaliśmy jeszcze jedno pytanie i odpowiedź. W ten sposób, w ciągu ośmiu niedziel, udało mi się osiągnąć, że część chłopców czytało i uczyło się samodzielnie całych stron katechizmu. Zwłaszcza najstarsi zyskiwali dzięki temu bardzo na czasie. Przy normalnych lekcjach katechizmu, potrzeba im było wielu lat na uzyskanie odpowiedniego przygotowania i dopuszczenie do spowiedzi.

---

[32] I tutaj ks. Bosko myli nieco daty i czas. Markiz Michał Cavour zmarł nie w parę miesięcy, a w trzy i pół roku po rozmowie, 15 czerwca 1850 r. Pisząc o sześciu miesiącach, ks. Bosko ma może na myśli okres, przez jaki jeszcze markiz sprawował swój urząd, ponieważ rzeczywiście był Wiceprezydentem od 27 czerwca 1835 r. do 17 czerwca 1847 r. Z innych źródeł wiadomo, że ks. Bosko odwiedził markiza podczas ostatniej jego choroby i że otrzymał od niego wówczas dwieście lirów „dla swoich łobuziaków".

[33] W 1877 r. ks. Bosko powie do ks. Barberisa: „Bardzo żałuję, że nie miałem wówczas aparatu fotograficznego. Wspaniale byłoby móc jeszcze raz zobaczyć te setki chłopców zasłuchanych we mnie i sześciu miejskich strażników, stojących sztywno parami w trzech różnych punktach kościoła, którzy z założonymi rękami również przysłuchiwali się kazaniu. Choć byli tam po to, by pilnować mnie, pomagali mi trzymać porządek wśród chłopców! Niektórzy wierzchem dłoni ocierali ukradkiem oczy. Wspaniale byłoby sfotografować ich klęczących przy konfesjonale wśród chłopców w oczekiwaniu na swoją kolej. Bo mówiłem kazanie bardziej dla nich niż dla chłopców: mówiłem o grzechu, o śmierci, o sądzie i o piekle...".

Czytać, pisać i uczyć się religii

Dla wielu chłopców szkółka niedzielna dawała dobre rezultaty, ale dla innych była niewystarczająca, ponieważ mieli bardzo słabą pamięć: w ciągu tygodnia zapominali to, czego się nauczyli w ostatnią niedzielę. I to właśnie skłoniło mnie do wprowadzenia codziennych lekcji wieczorem. Zaczęliśmy je w Schronisku, w domu Moretty prowadziliśmy je coraz regularniej, i dalej rozwijaliśmy je na Valdocco, czyli naszej pierwszej stałej siedzibie.

Regularne lekcje wieczorowe miały podwójny efekt: zachęcały wielu chłopców do uczestnictwa, by zdobyć pilnie im potrzebną umiejętność pisana i czytania, a zarazem dawały wszystkim możliwość uczenia się religii, co było zasadniczym celem naszej pracy.

Czas młodych nauczycieli

Każdego dnia, można rzec, musiałem otwierać nowe klasy. Ale gdzie znaleźć tylu nauczycieli? Zastosowałem następującą metodę: zabrałem się do uczenia sporej grupy chłopców z miasta, którym bezpłatnie wykładałem włoski, łacinę, francuski i arytmetykę. Stawiałem przy tym jeden warunek, a mianowicie, że potem pomogą mi w nauczaniu katechizmu i w prowadzeniu szkółki niedzielnej i wieczorowej. Początkowo tych „niepełnych nauczycieli" było ośmiu – dziesięciu, ale stopniowo ich liczba wzrastała. Oni dali początek grupie „uczniów" *(obok nich wyłoniła się w Oratorium od 1850 roku grupa „rzemieślników").*

Pierwsi „niepełni nauczyciele" zaczęli mi pomagać jeszcze w czasach, gdy przebywałem w Konwikcie Św. Franciszka z Asyżu. Wówczas byli chłopcami, dziś zajmują w mieście poważne stanowiska. Pamiętam spośród nich Feliksa Vergnano, handlarza tkaninami, Jana Coriasco, dziś mistrza stolarskiego i Pawła Delfino, nauczyciela przedmiotów technicznych.

W Schronisku moimi pomocnikami byli m.in. Antoni Melanotte, dziś właściciel sklepu kolonialnego, Jan Melanotte, cukiernik, Feliks Ferrero, pośrednik handlowy, Piotr Ferrero, kompozytor. Jan Piola, właściciel zakładu stolarskiego. Potem dołączyli do nich Alojzy Genta, Wiktor Mogna i inni, którzy jednak nie dotrzymali obietnicy i nie przyszli mi pomóc. Prowadzenie zajęć dla nich kosztowało mnie wiele czasu i pieniędzy, ale niestety, gdy przychodziła chwila, kiedy mogli się odwdzięczyć i pomóc mi, to większość mnie opuszczała.

Do nich przyłączyli także dobrzy chrześcijanie z Turynu. Przez długi czas pomagali mi Józef Gagliardi i Józef Fino, sprzedawcy galanterii, złotnik Wiktor Ritner i inni. Wielu księży pomagało mi także przez odprawianie mszy, wygłaszanie kazań i prowadzenie zajęć z katechizmu z najstarszymi.

Dlaczego i jak ks. Bosko napisał Dzieje biblijne?

Dużym problemem były książki. Po przerobieniu małego katechizmu, nie posiadałem żadnego podręcznika do religii i do czytania. Przejrzałem wszystkie *Dzieje biblijne* używane wówczas w szkołach i nie znalazłem żadnej odpowiedniej dla naszych uczniów. Najczęściej książki te grzeszyły zbyt trudnym językiem, opowiadaniami nieodpowiednimi dla młodzieży, wskutek czego jej nie interesowały, gdyż były napisane rozwlekłym językiem. Wiele faktów przedstawiono w taki sposób, iż mógł on razić wrażliwość moralną młodego czytelnika. Poza tym prawie żaden z autorów nie starał się uwypuklić podstawowych zagadnień wiary. Pomijano zdarzenia, które uczą zewnętrznego kultu, jaki winniśmy Bogu, nie przedstawiono w sposób przekonywujący, istnienia czyśćca, ustanowienia przez Pana Jezusa spowiedzi i Komunii.

Czasy, w jakich przyszło nam żyć, wymagały koniecznie, by nie zaniedbywać tej części wychowania chrześcijańskiego, i właśnie dlatego zabrałem się do pisania *Dziejów biblijnych,* które miałyby prosty, ludowy język, a zarazem byłyby pozbawione wyżej wymienionych wad. W ten sposób powstały *Dzieje biblijne do użytku szkolnego.* Nie stawiałem sobie za cel eleganckiej książki, ale włożyłem w tę pracę całą dobrą wolę, mając na względzie dobro młodzieży.

Po miesiącach nauki przedstawiliśmy publicznie wyniki pracy naszej szkółki niedzielnej. W obecności tak znanych postaci, jak opat Aporti, hrabia Boncompagni, zastępca burmistrza Piotr Barico i wykładowca Uniwersytetu Józef Rayneri, przepytywaliśmy chłopców z dziejów biblijnych i geografii Palestyny. Ich odpowiedzi powitały brawa.

Z ulic do książek

Zachęcony sukcesem szkoły wieczorowej, dodałem do lekcji czytania i pisania, arytmetykę i rysunki. Po raz pierwszy w tym środowisku powstała tak popularna szkoła wieczorowa. Wielu mówiło o niej jako o wielkiej nowości. Szacowne osoby i profesorowie przychodzili, by przyjrzeć się naszym metodom. Nawet Rada Miejska Turynu przysłała delegację pod przewodnictwem komandora Józefa Dupre, by sprawdzić czy rzeczywiście osiągnęliśmy tak dobre wyniki, jak mówiono. Komisarze przepytywali uczniów z wymowy włoskiej, z arytmetyki i kazali im wyrecytować parę fragmentów. Wyszli zdumieni tym, że młodzi ludzie, którzy aż do osiemnastego czy dwudziestego roku życia byli analfabetami, w ciągu paru miesięcy uczynili takie postępy w zakresie swego wychowania i wiedzy. Tym, co budziło ich szczególny entuzjazm, był widok tylu chłopców pochylonych nad książkami, podczas gdy taka masa im podobnych włóczyła się po ulicach.

Sprawozdanie, jakie złożyli później Radzie Miejskiej, przyniosło nam nagrodę w wysokości trzystu lirów, którą wypłacano nam aż do 1878 roku, kiedy to wtedy nam ją odebrano i przyznano innemu instytutowi. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego tak się stało.

W tym okresie dyrektorem Dzieła *Edukacja dla żebraków (założonego w 1783 roku i mającego na celu wychowanie ludu)* był kawaler Gonella, powszechnie znany w Turynie ze swej wiary i uczynków miłosierdzia. On też odwiedził kilkakrotnie naszą szkołę, a w następnym roku wprowadził u siebie te same przedmioty i metody. Administracja Dzieła, dowiedziawszy się o Oratorium i jej kłopotach finansowych, które odczuwaliśmy, przyznała nam nagrodę w wysokości tysiąca lirów.

Nasza metoda znalazła również naśladowników w Radzie Miejskiej i w ciągu kilku lat szkoły wieczorowe rozwinęły się we wszystkich głównych miastach Piemontu.

Książka do nabożeństwa i książka do matematyki

Tymczasem z dnia na dzień coraz bardziej uświadamiałem sobie potrzebę książki z modlitwami i refleksjami, odpowiedniej dla współczesnej młodzieży. Takie książki, i to nawet pisane przez znanych autorów, co prawda istniały, ale nie uwzględniały one potrzeb młodego czytelnika i, przy zachowaniu największego szacunku dla różnych wyznań, starały się służyć zarówno katolikom, jak i żydom czy protestantom.

Ja widziałem coś innego, a mianowicie, że protestanci usiłowali wkraść się podstępnie wśród naszych ludzi. Uwzględniając to niebezpieczeństwo, napisałem opartą na Piśmie świętym książkę, przeznaczoną dla młodzieży, i mającą na celu podtrzymanie jej wiary. Podstawowe prawdy wiary katolickiej miały być w niej przedstawione możliwie krótko i jasno. Zatytułowałem je *Młodzieniec zaopatrzony*[34].

Podobna potrzeba istniała w nauczaniu arytmetyki i dziesiętnego systemu miar[35]. Oficjalnie system ten miał wejść w życie z początkiem roku 1850, ale szkoły miały go nauczać już od 1846 roku, a podręczników nie było. Napisałem zatem książeczkę *Uproszczony dziesiętny system miar.*

4. Noc, która miała być ostatnią, w życiu ks. Bosko

W poszukiwaniu ks. Bosko wśród winnic w Sassi

Miałem za dużo obowiązków. Pracowałem jako ksiądz w więzieniu, w szpitalu Cottolengo, w Schronisku, w Oratorium i w paru szkołach. Kradłem

---

34 Pełny, zgodny z duchem epoki tytuł, brzmiał: *Młodzieniec zaopatrzony do pełnienia swych obowiązków w praktykach chrześcijańskiej miłości.* Książka ta, nadzwyczaj poczytna, na pierwszy rzut oka wydaje się „zwykłym podręcznikiem do modlitw i pobożnych uczynków", ale ks. Bosko ułożył ją tak, by „stała się nauką życia, i to zarówno dzięki zawartym w niej modlitwom, jak i dzięki poprzedzającej je części z poleceniami; jak należy w duchu religii rozumieć swe istnienie, dzieło stworzenia, swój rozwój od dzieciństwa i codzienne życie; a zrozumieć można dzięki *podstawom religii katolickiej,* krótkiemu traktatowi apologetycznemu, włączonemu do *Młodzieńca zaopatrzonego* w 1851 r. (P. Stella, Ks. *Bosko,* t. I).

35 W Piemoncie istniało wiele miar, różnych w różnych prowincjach a nawet wsiach. Miary powierzchni ziemi, takie jak *moggio* czy *staio* na przykład mogły mieć dziesiątki różnych wartości, tak że rachunki były bardzo skomplikowane i trudne. Kodeks Napoleona, przyniesiony do Piemontu podczas inwazji napoleońskiej, narzucił wszystkim dziesiętny system miar, ale nakaz ten bardzo powoli dobywał zwolenników. Dopiero 11 września 1845 r. edykt królewski zniósł stare miary i wagi i wprowadził nowy system do szkół. Oficjalnie, w dokumentach publicznych, wszedł w życie od 1 stycznia 1850 r.

godziny przeznaczone na sen, by pisać książki potrzebne moim chłopcom. Mój stan zdrowia (a nigdy nie było najmocniejsze) pogorszył się do tego stopnia, że lekarze nakazali mi całkowity odpoczynek.

Ks. Borel, który bardzo mnie lubił, posłał mnie, bym spędził parę tygodni jako gość u proboszcza w Sassi *(u stóp wzgórza Superga)*. W ciągu tygodnia odpoczywałem, a w niedzielę wracałem do pracy w Oratorium. Okazało się to jednak nie najlepszym rozwiązaniem. Coraz liczniejsze grupy chłopców przychodziły mnie odwiedzać, a i chłopcy z Sassi zaczęli szukać mego towarzystwa. W końcu wyszło na to, że miałem więcej zajęć niż w Turynie, a moi mali przyjaciele musieli wędrować cztery kilometry pieszo, jeśli chcieli mnie zobaczyć.

Do Sassi przychodzili zresztą nie tylko chłopcy z Oratorium. Wkrótce dołączyli do nich uczniowie Braci Szkół Chrześcijańskich. Oto jeden z wielu takich epizodów.

Uczniowie szkoły św. Barbary, gdzie nauczali Bracia, odbyli rekolekcje, a ponieważ przywykli spowiadać się u mnie, na zakończenie rekolekcji zjawili się całą grupą w Oratorium. Gdy powiedziano im, że jestem w Sassi, wszyscy wyruszyli do Sassi, odległego, jak już powiedziałem, o cztery kilometry od miasta. Padało, a oni nie znali drogi. W końcu zaczęli błądzić po łąkach, polach i winnicach w poszukiwaniu ks. Bosko. Wreszcie zjawiło się ich czterystu, wyczerpanych wędrówką, wygłodniałych, spoconych i ubłoconych, ale zdecydowanych na odbycie spowiedzi.

– Odprawiliśmy rekolekcje – powiedzieli mi.

– Chcemy się poprawić. Niech ksiądz nas wyspowiada.

Poprosiliśmy naszych nauczycieli o pozwolenie na pójście do księdza i oto jesteśmy.

Gdzie zginęli chłopcy?

Najprawdopodobniej nauczyciele i rodzice czekali na nich z niepokojem. Powinni byli jak najszybciej wracać do domu. Ale na próżno, usiłowałem ich przekonać, powtarzali tylko, że przyszli się wyspowiadać. Zabraliśmy się do tego w czwórkę: proboszcz, jego zastępca, ksiądz – nauczyciel i ja, ale przydałoby się z piętnastu spowiedników.

Trzeba było również pomyśleć o nakarmieniu wygłodzonych chłopców. Proboszcz ks. Abbondioli oddał im wszystkie swoje zapasy: chleb, polentę, ryż, fasolę, ziemniaki, ser i owoce.

Tymczasem w szkole, co poniektórzy, zaczęli się niepokoić. Zbierali się już profesorowie, kaznodzieje i goście zaproszeni na uroczyste zamknięcie rekolekcji. Miano odprawić mszę z przystąpieniem wszystkich chłopców do Komunii, ale gdzie oni się podziewali? Nikogo nie było. Nie wiadomo było, co robić. Kiedy wreszcie chłopcy się pojawili, zakazano im surowo robić po raz drugi takie zamieszanie.

„Byłem gotów umrzeć”

Po powrocie z Sassi czułem się zupełnie wyczerpany. Musiano położyć mnie do łóżka. Byłem poważnie chory: zapalenie oskrzeli, kaszel i wysoka gorączka. Po ośmiu dniach znalazłem się na granicy między życiem a śmiercią. Byłem przygotowany na śmierć. Żal mi było zostawić moich chłopców, ale cieszyła mnie myśl, że przed śmiercią zdołałem nadać Oratorium stałą formę.

Gdy rozeszła się wiadomość o mojej poważnej chorobie, chłopców ogarnęło niewiarygodne przygnębienie i dotkliwy żal. Przed drzwi pokoju, w którym leżałem, przychodziły co chwilę grupy moich podopiecznych, zapłakanych i pytających o mnie.

Nie chcieli odejść: czekali z nadzieją na jakąś lepszą wiadomość. Słyszałem pytania, jakie zadawali pielęgniarzowi i byłem głęboko wzruszony.

Miłość do mnie popychała ich do czynów wprost heroicznych. Modlili się, pościli, uczestniczyli we mszy świętej i przystępowali do Komunii. W Sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia czuwali na zmianę przez cały dzień i noc. Przed obrazem Matki Boskiej zawsze ktoś za mnie się modlił. Rano, idąc do pracy, zapalali przed obrazem świecę, która miałaby ich zastąpić przed ołtarzem. Wielu innych jakimś cudem znajdowało czas na modlitwę nawet w ciągu dnia i zostawało potem w kościele aż do późnego wieczora. Modlili się i błagali Najświętszą Pannę, by zachowała przy życiu ich biednego ks. Bosko.

„Bóg ich wysłuchał”

Wielu z nich przyrzekło Matce Boskiej, że będą odmawiać codziennie różaniec przez miesiąc, inni, że przez rok, inni wreszcie, że przez całe życie. Niektórzy powzięli postanowienie pościć o chlebie i wodzie przez miesiąc, lata, a nawet przez całe życie. Wiem z całą pewnością, że wielu młodych murarzy, ciężko pracując od rana do wieczora, pościło przez całe tygodnie o chlebie i wodzie, a w krótkiej przerwie, jaką mieli, przychodzili przed Najświętszy Sakrament. Bóg ich wysłuchał. W którąś sobotę wieczorem, lekarze stwierdzili po konsylium, że będzie to ostatnia noc mego życia. Ja też byłem o tym przekonany, ponieważ czułem się zupełnie bez sił i wykańczały mnie bezustanne krwotoki. Późną nocą ogarnęła mnie straszna senność i usnąłem. Kiedy się obudziłem, mojemu życiu już nic nie zagrażało. Lekarze Botta i Cafasso, którzy zbadali mnie rano, powiedzieli, bym podziękował Matce Bożej za otrzymaną łaskę.

Wiadomość wzbudziła olbrzymią radość wśród chłopców, ale nie chcieli jeszcze uwierzyć, dopóki mnie nie zobaczyli dopiero w parę dni później. Opierając się na lasce, poszedłem do Oratorium. Przyjęli mnie ze śpiewem i łzami, z takim wzruszeniem, które łatwiej byłoby sobie wyobrazić niż opisać słowami. Odśpiewali hymn dziękczynny do Boga i okrzykami wyrażali swą radość.

Musiałem natychmiast załatwić pewną ważną sprawę. Wielu, gdy życie moje wisiało na włosku, uczyniło poważne śluby i przyrzeczenia, praktycznie rzecz biorąc niemożliwe do wypełnienia. Cóż, kierowali się miłością i emocją. Zmieniłem ich śluby w prostsze i łatwiejsze do dotrzymania przyrzeczenia.

„Wśród moich wzgórz”

Choroba ta złożyła mnie na początku lipca 1846 roku. Mieszkałem wtedy jeszcze w pokoiku w Schronisku, ale wkrótce miałem się przenieść na Valdocco *(gdzie przeniesiono już Oratorium)*.

Miesiące rekonwalescencji pojechałem spędzić u rodziny w Becchi. Miałem zostać wśród mych wzgórz u rodziny bardzo długo, ale młodzież zaczęła mnie odwiedzać coraz większymi grupami, aż w końcu nie miałem chwili spokoju.

Wszyscy, z którymi miałem okazję wówczas rozmawiać, radzili mi, bym wyjechał z Turynu i na parę lat zniknął gdzieś daleko, by na serio zająć się podreperowaniem zdrowia. Tego samego zdania byli także Arcybiskup i ks. Cafasso, ale mnie przykro było zostawić chłopców. W końcu pozwolono mi wrócić do Oratorium, pod warunkiem jednak, że przez dwa lata nie będę spowiadał ani głosił kazań.

Nie posłuchałem. Po powrocie do Oratorium zacząłem pracować jak przedtem i przez dwadzieścia siedem lat nie potrzebowałem nigdy lekarzy ani lekarstw. Wyciągnąłem z tego wniosek, że to nie praca rujnuje zdrowie.

5. Powrót razem z mamą Małgorzatą

Cały dobytek w jednym koszu

Miesiące rekonwalescencji spędziłem u rodziny. Teraz byłem już zdecydowany wrócić do moich ukochanych chłopców. Każdego dnia któryś z nich odwiedzał mnie albo pisał do mnie, a wszyscy prosili o jedno: „Niech ksiądz szybko wraca!”.

Ale gdzie mieszkać, skoro zwolniono mnie z pracy w Schronisku? Skąd wziąć środki na dzieło, które z każdym dniem kosztowało coraz więcej trudu i pieniędzy? Przecież ludzie, którzy pracowali dla Oratorium i ja sam, musieliśmy z czegoś żyć.

W tym okresie zwolniły się dwa pokoje w domu Pinardiego, więc wynająłem je dla mnie i dla matki.

– Mamo – powiedziałem jej pewnego dnia – powinienem przenieść się na Valdocco i wziąć kogoś, kto by zajął się gospodarstwem. Ale w tym domu mieszkają osoby, którym ksiądz nie może zaufać. Jedyną osobą, która może mnie uchronić od podejrzeń i złośliwych przytyków, jesteś ty.

Zrozumiała całą powagę mych słów i odpowiedziała:

– Jeśli sądzisz, że taka jest wola Pana, jestem gotowa pojechać z tobą.

Ze strony mojej matki było .to duże poświęcenie. Nie miała bogactwa, ale w rodzinie czuła się królową. Młodsi i starsi kochali ją i słuchali jej we wszystkim.

Z Becchi wysłaliśmy parę rzeczy niezbędnych do urządzenia pokojów. Inne przenieśliśmy z pokoiku w Schronisku. Przed wyjazdem matka wypełniła jeszcze jeden kosz bielizną i koniecznymi przedmiotami, ja wziąłem brewiarz, mszał, parę książek i zeszytów. Był to cały nasz dobytek. Z Becchi wyruszyliśmy pieszo. Zrobiliśmy postój w Chieri, a wieczorem 3 listopada 1846 roku dotarliśmy na Valdocco. Widząc zupełnie puste pokoje, mama uśmiechnęła się i powiedziała:

– W Becchi miałam zawsze w domu tyle roboty, musiałam przydzielać wszystkim zajęcia. Tu będę o wiele spokojniejsza.

Wiano mamy

Ale z czego żyć, jeść, opłacić czynsz? A przecież to nie było jeszcze wszystko: wielu chłopców prosiło mnie w każdej chwili ,o chleb, buty, koszule i odzież. Koniecznie ich potrzebowali, by mogli stawić się w pracy.

Sprowadziliśmy z domu trochę wina, pszenicy, kukurydzy i fasoli. By móc stawić czoła pierwszym wydatkom, sprzedaliśmy jedną winnicę i kawałek pola, a matka kazała sobie przysłać swoje wiano, którego do tej pory zazdrośnie strzegła. Z niektórych jej sukien uszyliśmy ornaty, z bielizny – obrusy na ołtarz i. szaty potrzebne przy odprawianiu Mszy świętej. Tym zajęła się pani Gastaldi[36], która wzięła sobie bardzo do serca potrzeby Oratorium.

Mama miała też złoty łańcuszek i parę pierścionków. Sprzedała je teraz, by kupić rzeczy potrzebne do kościoła. Któregoś dnia usłyszałem, jak mama, będąca zawsze w humorze, podśpiewywała:

„Biada światu, jeśli ma nas za przybłędy nie posiadające niczego".

[36] *Pani Gastaldi* była matką kanonika Gastaldiego, późniejszego biskupa **Saluzzo** i Arcybiskupa Turynu. Ks. Bosko i ks. Gastaldi byli rówieśnikami i w tych latach łączyła ich braterska przyjaźń.

Tylu uczniów, a tak mało miejsca

Po załatwieniu pierwszych spraw związanych z urządzeniem domu, wynająłem jeszcze jeden pokój, w którym zorganizowałem zakrystię. Nie było pomieszczeń na prowadzenie lekcji, które przez jakiś czas odbywały się w kuchni lub w moim pokoju. Ale wśród chłopców byli także porządni hultaje, którzy wszystko psuli lub przewracali do góry nogami. Po rozdzieleniu klas, rozmieściliśmy je w zakrystii i w różnych częściach kościoła. Ale podczas gdy jedna klasa czytała na głos, inna śpiewała chórem, a spóźnialscy z trzeciej przebiegali przez cały kościół, więc wciąż panował rozgardiasz.

Dopiero po paru miesiącach mogłem wynająć jeszcze dwa pokoje i szkoła wieczorowa zaczęła funkcjonować lepiej.

Jak już powiedziałem, zimą 1846 - 47 roku osiągnęliśmy doskonałe rezultaty w szkole wieczorowej. Co wieczór mieliśmy średnio trzysta uczniów. Uczyliśmy języka i arytmetyki, ale także muzyki i śpiewu, które zawsze w naszej szkółce kwitły.

Przypis ks. Bosko (dopisany na zakończenie rozdziału).

Trzeba pamiętać o tym, że pierwsze klasy wieczorowe otwarte w Turynie, to były klasy utworzone w domu Moretty w listopadzie 1845 roku. W trzech klasach nie mogliśmy pomieścić wówczas więcej niż dwustu uczniów[37]. Dobre wyniki, jakie wówczas osiągnęliśmy, skłoniły nas jednak do otworzenia ich na nowo, gdy tylko uzyskaliśmy stałą siedzibę na Valdocco.

Wśród osób, które pomagały nam w prowadzeniu szkoły i przygotowywały młodzież do deklamacji i wystawiania sztuk, muszę wspomnieć: ks. Chiavesa, ks. Musso i ks. Jacka Carpano.

[37] „W trzech klasach nie mogliśmy mieć więcej niż dwustu chłopców". Zarządzenie Ministra Oświaty wyznaczało górną granicę liczebności klasy na siedemdziesiąt.

6. „Pierwsza młodzieżowa grupa”

Regulamin i Towarzystwo

Na Valdocco mieliśmy wreszcie stałą siedzibę, więc z dobrą wolą zabrałem się do wprowadzenia w życie inicjatyw, które miały wytworzyć w naszym Oratorium jedność ducha, działania i zarządzania.

Po pierwsze napisałem Regulamin, w którym po prostu wyłożyłem sprawy, które już praktykowaliśmy w Oratorium oraz sposób, w jaki miano je realizować. Regulamin ten kazałem wydrukować i każdy mógł go przeczytać[38].

Ten niewielki Regulamin oddał nam znaczne przysługi, bo każdy wiedział, co do niego należy. Zostawiałem każdemu pełną odpowiedzialność za sprawowaną przez niego funkcję. Dzięki Regulaminowi każdy dobrze wiedział, za co odpowiada. Wielu biskupów i proboszczów poprosiło mnie o jego kopię i próbowali prowadzić według niego Oratoria we własnych diecezjach i parafiach.

Ustaliwszy podstawy jedności ducha i działania, musiałem podjąć z kolei jakąś inicjatywę, by rozpalić w chłopcach miłość do Boga. W tym właśnie celu założyłem *Towarzystwo Św. Alojzego.* Spisałem krótkie, odpowiednie dla młodzieżowej grupy *Reguły* i pokazałem je Arcybiskupowi. Przeczytał je, a następnie dał je do przejrzenia osobom, które miały wyrazić swe zdanie. Wreszcie Arcybiskup zaaprobował te założenia, a 12 IV 1847 r. członkom Towarzystwa przyznał specjalne odpusty[39].

Towarzystwo Św. Alojzego wzbudziło wśród naszych chłopców wielki entuzjazm. Wszyscy chcieli się do niego zapisać. Postawiłem dwa warunki, które każdy kandydat musiał spełniać: dawanie dobrego przykładu w kościele i poza nim oraz unikanie złych rozmów i przystępowanie do Sakramentów.

Towarzystwo wpłynęło na znaczną postawę chrześcijańskiego życia chłopców[40].

[38] Patrz zakończenie rozdziału.

[39] Patrz zakończenie rozdziału.

[40] W tym miejscu na marginesie znajduje się uwaga dopisana przez ks. Bosko: „Wśród tych, którzy z radością zapisali się do Towarzystwa św. Alojzego, należy wymienić opata Antoniego Rosminiego, kanonika Piotra De Gaudenzi, obecnego biskupa Vigevano, Kamila i Gustawa Cavour, Kardynała Antonucciego, Arcybiskupa Ancony, Jego Świątobliwość Piusa IX, Kardynała Antonellego i wielu innych”. Wszystkie te osobistości były oczywiście członkami honorowymi Towarzystwa.

Pierwsza wizyta Arcybiskupa w Oratorium

Chcąc pobudzić chłopców do szczególnej żarliwości w ciągu sześciu niedziel poprzedzających święto św. Alojzego, kupiłem figurę świętego, kazałem uszyć chorągiew i dałem młodzieży nadzwyczajną okazję przystąpienia do spowiedzi: mogli przychodzić o każdej porze dnia, wieczoru a nawet w nocy.

Jeszcze żaden z uczęszczających do Oratorium chłopców nie przystąpił do bierzmowania, postanowiłem więc przygotować wszystkich, którzy czuli się na siłach, aby przyjęli je w czasie uroczystości ku czci Św. Alojzego. Propozycję przyjęło bardzo dużo młodzieży. Zdołałem ich przygotować tylko dzięki pomocy wielu kapłanów i świeckich. Na dzień św. Alojzego praktycznie wszyscy byli gotowi.

Była to pierwsza wizyta Arcybiskupa w Oratorium i pierwsze bierzmowanie naszych chłopców. Przed kościółkiem przygotowaliśmy prowizoryczną, ale elegancką dekorację, przed którą przyjęliśmy Arcybiskupa. Przeczytałem parę słów podziękowania, po czym paru chłopców zagrało na cześć gościa komedyjkę, zatytułowaną *Kapral Napoleona.* Była to śmieszna historia o kapralu, który opowiadał tysiąc anegdot, a wciąż się dziwił, że zdarzyły się one akurat w to święto. Arcybiskup szczerze się uśmiał i na zakończenie powiedział, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bawił.

Potem do nas przemówił i wyraził swoją radość z rozkwitu Oratorium. Zachęcił wszystkich do dalszego uczęszczania do niego i podziękował nam za wspaniałe przyjęcie, jakie mu zgotowaliśmy.

Następnie odprawił mszę Św., podczas której rozdał Komunię ponad trzystu chłopcom, a potem udzielił bierzmowania. Na początku uroczystości, zapominając, że nie jest w katedrze, podniósł energicznie głowę, na której miał już mitrę i... walnął w sufit kościółka. Wybuchnęliśmy śmiechem i on i my. Arcybiskup opowiadał później często o tym zdarzeniu, z przyjemnością, wspominając nasze Oratorium. Opat Rosmini porównywał nasze dzieło do Misji otwieranych na obcych ziemiach.

Cenne „świadectwo”

Wraz z monsignorem Fransonim przybyło dwóch kanoników z katedry i Wielu innych księży. Po bierzmowaniu sporządziliśmy dla wszystkich chłopców świadectwa: obok imienia i nazwiska chłopca, odnotowano na nich miejsce i datę, nazwisko Arcybiskupa i ojca chrzestnego. Później świadectwa te rozdzielono według przynależności do parafii *(w których mieszkali chłopcy),* odniesiono do Kurii, skąd rozesłano je do proboszczów[41].

[41] Ks. Bosko odnotował skwapliwie ten tekst, ponieważ praktycznie Arcybiskup zatwierdził w ten sposób Oratorium jako „parafię opuszczonych chłopców" i potwierdził swoje poparcie dla ks. Bosko wobec różnie się do niego odnoszących proboszczów miejskich.

Wyjątki z Regulaminu

Przytaczamy tu dwie strony ze *Wspomnień Biograficznych* (III, 91), bardzo ważne dla zrozumienia ducha każdego salezjańskiego Oratorium.

Celem Oratorium jest zajęcie młodzieży w dni świąteczne po jej uczestnictwie w nabożeństwie, miłą i godziwą rozrywką.

Punkt 1. *Zajęcie młodzieży w dni świąteczne rozrywką:* ponieważ chodzi szczególnie o młodych robotników, którzy właśnie w dni świąteczne są bardzo narażeni na poważne moralne i cielesne niebezpieczeństwa. Oczywiście nie wyklucza się również udziału gimnazjalistów, którzy chcieliby przychodzić w świąteczne dni lub podczas wakacji.

Punkt 2. *Przyjemną i godziwą rozrywką:* służą rzeczywiście zabawie, a nie zmęczeniu. Niedopuszczalne są zatem zabawy, gry, biegi, skoki, czy inne poczynania, które stanowiłyby zagrożenie dla zdrowia ciała czy ducha.

Punkt 3. *Po jej uczestnictwie w nabożeństwie:* jako że zasadniczym celem jest nauka religii, reszta to tylko dodatek służący przyciągnięciu młodzieży.

Oratorium pozostaje pod opieką św. Franciszka Salezego, ponieważ ci, którzy zamierzają się poświęcić tego typu działalności, powinni stawiać sobie tego właśnie świętego za wzór *miłości i postępowania,* dzięki czemu dzieło Oratorium może wydać takie owoce, których się spodziewamy.

Warunki przyjmowania młodzieży do Oratorium (Rozdział II, część II)

- Ponieważ celem Oratorium jest odciągnięcie młodzieży od bezczynności i złego towarzystwa, zwłaszcza w dni świąteczne, mogą być do niego przyjmowani wszyscy, bez względu na pochodzenie i pozycję społeczną.
- W pierwszym rzędzie będzie się przyjmować i otaczać opieką najbiedniejszych, najbardziej opuszczonych i najmniej wykształconych, jako że oni właśnie potrzebują największej troski na drodze do życia wiecznego.
- Dolną granicę wieku ustala się na osiem lat, ponieważ młodsze dzieci przeszkadzają w pracy i nie są w stanie zrozumieć tego, czego się naucza.
- Nie zwraca się uwagi na ułomności fizyczne, z wyjątkiem chorób zakaźnych i wyglądu, który mógłby wzbudzić w innych silny wstręt, ponieważ w takim wypadku z powodu jednej osoby mogłoby odejść z Oratorium wielu innych.
- Młodzież powinna posiadać jakieś zajęcie czy pracę, ponieważ bezczynność pociąga sobą wszystkie wady i czyni daremną naukę religii. Ci, którzy są bezrobotni, a chcieliby pracować, mogą zwrócić się do Opiekunów, którzy im pomogą.
- Młodzieniec chcący brać udział w życiu Oratorium winien pamiętać, że jest to instytucja o charakterze religijnym, w której pragnie się wychowywać dobrych chrześcijan i uczciwych obywateli, dlatego też surowo zabrania się przeklinania i mówienia rzeczy przeciwnych świętej wierze katolickiej. Ci, którzy nie będą tego przestrzegali, otrzymają za pierwszym razem ojcowskie upomnienie, ale jeśli się nie poprawią, to zostaną przez Dyrektora wykluczeni z Oratorium.
- Można przyjmować nawet niezdyscyplinowanych chłopców, o ile tylko nie będą siać zgorszenia i okażą chęć poprawy.
- Ani przy przyjęciu, ani w czasie przebywania w Oratorium nie pobiera się żadnych opłat. Ci, którzy chcieliby należeć do jakiegoś towarzystwa wspierającego finansowo, mogą zapisać się do Towarzystwa Wzajemnej Pomocy, którego regulamin podajemy oddzielnie.
- Wszyscy mają prawo uczęszczać do Oratorium, ale wszyscy muszą słuchać zarządzeń osób w nim zajętych; i powinni należycie się zachowywać zarówno podczas zabawy jak i w kościele czy poza Oratorium.

Towarzystwo św. Alojzego

Regulamin Towarzystwa składa się z 7 artykułów, które niżej podajemy *(Wspomnienia Biograficzne,* III, 216-217):

- Ponieważ św. Alojzy był wzorem zachowania, wszyscy ci, którzy pragną należeć do Towarzystwa, powinni unikać tego, co może siać zgorszenie, oraz starać się we wszystkim dawać dobry przykład, zwłaszcza zaś w wypełnianiu obowiązków każdego dobrego chrześcijanina. Św. Alojzy od dzieciństwa był tak skrupulatny w ich przestrzeganiu, tak miłosierny i pobożny, że kiedy szedł do kościoła, ludzie zbiegali się, by się przyjrzeć jego pokorze i skupieniu.
- Co piętnaście dni każdy członek Towarzystwa będzie przystępował do spowiedzi i Komunii świętej. Można je przyjmować nawet częściej, zwłaszcza w okresie największych świąt. Jest to bowiem najpotężniejsza broń w walce z demonem. Św. Alojzy już jako mały chłopiec przyjmował te Sakramenty co osiem dni, a gdy tylko trochę podrósł - jeszcze częściej. Ten, kto z jakiego powodu nie będzie mógł wypełnić tego obowiązku, za radą Dyrektora Towarzystwa będzie mógł zadośćuczynić tej powinności, zamieniając ją na jakiś inny pobożny uczynek. Wzywa się poza tym członków Towarzystwa do przyjmowania sakramentów i uczestniczenia w nabożeństwach we własnej kaplicy ku zbudowaniu kolegów.
- Należy unikać jak zarazy złego towarzystwa i wystrzegać się mówienia złych rzeczy. Św. Alojzy nie tylko sam unikał tego, ale był tak skromny, że w jego obecności nikt nie ośmielał się wypowiedzieć jednego brzydkiego słowa.
- Należy odnosić się z wielką miłością do kolegów, chętnie wybaczając im wszelkie zniewagi. Św. Alojzemu wystarczyło ubliżyć, by pozyskać jego przyjaźń.

7. Pierwsza sierota z Valsesji

Mali złodzieje w szopie na siano

W czasie, gdy zajmowaliśmy się organizacją szkoły i nauki religii, okoliczności zmusiły mnie do zastanowienia się, w jaki sposób rozwiązać jeszcze jeden wielki i pilny problem. Wielu chłopców, którzy przyjeżdżali do Turynu, szczerze pragnęło znaleźć pracę i żyć po chrześcijańsku, ale napotykali przy tym na poważne kłopoty. W pierwszym rzędzie nie mieli ani co jeść, ani w co się przyodziać, a przede wszystkim nie mieli mieszkania. Paru takim chłopcom, którzy wieczorem nie mieli gdzie iść, udzieliłem gościny. Przygotowałem im w szopie siano i słomę oraz coś do przykrycia się, ale wielokrotnie ci biedacy kradli dane im prześcieradła i koce, a nawet słomę, którą potem odsprzedawali.

Przespał się przy kuchni mamy Małgorzaty

W pewien deszczowy majowy wieczór zapukał do naszych drzwi piętnastoletni chłopak, zesztywniały z zimna i przemoczony do suchej nitki. Poprosił nas o chleb i nocleg. Matka wpuściła go do kuchni i posadziła przy piecu. Podczas gdy tak rozgrzewał się trochę, dała mu chleba i zupy. Ja tymczasem wypytywałem, czy chodził do szkoły, czy ma krewnych i co robi. Odpowiedział mi:

– Jestem biednym sierotą. Przyjechałem tu z Valsesji szukać pracy. Miałem trzy liry, ale już je wydałem, a nie znalazłem pracy. Teraz nie mam już nic ani nikogo.

– Byłeś już u pierwszej Komunii?

– Nie.

– A u bierzmowania?

– Też nie.

– A u spowiedzi?

– Parę razy.

– A teraz dokąd chcesz iść?

– Nie wiem. Zlitujcie się nade mną, pozwólcie przenocować w kącie.

I w milczeniu zapłakał. Moja matka też płakała, a ja byłem głęboko poruszony.

– Gdybym miał pewność, że nie jesteś złodziejem, pozwoliłbym ci zostać. Ale inni przed tobą ukradli mi koce, i być może ty zrobisz to samo.

– Nie, proszę księdza, może być ksiądz spokojny. Jestem biedny, ale jeszcze nigdy w życiu nie kradłem.

– Jeżeli się zgodzisz – powiedziała na to matka – niech się dzisiaj tutaj prześpi, a jutro będzie, jak Bóg da.

– Tutaj, to znaczy gdzie?

– W kuchni.

– A jeżeli zabierze garnki?

– Zrobię tak, żeby nic się nie stało.

– No to zgoda.

Matka wyszła i przy pomocy chłopca pozbierała trochę cegieł, z których ustawiła cztery słupki, a na nich zaś położyła deski, siennik i w ten oto sposób urządziła pierwsze posłanie w Oratorium. Gdy wszystko było gotowe, moja dobra matka wygłosiła do chłopca parę słów o tym, że trzeba pracować, być uczciwym i postępować zgodnie z zasadami wiary[42]. Potem powiedziała mu, by się pomodlił.

– Kiedy nie wiem jak – odparł.

– To odmówisz je z nami – powiedziała. I wspólnie pomodliliśmy się.

By uniknąć niebezpieczeństwa, zamknęliśmy kuchnię na klucz na całą noc. Był to pierwszy chłopiec, któremu udzieliliśmy noclegu. Wkrótce

---

- Należy przykładać się żarliwie do zachowania porządku w Domu Bożym, zachęcając innych do cnoty i do zapisywania się do Towarzystwa. Św. Alojzy dla dobra bliźnich opiekował się chorymi na dżumę, co też stało się przyczyną jego śmierci.

- Należy jak najbardziej przykładać się do pracy i do wypełniania swoich obowiązków, okazując posłuszeństwo rodzicom i przełożonym.

Jeśli inny członek Towarzystwa zapadnie na zdrowiu, należy modlić się za niego, a także okazywać mu pomoc w rzeczach doczesnych, stosownie do swych sił.

[42] Salezjanie potraktowali tę wypowiedź mamy Małgorzaty jako pierwsze „słówko wieczorne" (krótkie przemówienie wygłoszone przez głowę domu), zamykające zwykle dzień w domach salezjańskich, a będące wg słów ks. Bosko „kluczem do moralności, dobrego wychowania i poprawy życia".

dołączył do niego jeszcze jeden, a potem dalsi, z tym, że w 1847 roku musieliśmy poprzestać na dwóch, ponieważ było za mało miejsca.

Nowe pokoje i nowa muzyka

Byłem przekonany, że dla wielu chłopców jakakolwiek nasza pomoc jest daremna, jeśli nie mają gdzie mieszkać, dlatego wynająłem dalsze, a później jeszcze następne pokoje, choć u Pinardiego ceny były wygórowane.

W dzień pokoje te służyły także jako pomieszczenia do prowadzenia lekcji i w ten sposób mogliśmy zainaugurować naukę muzyki i śpiewu.

Była to pierwsza *(założona w 1845 roku)* publiczna szkoła muzyczna. Po raz pierwszy uczono muzyki w klasie jednocześnie wielu uczniów. Do tej pory, każdy uczeń szukał sobie nauczyciela, który udzielał mu indywidualnych lekcji.

Zapisało się do niej wiele młodzieży. Co wieczór miałem na moich lekcjach znakomitą publiczność: profesorów Alojzego Rossi, Józefa Bianchi, Ceruttiego i kanonika Alojzego Nasi. Było więc to niezgodne z duchem Ewangelii, która mówi, że uczeń nie może być lepszy od mistrza. Nie miałem nawet jednej milionowej wiedzy muzycznej, jaką posiadały te znakomitości, a przecież uczyłem w ich obecności. Ale też oni nie przychodzili, by uczyć się muzyki, a po to, by zapoznać się z naszą metodą nauczania, tą samą, którą stosuje się dziś we wszystkich naszych domach.

8. Drugie Oratorium

Walka z praczkami

W miarę, jak rosła ilość naszych szkół, powiększała się też liczba uczniów. W świąteczne dni nie mieścili się już na podwórku i w kościele.

W porozumieniu z ks. Borelem zacząłem przemyśliwać nad otwarciem drugiego Oratorium w innej części miasta. Wynajęliśmy mały dom w Porta Nuova na Alei Króla *(dziś Aleja Wiktora Emanuela II),* zwanej przez ludzi aleją platanów, ponieważ po obu jej stronach rosły właśnie platany.

By wynająć ten dom, musieliśmy stoczyć całą batalię z jego lokatorami. W większości były to praczki i za żadną cenę nie chciały nam odstąpić domu, choćby świat się miał zawalić. Ale uprzejmością i wypłaceniem odstępnego rozwiązaliśmy konflikt pokojowo.

Właścicielką domu i łąki do zabaw była pani Vaglienti, a po niej – jej spadkobierca, kawaler Józef Turvano. Roczny czynsz wynosił czterysta pięćdziesiąt lirów. Oratorium nazwano imieniem św. Alojzego Gonzagi[43].

Wysiłki nie zawsze kończą się powodzeniem

Wraz z ks. Borelem dokonaliśmy otwarcia Oratorium w dzień Niepokalanego Poczęcia w 1847 roku. Zaczęło do niego przychodzić bardzo wielu chłopców, i dzięki temu gęsty tłum, jaki zalewał co niedzielę Oratorium na Valdocco, trochę się przerzedził.

Dyrektorem został ks. Józef Carpano, który przez parę lat sprawował tę funkcję bez wynagrodzenia. W Oratorium św. Alojzego zastosowano ten sam regulamin, co na Valdocco.

W tym samym roku, by móc przyjąć większą liczbę chłopców, wykupiliśmy cały dom Moretty, ale murarze, którzy mieli dokonać przeróbek, stwierdzili, że ściany są za cienkie. W końcu sprzedaliśmy go, tym bardziej, że zaoferowano nam bardzo korzystną cenę, a za to kupiliśmy 3800 m^2 ziemi od Seminarium Turyńskiego. Na tym placu wzniesiono później kościół Maryi Wspomożycielki i warsztaty dla naszych młodych rzemieślników.

[43] W przypisie ks. Bosko dodaje: „Obecny kościół św. Jana Ewangelisty znajduje się na terenie, gdzie były: kościół, zakrystia i domek dozorcy Oratorium św. Alojzego.

9. Trudny rok 1848

Strzał z kaplicy Pinardiego

W roku tym polityka i opinia publiczna zaczęły kształtować się w sposób tak dramatyczny, że trudno było przewidzieć koniec.

Karol Albert ogłosił Konstytucję. Dla wielu ludzi oznaczało to swobodę czynienia zła lub dobra według własnego widzimisię. Źródłem tego przeświadczenia były swobody przyznane Żydom i protestantom. „Nie ma już różnicy, czy jest się katolikiem, czy nie", mówiono, co było zresztą prawdą w życiu politycznym, ale w niczym nie zmieniało to obowiązków religijnych.

Młodzież ogarnął w tych dniach jakiś rodzaj gorączki. Zbierali się w różnych punktach miasta, na ulicach i placach, i napadali na księży i kościoły. Każdą zniewagę religii uważano za „wyczyn". Mnie również parokrotnie zaatakowano w domu i na ulicy.

Pewnego dnia, podczas lekcji katechizmu, strzał z rusznicy *(tj. starej strzelby)* padł przez okno. Kula postrzępiła mi ubranie pomiędzy piersią a ramieniem oraz oderwała spory kawałek tynku.

Innym razem, gdy stałem otoczony tłumem chłopców, w biały dzień pewien dobrze mi zresztą znany człowiek zaatakował mnie nożem. Cudem się uratowałem, uciekając do pokoju i barykadując drzwi.

Ks. Borel cudem uniknął strzału z pistoletu oraz ciosów nożem, ale to już innego dnia, gdy wzięto go za kogo innego. Trudno było uspokoić i przemówić do rozsądku tym rozszalałym młodym ludziom.

Miejsca pracy stają się niebezpieczne

W czasach tego ogólnego szaleństwa starałem się dać schronienie możliwie największej liczbie młodych robotników. Wynająwszy następne pokoje, mogłem ich przyjąć piętnastu: młodych ludzi bez rodziny i mogących wejść na złą drogę.

Istniała jednak zasadnicza trudność. Nie mieliśmy wówczas jeszcze warsztatów i nasi chłopcy jeździli do pracy do Turynu, co stwarzało pewne zagrożenie ich chrześcijańskiego życia: towarzysze pracy, zasłyszane słowa i oglądane sceny, wielekroć burzyły te poglądy chrześcijańskie, które staraliśmy się im przekazać w Oratorium.

W tym właśnie okresie zacząłem wieczorem, po modlitwie, wygłaszać im krótkie przemówienia, w których przedstawiałem jakąś prawdę chrześcijańską, dyskutowaną w ciągu dnia[44].

To samo, co zdarzało się młodym robotnikom, zdarzało się również uczniom gimnazjalnym. Ponieważ nasze lekcje nie obejmowały pełnego programu nauczania, najbardziej zaawansowani chodzili do prof. Józefa Bonzanio na gramatykę i do ks. prof. Mateusza Picco na retorykę, a chociaż były to szkoły wspaniałe, to przecież w drodze do nich i z powrotem napotykali na te same, co robotnicy trudności. Dopiero w 1856 roku mogliśmy z wielkim pożytkiem otworzyć wszystkie szkoły i warsztaty w budynku Oratorium.

Rozdawać zupę, mówiąc przy okazji dobre słowo

W 1848 roku nastąpiło tak ogólne rozprężenie, że nie mogliśmy ufać nawet współpracownikom, tak więc sami, matka i ja, musieliśmy wykonywać wszystkie prace domowe. Musiałem zatem gotować, nakrywać do stołu, rąbać drzewo, szyć koszule, spodnie, ręczniki i prześcieradła i reperować je, gdy się darły. Mogłoby się to wydawać stratą czasu, a tymczasem okazało się, że te czynności były doskonałą okazją do niesienia pomocy młodzieży w życiu chrześcijańskim. Rozdając chleb czy nalewając zupę, mogłem spokojnie dawać dobre rady czy powiedzieć im dobre słowo.

Pierwsze rekolekcje i skąd się wzięły?

Odczuwałem coraz większą potrzebę czyjejś pomocy w zarządzaniu domem i organizowaniu szkół w Oratorium. Z tą właśnie myślą zacząłem

[44] Na kartkach, poświęconych zobrazowaniu swego systemu wychowawczego, ks. Bosko tak mówi o tym przemówieniu: „Co wieczór, po zwykłych modlitwach a przed pójściem wychowanków na spoczynek, dyrektor lub kto inny w jego zastępstwie powinien wygłosić parę ciepłych słów, udzielając rad lub ostrzeżeń dotyczących tego, co należy robić, lub czego należy unikać. Te pouczenia powinny mieć źródło w tym co zdarzy się w ciągu dnia w Instytucie lub poza nim i nie powinny trwać dłużej niż dwie lub trzy minuty. Jest to klucz do moralności, dobrego postępu i wyników „w procesie wychowawczym".

zapraszać niektórych na wakacje do Becchi. Innych zapraszałem na obiad lub na kolację. Przychodzili czytać, pisać, uczyć się, a przy okazji dyskutowali o antyreligijnych poglądach, wygłaszanych w tych domach. Wszystko to trwało od 1841 do 1848 roku. Przez cały czas przyświecał mi przy tym cel, o którym już wspomniałem: obserwować, poznawać i wybrać osoby nadające się do wspólnego życia i zaproponować im, by ze mną zostali[45].

Zmierzając dalej w tym samym kierunku, w 1848 roku spróbowałem zorganizować pierwsze rekolekcje[46]. Zebrałem około pięćdziesięciu chłopców. Obiad i kolację jedli ze mną, ale że nie starczało dla wszystkich łóżek, więc część wracała do domów na noc i powracała następnego dnia rano. To odchodzenie wieczorem i powrót rano zagrażały jednak klimatowi skupienia i refleksji, jaki kazania i milczenie wytwarzają w te dni. Dni Skupienia zaczęły się w niedzielę wieczorem, a zakończyły w sobotę wieczorem.

Wypadły bardzo dobrze. Niektórzy chłopcy, którymi zajmowałem się od dawna bez większego rezultatu, zaczęli prawdziwie chrześcijańskie życie. Jedni z nich wybrali powołanie zakonne, inni zaś, choć zachwalali świecki styl życia, stali się dla swych kolegów z Oratorium wzorem chrześcijaństwa[47], ale o tym– opowiem szerzej w historii Towarzystwa Salezjańskiego[48].

Parafia chłopców bez parafii

Kilku proboszczów *(pamiętam, że byli wśród nich proboszcz z Borgo Dora, z kościoła Carmine i św. Augustyna)* ponownie wyrazili Arcybiskupowi swoje zaniepokojenie faktem, że w Oratorium udzielano Sakramentów. Arcybiskup w odpowiedzi wydał zarządzenie, w którym uprawniał nas do udzielania Komunii także na Wielkanoc i do przygotowywania uczęszczających do Oratorium chłopców do Bierzmowania oraz potwierdził nam prawo odprawiania wszystkich nabożeństw, które normalnie odbywają się w kościele parafialnym. „Oratoria – powiedział Arcybiskup – będą parafiami dla chłopców bez parafii".

10. Odważne lekcje chrześcijańskiego życia

Pierwszy chór chłopięcy

Życiu religijnemu i moralnemu chłopców groziły poważne niebezpieczeństwa, należało więc zwiększać wysiłki, by im pomóc. I tak, obok szkoły dziennej i wieczorowej oraz szkoły muzyki wokalnej, otworzyliśmy również szkołę fortepianu, organów i innych instrumentów. W ten sposób stałem się nauczycielem muzyki wokalnej i instrumentalnej,

45 Ks. Bosko myślał już o Zgromadzeniu Salezjańskim i wiedział dokładnie, jak i gdzie szukać powołań. W *Zarysie historycznym* napisanym w 1874 r. dla Kurii Rzymskiej tak opowiada o zdarzeniach i swych poczynaniach w r. 1848: „W tym (1848) roku, odznaczającym się duchem wrogości względem zakonów i zgromadzeń kościelnych, a potem ogólnie względem całego kleru i władz Kościoła podniósl się bunt. Ten krzyk wściekłości i pogardy dla religii powodował lekceważenie moralności przez młodzież, pogardę pobożności a w konsekwencji porzucenie powołań do stanu duchownego. Jak, patrząc na to z ludzkiego punktu widzenia, można było podtrzymać ducha powołania, gdy instytuty zakonne rozpadały się, księży znieważano, niektórych wsadzano do więzienia a innych skazywano na areszt domowy? W tym czasie Bóg wyraźnie dał nam poznać, skąd chce mieć nowe zastępy: nie z bogatych rodzin, bo te najczęściej wysyłają swe dzieci do szkół publicznych lub do wielkich kolegiów, gdzie każda myśl czy skłonność do tego stanu ginie w zarodku. Chwalebne miejsce wśród tych, którzy kierują się do stanu duchownego mieli zająć ci, którzy pracowali motyką i młotem".

46 Prowadził go młody ks. Fryderyk Albert, którego dziś czcimy jako błogosławionego.

47 W uwadze na marginesie rękopisu ks. Bosko pisze: „Spośród tych, którzy odbyli te pierwsze rekolekcje w 1848 r. i zawsze okazywali się dobrymi chrześcijanami pamiętam: Jacka Arnaud Sansoldiego, obydwu już nieżyjących, Józefa Buzzettiego, Mikołaja Galesia, Jana Costantina, nieżyjącego, Jakuba Ceruttiego, nieżyjącego, Karola Gastiniego, Jana Gravano, Dominika Borgiallego, nieżyjącego"

48 *Historia Zgromadzenia Salezjańskiego.* Ks. Bosko zamierzał zatem ją napisać, ale niestety nie zdążył zrealizować tego projektu.

organów i fortepianu, choć tak naprawdę nigdy się ich nie uczyłem. Dobre chęci wyrównywały braki.

Zorganizowaliśmy mały chór chłopięcy, który wystąpił najpierw w kościółku Oratorium, a potem w Turynie, Rivoli, Moncalieri, Chieri i w innych miejscowościach. Śpiewaków przygotowywali i dyrygowali kanonik Alojzy Nasi i ks. Michał Chiatellino. Dotychczas takich chórów jeszcze nie słyszano, więc jego występy były wielką nowością. Wszędzie mówiono o naszej muzyce, a chór chłopięcy zapraszano na wszystkie uroczystości. Ks. Nasi i Chiatellino zostali również oficjalnymi akompaniatorami naszego dopiero co rodzącego się *Towarzystwa miłośników muzyki.*

Co roku szliśmy do Sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia odprawić tam nabożeństwo. Tego roku wyruszyliśmy procesjonalnie z Oratorium. Nasze śpiewy rozbrzmiewały na ulicach i przyciągały prawdziwe tłumy. W kościele odprawiłem mszę Św., a chłopcy przystąpili do Komunii i śpiewali. Potem zeszliśmy do podziemnej kaplicy, gdzie wygłosiłem krótkie przemówienie. Księża podziękowali nam, zapraszając chłopców na wspaniałe śniadanie przygotowane pod portykami Sanktuarium.

Bada Miejska wspiera nas i daje tysiąc lirów

I tak chłopcy nauczyli się odważnie okazywać swoją wiarę, a inni idąc w ich ślady, przyłączali się do nas. Były to prawie manifestacje, podczas których – choć z zachowaniem ostrożności – dawaliśmy lekcje chrześcijańskiego życia, szacunku do władzy i częstego przystępowania do Sakramentów. Były to niezwykłe wydarzenia, o których głośno mówiono.

Rada Miejska Turynu, chcąc sprawdzić to, co o nas głoszono, przysłała do nas komisję złożoną z kawalera Piotra Ropolo del Capello, zwanego Moncalvo i komandora Dupre. Sprawdziwszy naszą działalność, wyrazili swą aprobatę i napisali tak pochlebne sprawozdanie o naszym życiu Oratorium, że w wyniku tego otrzymaliśmy nagrodę w wysokości tysiąca lirów i list pochwalny.

Od tego roku Rada Miejska przysyłała nam corocznie zasiłek aż do 1878. Potem, jak już wspomniałem, tę pomoc nam odebrano, likwidując tym samym to, co mądrzy administratorzy dali, by wesprzeć szkołę wieczorową dla chłopców z ludu.

Również Dzieło Żebractwa, które stosując nasze metody, otworzyło w międzyczasie szkoły wieczorowe i muzyczne, przysłało do nas delegację pod przewodnictwem Kawalera Gonelli. Na znak sympatii i poparcia dali nam nagrodę w wysokości tysiąca lirów[49].

Pielgrzymka odważnych chłopców

Co roku, w Wielki Czwartek, nasi chłopcy udawali się do różnych kościółków turyńskich, by odwiedzić „święte groby". Ale w tych trudnych czasach, grupy chuliganów wyśmiewały się z chłopców z Oratorium, i znieważały ich. Niektórzy, wystraszeni, nie mieli wręcz odwagi wejść do kościoła.

Powziąłem wtedy odważną decyzję. By natchnąć wszystkich odwagą do pokonania pogardy, całe Oratorium udało się procesjonalnie do różnych kościołów, ze śpiewem *Stabat Mater* i *Miserere.*

Rezultat przewyższył moje oczekiwania: wielu młodszych i starszych, bogatych i biednych chłopców, przyłączyło się do nas po drodze i wraz z nami poszło na adorację Najświętszego Sakramentu. Mogliśmy spokojnie i w porządku pomodlić się i śpiewać.

Wieczorem tego samego Wielkiego Czwartku, urządziliśmy po raz pierwszy w Oratorium „umywanie nóg", naśladując w tym Jezusa. Wybraliśmy dwunastu chłopców, którzy otrzymali tytuł dwunastu apostołów. Po ceremonii, zwróciłem kilka serdecznych słów do młodzieży i do ludzi, którzy się do nas przyłączyli, po czym zaprosiłem „dwunastu apostołów" na naszą skromną kolację i dałem każdemu prezencik, który z radością przyjęli.

W tym samym roku na ścianach kapliczki powiesiliśmy stacje Drogi Krzyżowej i bardzo uroczyście je pobłogosławiliśmy. Przy każdej stacji wygłaszałem parę słów, a chłopcy śpiewali jedną strofę pieśni.

Tak oto stopniowo nasze biedne Oratorium umacniało się, podczas gdy następowały wydarzenia, które miały zmienić sytuację polityczną Włoch, a być może i świata.

---

[49] W uwadze na marginesie rękopisu ks. Bosko pisze: „Spośród tych, którzy odbyli te pierwsze rekolekcje w 1848 r. i zawsze okazywali się dobrymi chrześcijanami pamiętam: Jacka Arnaud i Sansoldiego, obydwu już nieżyjących, Józefa Buzzettiego, Mikołaja Galesia, Jana Costantina, nieżyjącego, Jakuba Ceruttiego, nieżyjącego, Karola Gastniego, Jana Gravano, Dominika Borgiallego, nieżyjącego".

11. Rok 1849. Trzydzieści trzy liry dla Piusa IX

Oratorium przyjmuje zdezorientowanych seminarzystów

Trudno będzie zapomnieć ten rok. Rozpoczęta w poprzednim roku wojna Piemontu z Austrią postawiła całe życie do góry nogami. Zawieszono działalność szkół publicznych, a seminaria, zwłaszcza w Turynie i w Chieri zamknięto a pomieszczenia oddano wojsku.

W wyniku tego seminarzyści z naszej diecezji zostali bez dachu nad głową i bez nauczycieli.

Ponieważ trzeba to było jakoś rozwiązać, wynająłem cały dom Pinardiego. Nie było to wiele, ale w tych smutnych chwilach nie mogłem zrobić więcej. Dysponując całym budynkiem, mogłem zwielokrotnić ilość klas, powiększyć kościół i teren do zabaw oraz podnieść liczbę mieszkających na stałe u nas chłopców do trzydziestu.

W pierwszym jednak rzędzie miałem na celu możliwość ulokowania kleryków z diecezji. Osiągnąłem to i można powiedzieć, że przez prawie dwadzieścia lat dom Oratorium funkcjonował jako diecezjalne Seminarium.

Kiedy poprosiłem Pinardiego o wynajęcie mi całego domu, lokatorzy podnieśli gwałtowny protest. Zaczęli grozić mnie, matce, a nawet Pinardiemu. Kosztowało mnie to wiele pieniędzy, ale wreszcie dostałem do dyspozycji cały budynek. I tak, to cieszące się złą sławą miejsce, które przez dwadzieścia lat było siedzibą grzechu i występku, stało się naszą własnością. Dysponowałem całym terenem, na którym obecnie jest podwórko i dom za kościołem Matki Bożej Wspomożycielki.

Składka dla Papieża

Pod koniec 1848 roku wypadki polityczne zmusiły Piusa IX do ucieczki z Rzymu i schronienia się w Gaecie. Ten wielki Papież wielokrotnie okazywał nam swą dobroć i sympatię. Gdy rozeszła się wieść, że w Gaecie znajduje się w kłopotach finansowych, w Turynie zorganizowano składkę, nazwaną *Groszem św. Piotra.*

Komisja złożona z kanonika Franciszka Valinotti i markiza Gustawa Cavour przybyła do Oratorium, by prosić nas o przyłączenie się do tej akcji. Zebraliśmy wśród chłopców trzydzieści trzy liry. Była to śmieszna suma, ale razem z nią wysłaliśmy Papieżowi list z życzeniami, który sprawił mu wielką przyjemność. Wyraził ją w liście zaadresowanym do kardynała Antonucci, ówczesnego Nuncjusza w Turynie i późniejszego Arcybiskupa Ancony. W liście tym Papież prosił kardynała o przekazanie nam, że bardzo wzruszył go nasz dar, a jeszcze bardziej towarzyszące mu słowa. By się nam odwdzięczyć, przesłał nam swe papieskie błogosławieństwo i paczkę z siedmiuset dwudziestoma różańcami, które uroczyście rozdaliśmy chłopcom 20 lipca 1850 roku *(patrz książeczka wydana z tej okazji i artykuły w różnych gazetach)*[50].

Trzecie Oratorium

Młodzieży, która tłumnie przychodziła do Oratorium na Valdocco i do św. Alojzego, było coraz więcej, trzeba więc było zorganizować trzecie z kolei, pod wezwaniem Anioła Stróża, na przedmieściu Vanchiglia, niedaleko od miejsca, gdzie markiza Barolo kazała potem wznieść kościół św. Julii.

Poprzednio istniało już tam Oratorium, założone przed laty przez ks. Jana Cocchi, które stawiało sobie mniej więcej te same cele, co Oratorium na Valdocco. Ale wiedziony miłością do Ojczyzny ks. Cocchi uznał za stosowne nauczyć młodzież posługiwania się bronią i na ich czele pomaszerował na wojnę przeciw Austriakom[51].

Jego Oratorium zionęło pustką przez cały rok, a potem myśmy je wynajęli. Kierownictwo objął nieodżałowanej pamięci ks. Jan Vola.

---

[50] W swoich krótkich notatkach ks. Bosko powołuje się na źródła dostępne w czasach, w których pisze. Książeczka *Krótka relacja z uroczystości rozdania podarków Piusa IX chłopcom z turyńskiego Oratorium* ukazała się w 1850 r. Jeden z artykułów, o których wspomina ks. Bosko, podpisany przez Gustawa Cavour, brata sławnego Kamila, pojawił się na łamach *Harmonii* 40/1849.

[51] Ks. Jan Cocchi, wspaniały kapłan z Druento, jako pierwszy zainicjował w 1841 r. Oratorium w Turynie, w ubożuchnej dzielnicy Moschino, na przedmieściu Vanchiglia. Reprezentując liberalne poglądy, stał się jednak „podejrzany" w oczach Arcybiskupa i tradycjonalistycznie nastawionych katolików. Przekonany o konieczności „bycia z ludem" stanął na czele dwustuosobowej grupy chłopców ze swego Oratorium i poprowadził ich do bitwy pod Novarą. Gdy dotarli do Vercelli, do strefy działań wojennych, okazało się, że chłopcy, nie uznani za żołnierzy, nie otrzymali żywności. Dla ks. Cocchiego była to klęska moralna. Musiał zamknąć Oratorium i przez jakiś czas ukrywać się. Wypłynął ponownie, lansując projekt utworzenia *Instytutu dla młodych rzemieślników".*

Oratorium to działało aż do roku 1871, kiedy to przeniesiono je do kościoła parafialnego. Markiza Barolo zostawiła zapis na rzecz Oratorium.

Pierwszy kleryk z Oratorium

Do Oratorium na Valdocco przybyła w tym czasie komisja poselska, która na polecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych miała przyjrzeć się naszej pracy. Jej członkowie odnieśli się przyjaźnie i uprzejmie do wszystkiego i do wszystkich. Do Izby Poselskiej wystosowali potem sprawozdanie, które wzbudziło długą i ożywioną dyskusję, przytoczoną w *Gazecie Piemonckiej* z 29 marca 1850 roku. Po tej wizycie, Izba Poselska[52] przyznała nam zapomogę w wysokości trzystu lirów, a Urban Rattazzi, ówczesny Minister Spraw Wewnętrznych, przyznał nam dwa tysiące lirów.

Pod koniec października tegoż roku[53], doczekałem się pociechy, że jeden z moich wychowanków przywdział szaty kleryka. Nazywał się Ascanio Savio i został później dyrektorem Schroniska. Był to pierwszy kleryk z Oratorium.

12. Chcę trzymać się z dala od polityki

Patriotyczne kamizelki

W tych dniach pewne dziwne wydarzenie zakłóciło poważnie nasze życie. Nasze biedne Oratorium zaproszono bowiem do udziału w organizowanych w poszczególnych dzielnicach i wsiach manifestacjach publicznych pod nazwą „świąt narodowych". Każdy, kto uczestniczył w nich i chciał publicznie zademonstrować swą miłość do Ojczyzny, rozdzielał włosy nad czołem i czesał je tak, że opadały w puklach na ramiona, zakładał obcisłą różnokolorową kamizelkę, przypinał do piersi błękitną kokardę i medal oraz brał do ręki trójkolorowy sztandar. Tak ubrani ludzie szli w pochodach przez miasto, śpiewając hymn o jedności narodowej.

Rozmowa z markizem

Markiz Robert d'Azeglio, główny inicjator tych manifestacji, złożył nam formalne zaproszenie do udziału. Odmówiłem, ale mimo to załatwił dla wszystkich odpowiedni strój, byśmy dobrze wyglądali. Na Piazza Vittorio przygotowano nam miejsce obok wszystkich turyńskich instytutów[54]. Co robić? Odmówić – oznaczało zdeklarować się z wrogiem Włoch, zgodzić się – to zaakceptować zasady, które uważałem za zbyt niebezpieczne.

– Panie markizie – odpowiedziałem panu d'Azeglio – to nie jest instytut, a rodzina. Młodzież zbierająca się w moim domu nie stanowi instytucji. Wystawiłbym się na pośmiewisko, gdybym przedstawił dzieło powierzone miłosierdziu obywateli jako swoje własne.

– Właśnie dlatego winien ksiądz uczestniczyć. Miłosierdzie obywateli powinno wiedzieć, że dzieło to nie jest przeciwne nowoczesnym instytucjom. To tylko przyniesie wam korzyść i zwiększy datki dla was. Zarówno Rada Miejska jak i ja sam okażemy swą hojność.

– Panie markizie, zasadą, od której nigdy nie odstępuję jest trzymanie się z dala od wszystkiego, co wiąże się z polityką. Nie wypowiadam się w tych sprawach ani za, ani przeciw.

– Co zatem chce ksiądz czynić?

---

[52] Ks. Bosko się myli. Komisarze byli senatorami i swą rację złożyli Senatowi. Zasiłek ten nadszedł z Senatu.

[53] I w tym wypadku ks. Bosko myli się co do daty. Ascanio Savio został klerykiem w 1848 roku.

[54] Na 27 lutego 1848 r. liberałowie przygotowali w Turynie „manifestację dziękczynną, ponieważ Karol Albert obiecał przyznać konstytucję. Olbrzymi Plac Wiktora był zatłoczony delegacjami ściągniętymi z różnych stron Piemontu, Ligurii, Sardegni i Savoi. Wezwano wszystkie organizacje turyńskie do masowego udziału. Pochód idący na plac był imponujący: przed królem, siedzącym na koniu, przedefilowało pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Arcybiskup odmówił celebrowania mszy i odśpiewania *Te Deum* w kościele Matki Boskiej przy Placu Wiktora, zezwolił tylko na udzielenie błogosławieństwa eucharystycznego. Zabronił również klerykom z seminarium uczestnictwa w uroczystości, ale oni nie usłuchali i z przypiętymi do piersi trójkolorowymi kokardami wzięli udział w pochodzie. W odpowiedzi, Arcybiskup wkrótce potem zamknął seminarium. W tym kontekście łatwiej można zrozumieć nalegania markiza d'Azeglio, by ks. Bosko wziął udział w uroczystości wraz z chłopcami oraz jego kategoryczną odmowę.

– Chcę dać możliwie najwięcej opuszczonym chłopcom, starać się ze wszystkich sił, by stali się dobrymi chrześcijanami, jeśli chodzi o życie religijne, i uczciwymi obywatelami w świeckim społeczeństwie.

– Rozumiem, co chce ksiądz powiedzieć, ale to błąd. Jeśli dalej będzie ksiądz obstawał przy swojej zasadzie, wszyscy księdza opuszczą i dzieło księdza upadnie. Trzeba przyglądać się światu, poznawać go i przystosowywać do czasów, w jakich się żyje i do starych i nowych instytucji.

– Dziękuję panu, markizie, za pana dobre chęci i za rady. Niech mi pan wskaże coś, w czym ksiądz może konkretnie wyrazić miłość bliźniego, a będę temu gotów oddać wszystko, nawet życie. Ale od polityki chcę zawsze trzymać się z daleka.

Ten sławny i możny człowiek odszedł, nie zdoławszy mnie skłonić do zmiany zdania, i nie mieliśmy już z nim kontaktów. Po nim opuściło mnie również wielu ludzi świeckich i przedstawicieli kleru. Po wydarzeniu, jakie teraz opowiem, zostałem praktycznie sam.

13. Odchodzą księża i chłopcy

Podarta gazeta

W następną niedzielę, o drugiej po południu, stałem na podwórku z chłopcami. Jeden z nich, stojący koło mnie, czytał gazetę *Harmonia,* gdy nadeszli księża, którzy pomagali mi w pracy z młodzieżą. Spojrzałem na nich i oniemiałem: na piersi mieli kokardy i medale, a w ręku trójkolorowy sztandar i trzymali antyklerykalną gazetę, *Opinia*[55].

[55] Jedną z wielkich nowości pierwszych miesięcy 1848 r. w Turynie były „wolne" gazety polityczne, których ilość wzrastała z miesiąca na miesiąc w następstwie przyznania wolności druku. Wywierały one silny nacisk na opinię publiczną. Jako pierwsze zaczęły wychodzić *Risorgimento* Kamila Cavoura, główny organ liberałów, oraz *Concordia* lewicy demokratycznej. 26 stycznia ukazała się *Opinione* Jakuba Duranda, o zabarwieniu antyklerykalnym, a w lipcu *Harmonia* Gustawa Cavoura, o wyraźnym nastawieniu katolickim.

Jeden z nich, którego bardzo ceniłem za inteligencję i zaangażowanie w pracy z młodzieżą, podszedł do mnie i wskazując tego, który trzymał w ręku *Harmonię,* powiedział ostrym tonem:

– To wstyd! Czas już skończyć z tą nostalgiczną szmirą!

I tymi słowy, wyrwał mu z ręki gazetę, podarł ją na strzępy, cisnął na ziemię, napluł na nią i podeptał. Dawszy w ten sposób upust swemu politycznemu gniewowi, odwrócił się do mnie i, wymachując mi przed nosem *Opinią,* stwierdził:

– To jest dobra gazeta, którą powinni czytać wszyscy praw dziwi i uczciwi obywatele.

Stałem jak osłupiały z wrażenia wobec tych słów i takiego zachowania, ale nie chcąc jeszcze powiększać skandalu wobec chłopców i to w miejscu, gdzie powinno się im dawać tylko dobry przykład, poprosiłem jego i jego kolegów, by odłożyli te tematy na później, gdy zostaniemy sami i nie w publicznym miejscu.

– Nie – odpowiedział. – Już nie będzie więcej prywatnych sekretów. Wszytko należy mówić i robić jawnie.

Masowa ucieczka

W tym momencie dzwonek wezwał wszystkich do kościoła. Jeden z tych księży przemówił, bo było to zaplanowane, do młodzieży, ale były to złe słowa, o wolności, wyzwoleniu i niepodległości.

Czekałem niecierpliwie w zakrystii, aż będę mógł zabrać głos i położyć kres temu rozgardiaszowi, ale kaznodzieja, zakończywszy przemowę, udzielił błogosławieństwa, a zaraz potem wezwał księży i chłopców, by szli za nim. Śpiewając pełną piersią hymny narodowe i powiewając energicznie sztandarem, poszli aż na Górę Kapucynów. Tam złożyli uroczystą obietnicę, że wrócą do Oratorium dopiero wtedy, gdy przygotuje się im „narodowe" przyjęcie.

Wszystko to potoczyło się tak prędko, że nie zdążyłem odezwać się ani słowem ale nie ogarnął mnie strach. Wiedziałem, jakie są moje powinności. Powiedziałem księżom, że surowo zabraniam im wracać do Oratorium. Jeżeli zaś chodzi o chłopców, to ci, którzy chcieliby wrócić, mieli przyjść do mnie na rozmowę pojedynczo.

Sprawa zakończyła się dobrze. Żaden z księży nie ośmielił się wrócić, zaś chłopcy przeprosili mnie, przyznali, że oszukano ich i przyrzekli posłuszeństwo i dyscyplinę.

14. Ciężar samotności

„Klerycy też odeszli”

Ale ja zostałem sam. W świąteczne dni musiałem rozpoczynać spowiedź wczesnym rankiem. O 9-tej odprawiałem mszę i wygłaszałem kazanie. Potem była szkoła śpiewu i włoskiego aż do południa. O 1-ej po obiedzie – zabawy dla chłopców, a później katechizm, nieszpory, nauka, modlitwy i błogosławieństwo, i wreszcie: zabawy, śpiewy i nauka przeważnie do późnego wieczora.

W dni powszednie za to musiałem czuwać nad pracą małych rzemieślników i prowadzić lekcje dla około dziesięciu uczniów. Wieczorem prowadziłem lekcje francuskiego, arytmetyki, śpiewu, muzyki, gry na pianinie i organach. Nie wiem, jak to wytrzymałem. Bóg mi dopomagał.

Wielką pociechą i wsparciem duchowym był dla mnie w tych chwilach ks. Borel. Ten wspaniały kapłan, choć obarczony tysiącem innych obowiązków, wykorzystywał każdą wolną chwilę, by pośpieszyć mi z pomocą. Często kradł godziny przeznaczone na sen, by spowiadać chłopców i rezygnował z czasu na odpoczynek, by wygłaszać im kazania.

Ten ciężki okres trwał, dopóki nie przybyli mi z pomocą klerycy Savio, Bellia i Vacchetta, ale i oni wkrótce mnie opuścili: namawiani przez kogoś, wstąpili, nie uprzedziwszy mnie ani słowem, do Oblatów Maryi.

Rosmini uczy katechizmu chłopców z Oratorium

Którejś niedzieli odwiedziło mnie dwóch kapłanów. Właśnie miała się zacząć lekcja katechizmu i chłopcy rozdzielali się na poszczególne klasy. Księża podeszli do mnie i bardzo uprzejmie pogratulowali mi tego, co widzą, po czym zaczęli wypytywać mnie o początki i o organizację Oratorium. Zdołałem tylko wykrztusić:

– Bądźcie tak dobrzy i pomóżcie mi. Ksiądz niech idzie ze mną za ołtarz, tam czeka najstarsza klasa. A księdzu – zwróciłem się do wyższego wzrostem – dam grupę najbardziej rozproszonych.

Uczyli katechizmu wspaniale, jak zauważyłem. Potem poprosiłem jednego, by powiedział parę słów do chłopców, a drugiego – by ich pobłogosławił Najświętszym Sakramentem. Bardzo uprzejmie zgodzili się.

Wyższy nazywał się De Gaudenzi i był kanonikiem, a w przyszłości miał zostać biskupem. Drugim był opat Antoni Rosmini[56], założyciel Instytutu Miłosierdzia. Od tej niedzieli obydwaj stali się wiernymi przyjaciółmi i dobroczyńcami Oratorium.

---

[56] Ks. Bosko żywił olbrzymi szacunek dla tego wielkiego kapłana i filozofa chrześcijańskiego. W swej *Historii Włoch* poświęcił mu trzy strony. Oto fragmenty tego, co o nim napisał:

„Antoni Rosmini wywodził się z bogatej i szlachetnej rodziny z Rovereto, miasteczka koło Trento. Silnej budowy i przenikliwego umysłu, wytrwale oddawał się nauce... Był pobożny i z największą gorliwością zajmował się w ścisłym tego słowa znaczeniu naukami... Jego wybitna umysłowość i zapał do nauki budziły podziw nauczycieli i kolegów, którzy już wtedy prorokowali mu wielką przyszłość. Mając szesnaście lat, postanowił wstąpić do stanu duchownego... W Rovereto przeczytał i przestudiował najważniejsze systemy filozoficzne, uznawane wówczas we Włoszech i we Francji, ale wzbudziły one w nim tylko niesmak. Zaczął myśleć o jedności, która połączyłaby rozum i wiarę i dlatego zaczął studiować teologię. Gdy został kapłanem, Pius VII zachęcił go do zajmowania się filozofią. Po powrocie do ojczyzny, zabrał się do nauki z graniczącym z cudem zaparciem i gorliwością, ale duch miłosierdzia, który przejawiał od najmłodszych lat, towarzyszył wszelkim jego poczynaniom. Założył instytut dobroczynny, popularnie zwany od jego nazwiska instytutem Rosminianów. W Mediolanie opublikował szereg prac filozoficznych. Aleksander Manzoni, przeczytawszy utwory tego nieznanego sobie autora, powiedział: *W osobie autora tej książki Niebo dało Włochom i Kościołowi wielkiego człowieka...*

Wśród wielu dzieł tego wybitnego filozofa i pisarza niektóre zostały zakazane przez Kościół i umieszczone na indeksie. Ten fakt, których innych skłoniłby do gniewu i urazy, wykazał światu, że Rosmini obok głębokiej wiedzy posiadał również wytrwałość i pokorę dobrego katolika. Nie okazując najmniejszego żalu, odpowiedział: „Z wyrazami największego oddania i posłuszeństwa synowskiego Stolicy Apostolskiej oświadczam, że podporządkowuję się zakazowi,- jakim objęto wyżej wspomniane utwory całkowicie i w zupełności i proszę o zapewnienie o tym Ojca Świętego i Świętą Kongregację...”.

Gorliwe i pełne samozaparcia studia były przyczyną ciężkiej choroby, na jaką zapadł w roku 1855... Przyjąwszy sakramenty, umarł po długiej chorobie 1 lipca 1855 roku, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat”. (Jan Bosko, *Dzieje Włoch opowiedziane młodzieży,* Turyn 1887, str. 473-475).

15. Kupienie domu wynajęcie karczmy

„Sto tysięcy kary dla tego, kto się wycofa”

Rok 1849 obfitował w trudności i nie przyniósł żadnych owoców. Kosztował mnie wiele trudu i olbrzymich poświęceń, ale przygotował grunt pod rok 1850, mniej burzliwy i zakończony o wiele lepszymi rezultatami.

Zacznijmy od domu Pinardiego. Ci, którzy stracili w nim mieszkanie, nie mogli się z tym pogodzić. Rozpowiadali:

– – Był to dom wypoczynku i wesołości, a teraz popatrzcie! Wpadł w ręce księdza, i to na dodatek zupełnie nietolerancyjnego!

Pinardiemu zaproponowano czynsz dwukrotnie przewyższający to, co ja mu dawałem. Ale to był porządny człowiek i nie chciał zarabiać, oddając dom w niepewne ręce. Wielokrotnie proponował mi kupno całości, by wreszcie skończyć z całą tą sprawą, ale żądał zbyt wysokiej ceny: osiemdziesiąt tysięcy za budynek, który wart był jedną trzecią. Jednak Bóg często uwidacznia, że to On jest panem ludzkich serc. Oto bowiem, co się zdarzyło.

Którejś niedzieli, gdy ks. Borel wygłaszał kazanie, stałem w bramie, by nie wpuszczać nikogo, kto by chciał przeszkadzać. Nadszedł pan Pinardi.

– Halo! – wykrzyknął żartobliwym tonem – ks. Bosko musi kupić mój dom.

– Halo! – odparłem tym samym tonem. – Kupię go, jeśli pan Pinardi odda mi go za jego cenę.

– Oddam za tyle, ile jest wart.

– To znaczy, za ile?

– Już tyle razy księdzu mówiłem.

– Takiej sumy nie zapłacę.

– Dlaczego?

– Bo jest wygórowana? Ale nie chciałbym obrazić pana, składając o wiele niższą ofertę.

– Niech ksiądz powie swoją cenę.

– Ale sprzeda mi pan ten dom za tyle, ile jest wart?

– Niech ksiądz poda sumę.

– Nasz wspólny znajomy oszacował dom i zapewnił mnie, że w obecnym stanie wart jest dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu tysięcy lirów, a ja, żeby wreszcie z tym skończyć, daję panu trzydzieści tysięcy.

– A dołoży jeszcze ksiądz na broszkę dla mojej żony pięćset lirów.

– Zgoda.

– Zapłaci ksiądz gotówką?

– Gotówką.

– Kiedy sporządzimy umowę?

– Kiedy pan chce.

– Za dwa tygodnie, z jednorazową wypłatą?

– Jak pan sobie życzy.

– Sto tysięcy kary dla tego, kto się wycofa!

– W porządku.

Samą sprawę ubiliśmy więc w pięć minut, ale skąd wziąć w ciągu dwóch tygodni trzydzieści tysięcy lirów? Opatrzność nam dopomogła. Tego samego wieczora *(co było zupełnie niezwykłe, biorąc pod uwagę, że był to dzień świąteczny)* odwiedził mnie ks. Cafasso i powiedział mi, że pewna pobożna dama, hrabina Casazza-Riccardi, przekazała mu dla mnie dziesięć tysięcy lirów, bym wydał je na to, co uznam za najlepsze dla wiary. Następnego dnia przybył zakonnik od O. Rosminiego, który przyjechał do Turynu z dwudziestoma tysiącami lirów. Poprosił mnie o radę, na co je przeznaczyć, a ja zaproponowałem mu, by mi je pożyczył na procent *(4%),* co pozwoli mi zapłacić za dom Pinardiego. W ten sposób miałem już całą sumę. Koszty, w wysokości trzech tysięcy lirów pokrył kawaler Cotta, w którego banku podpisaliśmy tak upragnioną dla nas umowę.

Karczma wesołych kompanów

Po kupieniu domu Pinardiego zacząłem się zastanawiać nad tzw. ogródkiem. Była to karczma, w której co niedzielę zbierała się spora kompania. W ciągu dnia rozbrzmiewały w niej na przemian podtrzymujące nastrój tony organków, fujarki, klarnetu, skrzypiec, gitary, basu i kontrabasu. Często grajkowie spotykali się wszyscy razem i wtedy urządzali coś w rodzaju koncertu, któremu wtórowały głosy podchmielonych gości.

Budynek, w którym znajdowała się karczma, dom Bellezzy, oddzielał od naszego ogródka tylko murek, tak więc wrzaski, muzyka i odgłos tłuczonego szkła w ogródku przeszkadzał często, a nawet zagłuszał śpiew naszego chórku. Poza tym przed domem Pinardiego wciąż kręcili się goście z karczmy, łatwo więc wyobrazić sobie, jak to nam przeszkadzało i na jakie niebezpieczeństwa narażało naszych chłopców.

Chcąc rozwiązać ten problem, próbowałem kupić dom, ale mi się to nie udało, zaproponowałem więc, że go wynajmę. Właścicielka domu zgodziła się nawet, ale właścicielka karczmy nie i domagała się nader słonego odstępnego. Wtedy powiedziałem, że przejmę karczmę, zapłacę czynsz, kupię stoły, ławy, krzesła, szynk, wyposażenie piwnicy i kuchni.

Musiałem za wszystko bardzo drogo zapłacić, ale dzięki temu mogłem wreszcie zamknąć tę podłą karczmę i przeznaczyć lokal na zupełnie inny cel. Uzdrowienie tego cieszącego się złą sławą terenu postępowało do przodu.

16. Kościół i loteria

W kaplicy – szopie chłopcy mdleli

Skończyły się kłopoty moralne, jakich przysparzał nam dom Pinardiego i ogródek. Obecnie nastała pora, by pomyśleć o jakimś kościele bardziej stosownym do nabożeństw i mogącym pomieścić wciąż rosnącą liczbę chłopców.

Kaplicę – szopę powiększyliśmy nieco, ale i tak okazywała się za mała i za niska. Wchodząc, trzeba było zejść dwa stopnie, więc kiedy na zewnątrz padało, woda przedostawała się do środka i zalewała nas, natomiast latem można było udusić się od gorąca i nieprzyjemnego zapachu. W każdą niedzielę któryś z chłopców mdlał i musieliśmy wynosić go na powietrze na rękach półprzytomnego.

Trzeba było zatem zbudować przestronny, zdrowy i proporcjonalny do ilości chłopców budynek. Projekt przygotował kawaler Blachier. Obejmował on obecny kościół św. Franciszka Salezego i całkowicie przerobiony dom Pinardiego. Wykonanie powierzono przedsiębiorcy budowlanemu Fryderykowi Bocca. Zrobiono wykop pod fundamenty. Pierwszy kamień pobłogosławił 20 lipca 1851 roku kanonik Moreno, główny administrator diecezji, a położył go kawaler Józef Cotta. Sławny ojciec Barrera, wzruszony widokiem tylu ludzi przybyłych na tę okazję, wszedł na pagórek i wygłosił wspaniałe improwizowane przemówienie.

Kamień jak ziarnko

Zaczął od słów: „Proszę państwa. Kamień, który pobłogosławiliśmy i położyliśmy jako fundament tego kościoła, ma dwa olbrzymie znaczenia. Jest jak owo ziarnko gorczycy, z którego wyrośnie wielkie drzewo, gdzie znajdzie schronienie wielu chłopców, a jednocześnie przypomina, że to dzieło wspiera się na kamieniu węgielnym, jakim jest Jezus Chrystus. Wrogowie wiary będą starali się je zburzyć, ale daremnie".

Potem ojciec Barrera rozwinął te dwa stwierdzenia przy pełnej szacunku uwadze słuchaczy, którzy czuli w nim natchnionego kaznodzieję.

To wesołe i głośne święto ściągnęło zewsząd młodzież. Wielu chłopców przychodziło już wówczas do Oratorium o każdej porze dnia, inni prosili, by przyjąć ich na stałe. Liczba małych mieszkańców w tym roku przekroczyła pięćdziesięciu. Zaczęliśmy organizować też niektóre warsztaty w domu, ponieważ wychodzenie chłopców do pracy w mieście było coraz niebezpieczniejsze.

Zbudowano już fundamenty pod kościół, kiedy zauważyłem, że skończyły się pieniądze. Ze sprzedaży domów i ziemi uzyskałem trzydzieści pięć tysięcy lirów, które stopniały jednak tak szybko jak śnieg w słońcu. Zarząd *(miasta)* przyznał nam pomoc w wysokości dziewięciu tysięcy lirów, które miały nam być wypłacone dopiero w końcowej fazie budowy. Biskup Bielli, mając na uwadze, że w Oratorium znalazło gościnę i pomoc wielu młodych robotników z jego diecezji, rozesłał list do swoich proboszczów z wezwaniem o zbieranie ofiar dla nas. Oto jego słowa.

List Biskupa Bielli

„Wielebny księże proboszczu!

Ks. Bosko, wybitny i pobożny kapłan, wiedziony prawdziwie anielskim miłosierdziem, zaczął zbierać wokół siebie w świąteczne dni opuszczonych i wałęsających się po placach i ulicach napotkanych chłopców, zamieszkujących olbrzymi i gęsto zaludniony teren, rozciągający się między Borgo Dora a Martinetto. Zebrał ich w miejscu odpowiednim dla chłopców, by zorganizować im rozrywkę i wychowywać po chrześcijańsku. Jest ich już tak dużo, że kapliczka, którą dysponuje, stała się za mała. Nie mieści nawet jednej trzeciej z ponad sześciuset chłopców, którzy tam przychodzą. Pobudzony miłością do nich, ks. Bosko podjął trudne dzieło wybudowania nowego kościoła odpowiedniego do potrzeb młodzieży i odwołał się do miłosierdzia katolików o pomoc przy pokrywaniu poważnych nakładów, jakich budowa ta wymaga.

Ze szczególną ufnością zwraca się za moim pośrednictwem do naszej diecezji i prowincji, ponieważ wśród tych sześciuset chłopców, którzy zbierają się wokół niego i chodzą do jego Oratorium, ponad jedną trzecią *(tj. ponad dwustu),* stanowią chłopcy z Bielli. Wielu z nich mieszka także w jego domu, dostaje wyżywienie i odzież i uczy się zawodu. Jego prośba o pomoc do nas jest więc nie tylko wezwaniem do miłosierdzia, ale i apelem do poczucia sprawiedliwości. Proszę zatem księdza proboszcza o powiadomienie parafian o tym tak interesującym dziele, o szczególny apel do osób zamożnych i o przeznaczenie co niedzielnej ofiary na ten właśnie cel. Zebrane pieniądze należy przesłać do Kurii z podaniem sumy i miejsca, skąd pochodzi.

Czy wtedy, gdy protestanci starają się otworzyć świątynię, by nauczać w niej błędu, który doprowadzi do zguby ich braci, katolicy nie potrafią przyczynić się do budowy kościoła, w którym będzie się nauczać prawdy i wskaże się drogę do zbawienia im, ich braciom i krajanom? Żywię głęboką nadzieję, że będę mógł godnie wesprzeć dzięki waszym ofiarom dzieło człowieka Bożego. Będzie to dla mnie namacalny znak i przejaw mądrej i pełnej uznania dobrej woli moich diecezjan, ich poparcia dla dzieła, które jest święte, użyteczne, a nawet niezbędne w czasach, w jakich żyjemy. Korzystam ze sposobności, by ponownie zapewnić księdza o moim szacunku i przyjaźni.

Biella, 13 września 1851.

Szczerze oddany bp Józef Piętro".

Pierwsza loteria

Zebrane ofiary przyniosły nam tysiąc lirów, ale była to kropla w morzu potrzeb, zacząłem więc przemyśliwać nad zorganizowaniem publicznej loterii. Udało nam się zebrać trzy tysiące trzysta darów, które nadesłali m.in. Papież, Król, Królowa matka i cały dwór królewski. Rozprzedano wszystkie bilety *(każdy w cenie pół lira).* Kiedy odbywało się publiczne losowanie w Ratuszu Miejskim, wielu próbowało jeszcze kupić bilety, choćby i za dziesięciokrotną ich cenę.

(W *tym miejscu ks. Bosko sugeruje, by osoba, która będzie przepisywała jego pamiętniki, zamieściła również program i regulamin loterii, ale dokumenty te wydają mi się suche, biurokratyczne i pozbawione szczególnych wartości).*

Wielu zwycięzców zostawiło nawet swe nagrody dla potrzeb kościoła, co również nam pomogło. Poniesione wydatki były co prawda olbrzymie, ale na czysto uzyskaliśmy sumę dwudziestu sześciu tysięcy lirów.

17. „Biada Turynowi 26 kwietnia!"

Wybuch prochowni

26 kwietnia 1852 roku, podczas gdy fanty na loterię były wystawione na widok publiczny, nastąpił wybuch w prochowni znajdującej się niedaleko cmentarza przy kościele św. Piotra w Okowach. Towarzyszył mu wstrząs bardzo silny i gwałtowny, zupełnie jak przy trzęsieniu ziemi. Wiele budynków, zarówno w pobliżu jak i dalej położonych uległo poważnemu uszkodzeniu. Dwudziestu ośmiu pracowników prochowni zginęło na miejscu. Szkody

byłyby jeszcze większe, gdyby pewien sierżant o nazwisku Sachi, narażając swe życie, nie przeszkodził rozprzestrzenianiu się ognia na sąsiednią, o wiele większą prochownię. Gdyby i ona wybuchła, całe miasto mogłoby wtedy lec w gruzach.

Źle zbudowany dom Oratorium znacznie ucierpiał. Posłowie, chcąc pomóc nam w wyremontowaniu go, przysłali nam zapomogę w wysokości trzystu lirów.

Chciałbym opowiedzieć pewien wiążący się z tym fakt, którego bohaterem był jeden z naszych młodych rzemieślników, Gabriel Fascio. Rok wcześniej chłopiec ten poważnie się rozchorował i życie jego wisiało na włosku. Bredząc w silnej gorączce, powtarzał:

– Biada Turynowi? Biada Turynowi! Koledzy, którzy czuwali przy nim, pytali go:

– A dlaczego?

– Bo grozi mu straszna klęska.

– Jaka?

– Wielkie trzęsienie ziemi.

– A kiedy to ma być?

– W przyszłym roku. Biada Turynowi 26 kwietnia.

– Co mamy robić?

– Modlić się do św. Alojzego, by chronił Oratorium i tych, którzy w nim mieszkają.

Właśnie wtedy, z inicjatywy chłopców, dodaliśmy do odmawianych rano i wieczorem modlitw *Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo* i *Chwała Ojcu* na cześć św. Alojzego. I faktycznie, biorąc pod uwagę rozmiary niebezpieczeństwa, nasz dom ucierpiał stosunkowo niewiele, a nikt z chłopców nie odniósł najmniejszych obrażeń.

Wiersze i uroczystość konsekracji kościoła

Tymczasem prace na budowie kościoła św. Franciszka Salezego żwawo posuwały się naprzód i zakończyły się w ciągu jedenastu miesięcy. 20 czerwca 1852 roku nastąpiła konsekracja i uroczystość dla nas jedyna w swoim rodzaju.

Przy wejściu na dziedziniec wznieśliśmy olbrzymi łuk, a na nim wypisaliśmy dużymi literami:

Złotymi literami
wypiszemy na każdej ścianie:
«Niech żyje wiecznie ten dzień».

Prof. Józef Blanchi, którego z wdzięcznością wspominam, napisał muzykę do wierszy, które stały się oficjalnym hymnem tych dni. Rozbrzmiewały w każdym zakątku domu:

Wpierw słońce z zachodu
powróci na wschód
i rzeka do źródeł swych
wcześniej popłynie,
niż zniknie z pamięci
dzień, który dla nas zawsze
będzie jednym z najpiękniejszych.

Entuzjastycznie recytowano i śpiewano także inny wiersz:

Jak ptak, co z gałęzi na gałąź, skacząc drzewa bezpiecznego szuka,
by uwić wreszcie swe gniazdo
i spokojnie w nim spocząć,
Tak my przez ponad dziesięć lat
gniazda też szukaliśmy
ale wyrokiem Boskiej Opatrzności
nigdzie go nie mogliśmy znaleźć.
Raz więc łąka, a raz ogród,
podwórze, ulica lub pokój,
czasem plac albo dzielnica
Oratorium naszym były.
Ale wreszcie Miłosierny,
spojrzawszy łaskawym okiem,
dziesięć lat poszukiwań

z nawiązką wynagrodził nam.
Wynagrodził... dał nam klasy
i ogródek do zabawy;
i dom jak prawdziwe ognisko
dla dzieci podarował nam[57].

Wiele gazet pisało o naszej uroczystości. Po zakończeniu budowy kościoła, potrzebowaliśmy teraz wszelkiego rodzaju wyposażenia. Znów przyszło nam w sukurs miłosierdzie mieszkańców. Komandor Józef Dupre kazał wymalować kaplicę św. Alojzego i kupił marmurowy ołtarz, który do dziś ją zdobi. Inny dobroczyńca kazał zbudować chór, na którym umieszczono małe organy, zapewniając muzyczną oprawę nabożeństw dla młodzieży. Pan Michał Scannagatti zakupił wszystkie potrzebne lichtarze. Markiz Fasatti kazał zbudować ołtarz Najświętszej Maryi Panny i zakupił do niego lichtarze z brązu, a potem rzeźbę Madonny. Ks. Cafasso kazał zrobić kazalnicę. Dr Franciszek Vallauri zapłacił za ołtarz główny, a dzieła dokończył jego syn – ks. Piotr. I tak, w krótkim czasie, nowy kościół miał już wszystko, co potrzeba, do prywatnych nabożeństw i do wielkich uroczystości.

Towarzystwo Wzajemnej Pomocy

Pierwszego czerwca tegoż roku zainaugurowało swą działalność nasze *Towarzystwo Wzajemnej Pomocy*[58], tak że nasi młodzi pracownicy nie musieli już zwracać się do towarzystwa zwanego „robotniczym", o wyraźnie antyreligijnym od samego początku charakterze. Później *(w 1875 roku)* przerodziło się ono w *Konferencję Św. Wincentego a Paulo*[59], które aż po dziś, tj. po 1857 rok, nadal funkcjonuje.

18. Zawalenie się murów w nocy

Ulewa padająca na świeże mury

Nowy kościół św. Franciszka Salezego z zakrystią i dzwonnicą, to było właśnie to, czego nam było potrzeba na niedzielne nabożeństwa dla chłopców. Była to zarazem doskonała siedziba dla dziennej i wieczorowej szkoły. Pozostawał jednak jeszcze jeden problem do rozwiązania: gdzie umieścić wszystkich tych biednych chłopców, którzy zgłaszali się każdego dnia z prośbą o przyjęcie ich do internatu? Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że wybuch prochowni, jaki miał miejsce rok wcześniej, poważnie uszkodził dom kupiony od Pinardiego.

Z uwagi na tę potrzebę, postanowiłem wznieść nowy budynek. Aby móc nadal korzystać ze starych pomieszczeń, dobudowano skrzydło, które stanowiło jakby przedłużenie domu Pinardiego *(ta część, która ciągnie się od schodów, znajdujących się dziś w centrum domu aż do pokoików ks. Bosko).*

Była już co prawda późna jesień, ale prace posuwały się naprzód bardzo szybko i wkrótce podciągnęliśmy mury aż po dach. Położono już

---

[57] Ks. Bosko cytuje w manuskrypcie tylko dwie pierwsze linijki tego wiersza. Uznałem, że dobrze będzie przytoczyć pięć pierwszych strof z liczącego dwadzieścia dwie zwrotki całego wiersza, wydrukowanego w całości we *Wspomnieniach Biograficznych,* t. IV, str. 437-38.

[58] Po 1820 r. w Piemoncie powstało w środowisku robotniczym kilka *Towarzystw Wzajemnej Pomocy.* Zapisując się do nich, robotnicy mieli wspomagać się nawzajem w trudnościach materialnych i związanych z chorobą oraz udzielać sobie poparcia przeciw nadużyciom pracodawców. Pierwsze towarzystwo założyli pracownicy przemysłu drzewnego w roku 1822. Wielu księży zrozumiało, jak bardzo były potrzebne te stowarzyszenia solidarnościowe i udzieliło im swego poparcia. Należeli do nich m.in. biskup Bielli od 1839 r., Savony od 1840 i Asti od 1843 roku, mówiąc o tym także w swych listach duszpasterskich. Jednakże już w kilka lat później turyński ksiądz Leonard Murialdo narzekał: „Towarzystwa wzajemnej pomocy twierdzą, że chronią młodych pracowników od wpływów politycznych i że nie przeciwstawiają się religii katolickiej, ale w rzeczywistości szerzą pogardę dla księży, obojętność dla spraw religii a nawet teorie komunistyczne" (Castellani, *Murialdo,* t. I, str. 566). Pozwala to zrozumieć obawy ks. Bosko i jego inicjatywę założenia w 1850 (a nie w 1852, jak błędnie pisze) roku *Towarzystwa Wzajemnej Pomocy* wśród chłopców z Oratorium. Struktura *Towarzystwa* była nader prosta: wspólna kasa, niewielkie indywidualne składki, dowolna wysokość ofiar na rzecz bezrobotnych lub chorych robotników, którym wypłacano zasiłek w wysokości pięćdziesięciu centymów na tydzień. Towarzystwo istniało przez osiem lat. W Genui pierwsze *Towarzystwo* wzajemnej pomocy założył, wśród katolickich robotników w 1854 roku, Józef Canale, genueńczyk, wychowanek Oratorium ks. Bosko.

[59] Konferencje św. Wincentego, zainicjowane w Turynie w r. 1850, tworzyli dorośli. Na wyraźną prośbę ks. Bosko w 1856 roku uznano również konferencję złożoną z najstarszych wychowanków Oratorium, którą określano jako *afiliowaną.*

belki wspierające go, przybito listwy, obok leżały przygotowane dachówki, kiedy trzeba było przerwać pracę z powodu gwałtownej ulewy. Lało przez kilka dni i nocy pod rząd i woda spłukała całą świeżą zaprawę, odsłaniając gołe ściany z cegieł i kamieni.

Każdy ucieka, ale nie wie dokąd

Było około północy i wszyscy spaliśmy, kiedy rozległ się gwałtowny hałas, wzmagający się z każdą chwilą. Wszyscy się obudzili i, nie wiedząc, co się dzieje, przerażeni, owinięci w koce i prześcieradła, wybiegli z sypialni. W tym zamieszaniu każdy uciekał, nie wiedząc dokąd, ogarnięty jedynie pragnieniem oddalenia się od tego niebezpiecznego miejsca. Rozgardiasz i hałas narastał, a wreszcie całe belkowanie dachu, dachówki i ściany zwaliły się w gruzy.

Nowa budowla opierała się o mały i stary dom, więc istniało niebezpieczeństwo, że walące się gruzy pogrzebią wszystkich. Ale do żadnego wypadku nie doszło, nie licząc strasznego łoskotu, który tak nas przeraził.

Rano przybyła komisja inżynierów, przysłana przez Radę Miejską na wizję lokalną. Kawaler Gabetti, widząc wysoki słup, wyrwany z podstawy i zwisający nad sypialnią, krzyknął:

– Podziękujcie Najświętszej Maryi Pannie Pocieszenia. Ten słup tylko cudem się trzyma. Gdyby runął, przywaliłby pod gruzami ks. Bosko i trzydziestu chłopców, którzy spali w sypialni piętro niżej.

Prace obciążały przedsiębiorstwo budowlane, i najwięcej stracił na tym mistrz. Nasze szkody oszacowano na dziesięć tysięcy. Zdarzyło się to 2 grudnia 1852 roku.

Wśród tylu smutnych wypadków, które towarzyszą życiu ludzkiemu, zawsze jednak ręka Boga zmniejsza nasze nieszczęścia. Gdyby ściany zawaliły się o dwie godziny wcześniej, pogrzebałyby uczniów ze szkoły wieczorowej, w której lekcje kończyły się o dziesiątej i chłopcy, po wyjściu, bawili się zwykle jeszcze przez ponad pół godziny pod sklepieniem wznoszonego budynku. Było ich ponad trzystu. Nieszczęście zdarzyło się, gdy już sobie poszli.

Co teraz robić?

Była już zbyt późna jesień, by kończyć lub od początku zacząć prace. Jak rozwiązać sytuację? Jak pomieścić tylu chłopców w małym i na wpół rozwalonym domu?

Z potrzeby uczyniliśmy cnotę. Wzmocniliśmy mury starej kaplicy – szopy i przekształciliśmy ją w sypialnię. Lekcje przenieśliśmy do nowego kościoła, który zaczął w związku z tym funkcjonować jako kościół w dni świąteczne i jako szkoła w ciągu tygodnia.

W tym samym roku wzniesiono dzwonnicę stojącą obok kościoła św. Franciszka Salezego. Pan Michał Scannagatti, nasz dobroczyńca, podarował nam wszystkie lichtarze na główny ołtarz, które po dziś są jedną z najpiękniejszych ozdób kościoła.

19. Rok 1853. Rodzą się „Lektury Katolickie”[60]

Sześćdziesięciu pięciu chłopców i wielu dobroczyńców

Gdy tylko pogoda na to pozwoliła, znów ruszyły prace przy budowie, a że szybko posuwały się do przodu, w październiku budynek był już gotowy. Nowe pomieszczenia były nam tak pilnie potrzebne, że w mig je zajęliśmy. Ja jako pierwszy zająłem sobie pokój, który dzięki Bogu zajmuję do dziś. Mogliśmy również wyznaczyć ostateczne i odpowiednie pomieszczenie na refektarz, sypialnię, szkołę. Podnieśliśmy liczbę chłopców do sześćdziesięciu pięciu.

Nadal pomagało nam wielu dobroczyńców. Kawaler Józef Dupre kazał ozdobić ołtarz i pokryć sztukaterią ściany Kaplicy św. Alojzego oraz

[60] W ostatniej części rękopisu ks. Bosko nie numeruje już rozdziałów, opatruje je tylko niekiedy tytułami. Uznałem za stosowne kontynuowanie numeracji.

dostarczył do tej samej kaplicy marmurową balustradę. Markiz Dominik Frassati podarował nam lichtarze z pozłacanego brązu i małą balustradę do ołtarza Najświętszej Maryi Panny. Hrabia Cays, nasz wspaniały dobroczyńca, wybrany po raz drugi na honorowego przełożonego *Towarzystwa św. Alojzego,* uregulował za nas stary, wynoszący tysiąc dwieście lirów dług u piekarza, który groził, że przestanie nam dostarczać chleb, oraz kupił dzwon dla naszej dzwonnicy. Ten dzwon stał się okazją do małej uroczystości. Ks. Gattino, nasz proboszcz, przyszedł go pobłogosławić i wygłosił również krótkie kazanie do przybyłych z miasta ludzi. Po nabożeństwie przedstawiono komedię, która wprawiła wszystkich w dobry humor. Wspomniany poprzednio hrabia Cays podarował nam w tym samym roku baldachim *(na procesje z Najświętszym Sakramentem)* wraz z innymi cennymi sprzętami do kościoła.

Czas na spotkanie z Bogiem

Nareszcie więc kościół św. Franciszka Salezego miał najpotrzebniejsze rzeczy do odprawiania nabożeństw. Dzięki temu mogliśmy zrealizować pragnienie, które od dawna nosiliśmy w sercu: przeprowadzić 40-godzinne nabożeństwo *(uroczyste wystawienie Najśw. Sakramentu na 48 godzin, któremu towarzyszy czytanie Słowa Bożego, kazania, adoracja).* Nie było co prawda wielkich dekoracji, ale wierni wspaniale dopisali. By dać wszystkim możliwość spotkania się z Bogiem, po czterdziestówce zorganizowaliśmy tydzień kazań i spowiedzi. Ludzi, którzy w tym czasie przyszli się wyspowiadać, było naprawdę mnóstwo. Zachęceni duchowym sukcesem tej inicjatywy, również w latach następnych kontynuowaliśmy organizowanie Czterdziestogodzinnego nabożeństwa oraz dni kazań i spowiedzi. Zawsze uczestniczyło w nich bardzo dużo ludzi.

Żydzi i protestanci zaczynają propagandę

W marcu tego samego roku zaczęliśmy comiesięczną publikację *Lektur katolickich.* W 1847 roku, gdy ogłoszono równouprawnienie Żydów i protestantów, stało się koniecznością dostarczenie ludziom, a zwłaszcza młodzieży, jakiegoś duchowego środka obrony. Wydawało się, że dzięki równouprawnieniu, Żydzi i protestanci otrzymali od rządu tylko swobodę wyznania, a nie prawo szkodzenia religii katolickiej. Ale protestanci byli innego zdania. W ramach kampanii propagującej ich wiarę zaczęli wydawać trzy dzienniki *(Dobrą Nowinę, Światło Ewangeliczne* i *Notariusza Piemonckiego)* oraz wiele książek o Biblii i na inne tematy. Stosowali również wiele konkretnych a chwytliwych środków: organizowali miejsca pracy, pomoc finansową, ofiarowali ubrania i żywność dla tych, co uczęszczali do ich szkoły, na ich wykłady i do ich świątyń.

Rząd wiedział o tym, ale nie interweniował, a jego milczenie chroniło protestantów. Protestanci poza tym dysponowali pokaźnymi środkami finansowymi i byli przygotowani do masowej kampanii propagandowej. Katolicy natomiast, pokładając ufność w prawach obywatelskich, które ich do tej pory chroniły i broniły, mieli tylko parę gazet i niektóre dzieła kulturalne. Żadnego czasopisma, żadnej książki przeznaczonej dla prostego człowieka.

Ks. Bosko zaczyna swą batalię

Pchnięty koniecznością, zacząłem w tych miesiącach pisać parę schematycznych stron o Kościele katolickim, a potem ulotki zatytułowane *Pamiątki dla Katolików.* Rozdawałem je młodzieży i dorosłym, zwłaszcza podczas dni skupienia i misji ludowych. Te książeczki i ulotki pochłaniano chciwie i wkrótce zaczęły się rozchodzić tysiącami.

Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że należy znaleźć jakiś popularny środek, który by rozpowszechnił w dostępnej formie podstawowe prawdy religii katolickiej. Oddałem zatem do druku książeczkę zatytułowaną *Ostrzeżenie dla Katolików*[61], która miała na celu uchronienie katolików przed protestanckimi pułapkami. Książeczka rozchodziła się błyskawicznie: w ciągu dwóch lat ponad dwieście tysięcy egzemplarzy. Jej sukces sprawił przyjemność dobrym, ale napełnił wściekłością protestantów, którzy myśleli, że nie mają konkurencji w propagandzie religijnej.

[61] Była to trzydziestodwustronicowa książeczka, która rozwijała sześć punktów: 1. Ogólna idea religii. 2. Tylko jedna jest prawdziwa religia. 3. Kościoły heretyckie nie mają charakteru boskiego. 4. W kościołach heretyckich nie ma Kościoła Jezusa Chrystusa. 5. Odpowiedź dla protestantów, gdy mówią, że wierzą w Chrystusa i Ewangelię, a więc są prawdziwym Kościołem. 6. Protestanci przyznają, że katolicy są w prawdziwym Kościele.

„Nie postawię pod tym swojego podpisu”

Byłem coraz bardziej przeświadczony o pilnej potrzebie przygotowania i publikacji książek dla ludu i opracowałem projekt *Lektur Katolickich*[62]. Po przygotowaniu pierwszych zeszytów, chciałem je natychmiast opublikować, ale wynikła trudność, o której nie myślałem i której nie przewidywałem. Żaden biskup nie chciał trzymać do chrztu tej inicjatywy. Biskupi z Vercelli, Bielli, i Casale odmówili, twierdząc, że jest rzeczą niebezpieczną występowanie w otwartym polu przeciw protestantom. Arcybiskup Mons. Fransoni, przebywający w tym czasie w Lyonie, aprobował i popierał inicjatywę, ale nikt nie chciał się podpisać pod nią jako „cenzor ze strony Kościoła”. Na żądanie Arcybiskupa tylko kanonik Józef Zappata, Wikariusz generalny, przeczytał i poprawił połowę pierwszego zeszytu. Potem zwrócił mi rękopis ze słowami.

– Niech ksiądz zabierze z powrotem swoją pracę. Nie czuję się na siłach postawić pod tym swojego podpisu. Zamordowanie Ximenesa i Palmy są zbyt świeże. (Opat Ximenes, redaktor katolickiego dziennika Sztandar, został zamordowany. Również piszącego do tej gazety mons. Palma zabito ze strzelby w pokojach Quirinale – pałacu Papieża. Obydwu zbrodni dokonano w 1848 roku). Ksiądz wyzywa wrogów, atakuje ich frontalnie.

W porozumieniu z Wikariuszem generalnym przedstawiłem całą sprawę Arcybiskupowi. W odpowiedzi dostałem list, który miałem zawieźć mons. Moreno, biskupowi Ivrei. Arcybiskup prosił w nim biskupa, by wziął pod opiekę *Lektury Katolickie,* został ich cenzorem i by stanął na ich czele. Mons. Moreno chętnie się zgodził. Oddelegował adwokata Pinoli, swego Wikariusza generalnego, do wydania Imprimatur, ale publicznie się pod *Lekturami* nie podpisał.

Wspólnie opracowaliśmy program i 1 marca 1853 roku wyszedł pierwszy zeszyt *Katolika dobrze zorientowanego w swojej religii*[63].

[62] Ostateczny program tej serii wydawniczej został potem opracowany wspólnie z mons. Moreno. Zawierał dwa zasadnicze punkty: 1. Styl książki ma być prosty i pisany ludowym językiem, a treścią jej tematy związane wyłącznie z religią katolicką. 2. Co miesiąc będzie się ukazywała broszura licząca sto do stu ośmiu stron. Roczny abonament będzie wynosił, 1,80 lira.

[63] Od marca do sierpnia wyszło sześć kolejnych zeszytów, które zaraz potem ks. Bosko wydał w jednym czterysta pięćdziesiąt dwustronicowym tomie. Był to popularny traktat o prawdziwej religii.

20. Rok 1854. Bezpośrednia konfrontacja z protestantami

„Kolejno przychodzili na Valdocco, by ze mną dyskutować”

Lektury Katolickie zyskały olbrzymią popularność i zdobyły szerokie kręgi czytelników, ale rozzłościło to protestantów. Próbowali zwalczać je, wydając *Lektury Ewangeliczne,* ale nie miały one czytelników. Wtedy przeszli do wszelkiego rodzaju aktów na biednego ks. Bosko. Kolejno przychodzili na Valdocco, by ze mną dyskutować, przekonani, że nikt nie oprze się ich argumentacji. Ich zdaniem katoliccy księża byli łatwowierni i dwoma słowami można swobodnie ich było zapędzić w kozi róg.

Czasami przychodzili pojedynczo, czasami parami lub w grupkach. Ja zawsze ich wysłuchiwałem, a ponieważ nie potrafili udzielić odpowiedzi na moje kłopotliwe pytania, odsyłałem ich do ich ministrów po odpowiedź.

Przychodzili Amedeusz Bert, Meille, ewangelista Pugno i wielu innych. Próbowali nakłonić mnie do milczenia i do wstrzymania publikacji naszych książeczek, ale nic nie wskórali. To podsyciło tylko ich złość. Sądzę, że powinienem przytoczyć tu parę faktów.

„Niech ksiądz zostawi „Lektury Katolickie”

Którejś majowej niedzieli wieczorem zaanonsowano mi dwóch panów, którzy chcieli ze mną rozmawiać. Weszli i długo prawili mi różne komplementy. Potem jeden zaczął mówić:

– Pan, panie teologu, otrzymał od natury wielki dar: dar mówienia w sposób dostępny i zrozumiały dla ludu. Powinien pan wykorzystać ten cenny dar na rzeczy pożyteczne dla ludzkości i oddać się w służbę nauce, sztuce i handlowi.

– Cały mój czas pochłaniają Lektury Katolickie, którym chcę poświęcić wszystkie moje siły.

– Byłoby znacznie lepiej, gdyby napisał pan jakąś dobrą książkę dla młodzieży: podręcznik historii starożytnej, traktat z geografii, fizyki czy geometrii.

– A dlaczego, zdaniem panów, nie powinienem zajmować się Lekturami Katolickimi.

– Bo to oklepane tematy.

– Faktycznie, były już omawiane w rozprawach naukowych, ale nigdy dotąd w formie popularyzatorskiej. I właśnie to mają na celu Lektury Katolickie.

– Ale to nie przynosi panu żadnych korzyści materialnych. Gdyby natomiast pan zabrał się do pisania takich książek, jak to sugerowaliśmy, zyskałby pokaźną sumę, którą można by wykorzystać na rzecz tego wspaniałego instytutu, jaki Opatrzność panu powierzyła. Możemy nawet już teraz dać niezły zadatek (i podali mi cztery tysiąclirowe banknoty). I zapewniamy, że nie będzie to ostatni dar z naszej strony. Przyniesiemy więcej.

– Dlaczego panowie chcą dać mi tyle pieniędzy?

– By zachęcić pana do pisania dzieł, jakie zasugerowaliśmy i by wesprzeć pana wspaniałe Oratorium.

– Wybaczcie mi, panowie, jeśli nie przyjmę waszych pieniędzy. Nie będę pisał żadnej innej książki i nadal będę pracował nad Lekturami Katolickimi.

– Ależ to bezużyteczna praca.

– Jeśli naprawdę jest bezużyteczna, to po co się tak martwić? Po co wydawać tyle pieniędzy, by skłonić mnie do zaprzestania jej?

„Czy wychodząc z domu jest pan pewien, że wróci?”

– Niech się pan dobrze zastanowi nad tym, co pan robi. Odmawiając, szkodzi pan swemu dziełu i naraża się na konsekwencje i niebezpieczeństwa...

– Doskonale rozumiem, panowie, co mi chcecie powiedzieć.

– Ale powtarzam jasno i wyraźnie, że kiedy jestem po słusznej stronie nie boję się nikogo. Zostając księdzem, poświęciłem się sprawie Kościoła i biednych ludzi, i dalej zamierzam działać w tym samym kierunku m.in. pisząc i publikując Lektury Katolickie.

– Źle pan robi – powiedzieli z pogróżką w głosie i wstali. –Źle pan robi, obrażając nas. Czy wychodząc z domu, jest pan pewien, że wróci?

– Nie znacie, panowie, katolickich księży. Póki żyją, pracują, by spełniać swój obowiązek. Gdyby z tego powodu mieli umrzeć, byłoby to dla nich największym szczęściem i najwyższą chwałą.

W tym momencie byli już tak rozeźleni, iż zacząłem się obawiać, że przejdą do rękoczynów. Wstałem więc, postawiłem krzesło między nimi a sobą i dodałem:

– Gdybym chciał użyć siły, nie obawiałbym się żadnego z was. Ale siłą księży jest cierpliwość i wybaczenie. Proszę stąd iść.

Otworzyłem drzwi pokoju:

– Buzzetti – powiedziałem – odprowadź tych panów do furt ki, bo mogą nie trafić.

Byli zmieszani. Wymamrotali:

– Zobaczymy się jeszcze w odpowiedniejszej chwili.

Wyszli czerwoni ze złości. Parę gazet podało ten fakt do wiadomości, a *Harmonia* obszernie go opisała.

21. Głupi spiskowcy „Pod Złotym Sercem”

Zatrute wino

Wydawało się zupełnie, jakby istniał przeciw mnie jakiś spisek uknuty przez protestantów lub przez masonerię. Opowiem pokrótce inne zdarzenia.

Któregoś wieczoru, podczas lekcji, przyszło dwóch mężczyzn z pilnym wezwaniem do mnie: w winiarni *Pod Złotym Sercem* był umierający. Udałem się tam natychmiast, ale poprosiłem kilku starszych chłopców, by poszli ze mną.

– Nie warto trudzić wychowanków księdza – odpowiedzieli mi mężczyźni. – My księdza zaprowadzimy do chorego, a potem odprowadzimy

do domu, a chory prawdopodobnie nie byłby zadowolony z obecności obcych.

– Nie martwcie się o to – odrzekłem. – Przejdą się przy okazji i zostaną na schodach, podczas gdy ja będą spowiadał chorego.

Gdy doszliśmy do domu, w którym była winiarnia, powiedzieli mi:

– Niech ksiądz wejdzie na chwilę i odpocznie, a my tymczasem uprzedzimy chorego o przybyciu księdza.

Zaprowadzili mnie do sali na parterze, gdzie spora kompania, już po kolacji, jadła kasztany. Przyjęli mnie gestami i słowami podziwu i zaprosili na kasztany. Odmówiłem, mówiąc, że jestem dopiero co po kolacji.

– No to niech ksiądz wypije przynajmniej z nami kieliszek wina – nalegali. – Spodoba się księdzu, jest z rejonu Asti.

– Dziękuję, ale nie mogę. Nigdy nie piję poza posiłkami, bo to mi szkodzi.

– Łyczek jeszcze nikomu nie zaszkodził.

„Musi ksiądz wypić, po dobroci lub siłą”

Nalewali wszystkim, ale gdy przyszła kolej na mnie, jeden poszedł po inną butelkę. Było oczywiste, że coś knują, ale wziąłem kieliszek, powiedziałem: na zdrowie, po czym, zamiast wypić, odstawiłem go na stół.

– Niech ksiądz tego nie robi, będzie nam przykro, – rzekł jeden.

– To zniewaga – dodał inny. – Nie może ksiądz odmówić.

– Ale ja nie mam ochoty pić.

– Musi ksiądz wypić za wszelką cenę.

– I to powiedziawszy, chwycił mnie za lewą rękę, a drugi za prawą.

– Nie możemy tolerować takiej zniewagi. Musi ksiądz wypić, po dobroci lub siłą.

– Jeżeli tak koniecznie chcecie, żebym wypił, puśćcie mi przynajmniej ręce. A ponieważ nie mogę pić, dam to wino jednemu z chłopców, który wypije zamiast mnie.

Mówiąc te słowa, dałem porządnego susa w stronę drzwi, otworzyłem je i poprosiłem moich chłopców do środka.

– Nie trzeba. Pójdziemy uprzedzić chorego. Ale niech ksiądz powie tym młodzieńcom, żeby zaczekali na schodach.

Oczywiście nie dałbym tego kieliszka żadnemu z chłopców, ale odegrałem całą komedię, żeby nie dać w siebie wmusić tego zatrutego wina.

Zaprowadzono mnie potem na piętro, gdzie zobaczyłem leżącego w łóżku nie chorego, a tego samego łotra, który po mnie przyszedł. Wysłuchawszy moich pytań, wybuchnął głośnym śmiechem i powiedział:

– Wyspowiadam się jutro rano. Wróciliśmy do domu.

Pewna znajoma osoba przeprowadziła małe śledztwo w tej sprawie i powiedziała mi, że ci ludzie mieli dostać od jakiegoś człowieka dobrą kolację, o ile zmuszą mnie do wypicia wina, jakie dla mnie przygotował.

22. „Chcieli mnie zabić”

Sto sześćdziesiąt lirów za zabicie ks. Bosko

Zamachy, o których opowiem, wydają się bajkami, ale niestety są smutną prawdą, na co mam zresztą wielu świadków. Oto jeszcze jedna i dziwniejsza opowieść.

Pewnego sierpniowego wieczoru, o szóstej po południu, stałem przy furtce Oratorium w otoczeniu chłopców, gdy usłyszeliśmy krzyk:

– Morderca! Morderca!

Człowiek, którego doskonale znałem i któremu wyświadczyłem wiele dobrego, biegł w moim kierunku, bez marynarki, potrząsając długim nożem. Krzyczał:

– Chcę księdza Bosko! Chcę księdza Bosko!

Wszyscy rzucili się do ucieczki. W zamieszaniu napastnik pomylił się i pobiegł za klerykiem, który tak samo jak ja nosił czarną sutannę. Gdy spostrzegł swój błąd, odwrócił się wściekły, szukając mnie, ja jednak miałem już czas uciec po schodach domu Pinardiego. Ledwie zdążyłem zatrzasnąć furtkę, która służyła za drzwi, gdy dobiegł do niej. Zaczął walić w pręty i gryźć je, krzycząc cały czas jak oszalały. Wszystko na próżno: ja już byłem w bezpiecznym miejscu. Moi chłopcy chcieli rzucić się razem na nieszczęśnika i

rozszarpać go, ale zawołałem, żeby go zostawili w spokoju i usłuchali mnie. Posłałem paru, by zawiadomili siły bezpieczeństwa, kwesturę i policję, ale nikt nie przyszedł. Dopiero o 21.30 zjawili się wreszcie dwaj policjanci, którzy złapali łobuza i zaprowadzili do kwestury.

Następnego dnia, kwestor przysłał policjanta z zapytaniem, czy wybaczam temu nieszczęśnikowi. Odpowiedziałem, że wybaczam jak zawsze, ale też w imieniu prawa, proszę władzę o lepszą ochronę obywateli i ich mieszkań. Wyda się niewiarygodne, ale następnego dnia o tej samej godzinie, ten łotr znów na mnie czekał niedaleko domu.

Pewien mój przyjaciel, widząc, że władza nie ma zamiaru mnie bronić, poszedł porozmawiać z nieszczęśnikiem i usłyszał:

– Zapłacono mi. Dajcie mi tyle samo, ile dają ci, co mi to zlecili, a zostawię księdza Bosko w spokoju.

Otrzymał osiemdziesiąt lirów zaległego czynszu i drugie tyle na następny miesiąc i ta żałosna komedia skończyła się. Wkrótce jednak zaczęła się następna, o której teraz opowiem.

Grad ciosów w ciemności

W około miesiąc później, w pewien niedzielny wieczór, wezwano mnie pilnie do domu Sardiego, niedaleko Schroniska. Trzeba było wyspowiadać umierającą chorą. Mając się na baczności po poprzednich historiach, poprosiłem kilku najstarszych chłopców, by mi towarzyszyli. Człowiek, który po mnie przyszedł, mówił co prawda:–

– Nie trzeba, my księdza odprowadzimy. Niech się chłopcy lepiej pobawią.

Ale te słowa tylko jeszcze bardziej mnie zaniepokoiły. Paru chłopców zostawiłem u podnóża schodów, zaś Józef Buzzetti i Jacek Arnaud poszli ze mną na piętro i zatrzymali się na podeście, o parę kroków od pokoju, w którym leżała chora.

Wszedłem i zobaczyłem ciężko dyszącą, jakby mającą zaraz wydać ostatnie tchnienie, kobietę. Poprosiłem obecnych w pokoju czterech mężczyzn o opuszczenie go, bym mógł rozpocząć spowiedź.

– Zanim się wyspowiadam – wrzasnęła stara – chcę, żeby ten łotr przeprosił mnie za oszczerstwa, jakie o mnie rozpowiadał.

– Nie! – odpowiedział jeden z obecnych.

– Cisza! – wykrzyknął inny, wstając. Inni też się podnieśli i zaczęła się gwałtowna kłótnia..

– Tak... nie... poderżnę ci gardło... uduszę cię – słychać było dokoła oraz zmieszane z tymi słowami straszne przekleństwa i złorzeczenia. Wśród tego potoku diabelskich słów zgasło światło. Hałas nie ustał, a na mą głowę posypał się grad ciosów kijem. W mig pojąłem pułapkę: chcieli mnie zabić. Nie miałem czasu na myślenie ani na zastanowienie się. Chwyciłem krzesło, zasłoniłem nim głowę przed ciosami i rzuciłem się w stronę drzwi. Uderzenia kijów bębniły o krzesło.

Wyszedłem z tego diabelskiego domu, rzuciłem się między moich chłopców, którzy zaniepokojeni hałasami i wrzaskami próbowali właśnie wyważyć drzwi. Nie odniosłem poważnych obrażeń, tylko jeden cios trafił mnie w kciuk lewej ręki, którą ściskałem oparcie krzesła i oderwał mi paznokieć z kawałkiem ciała. Do dziś mam jeszcze po tym bliznę, ale najgorsze było przerażenie.

Nigdy nie dowiedziałem się, jaka była prawdziwa przyczyna tych zamachów, ale myślę, że miały one na celu to, bym – jak to oni mówili – przestał obrzucać oszczerstwami protestantów.

23. Szarik

„Gdy zobaczyłem obok dużego psa”

Pies Szarik stał się przedmiotem wielu dyskusji i różnych przypuszczeń. Niemało spośród was go widziało, i głaskało[64]. Zostawiając na boku dziwne historie opowiadane o tym psie, przedstawię to, co jest samą prawdą.

[64] Te ostatnie strony napisał ks. Bosko po 1875 roku. Niektórzy z wychowanków Oratorium, którzy widzieli i głaskali Szarika, zostali Salezjanami, jak Michał Rua i Józef Buzzetti.

Częste, brzydkie kawały, których stałem się obiektem, przemawiały za tym, bym raczej nie chodził sam do Turynu. W tych czasach szpital psychiatryczny był ostatnim budynkiem miejskim i, idąc stamtąd w stronę Oratorium, trzeba było przejść duży odcinek drogi przez porośnięte zaroślami i akacjami pustkowie.

Pewnego późnego wieczoru, już po zmroku, wracałem samiuteńki do domu, trochę z duszą na ramieniu, gdy zobaczyłem obok dużego psa, którego widok w pierwszej chwili mnie przestraszył. Nie warczał jednak na mnie, a nawet okazywał mi radość, jakbym był jego panem. Zawarliśmy przyjaźń i psisko odprowadziło mnie aż do Oratorium. To samo powtórzyło się jeszcze wielokrotnie. Mogę stwierdzić, że Szarik pomógł mi wiele razy w nadzwyczajny sposób. Przedstawię kilka faktów.

Pod koniec listopada 1854 roku, w mglisty i deszczowy wieczór, wracałem sam z miasta. By nie iść przez pustkowie, wybrałem drogę, która prowadzi od Sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia do Cottolengo. W pewnej chwili zauważyłem, że w niewielkiej odległości za mną idzie dwóch mężczyzn. Przyspieszali lub zwalniali kroku za każdym razem, gdy zaczynałem iść szybciej lub wolniej. Spróbowałem przejść na drugą stronę, by uniknąć spotkania z nimi, ale szybko wyprzedzili mnie. Chciałem wrócić, ale było za późno: doskoczyli do mnie w dwóch susach i w ciszy zarzucili mi na głowę płaszcz. Próbowałem się z niego wyplątać, ale na próżno. Jeden z mężczyzn usiłował mi zatkać usta chusteczką. Chciałem krzyczeć, ale nie mogłem. I w tym momencie pojawił się Szarik. Ujadając wściekle, rzucił się z pazurami na twarz jednego, a potem drugiego chwycił zębami. Teraz napastnicy musieli zająć się psem.

– Niech pan zawoła tego psa! – zawołali drżąc.
– Zawołam, jeśli zostawicie mnie w spokoju.
– Niech pan go natychmiast zawoła! – błagali.

Szarik dalej ujadał jak wściekły wilk. Mężczyźni umknęli chyłkiem, a Szarik, idąc cały czas przy nodze, odprowadził mnie aż do Cottolengo. Otrząsnąłem się ze strachu i z przyjemnością wypiłem napój, którym mnisi z Cottolengo mnie miłosiernie poczęstowali. Po czym, już z eskortą, wróciłem do domu.

„Nie róbcie mu krzywdy. To pies ks. Bosko”

Co wieczór, gdy wracałem sam, ledwie wchodziłem między drzewa, wtedy niespodziewanie zjawiał się Szarik. Któregoś wieczoru wszedł za mną na podwórko i stał się bohaterem długiej sceny. Ktoś chciał odpędzić go kijem, inni obrzucić kamieniami, ale Józef Buzzetti zawołał:

– Nie róbcie mu krzywdy. To pies ks. Bosko.

Wtedy zaczęli go głaskać i bawić się z nim, a potem zaprowadzili do mnie. Byłem w refektarzu i jadłem kolację z paroma księżmi i matką. Wszyscy spojrzeli na niego i osłupieli.

– Nie obawiajcie się, to mój Szarik. Wpuśćcie go!

Pies obszedłszy naokoło stół, przyszedł do mnie, machając ogonem. Pogłaskałem go i dałem mu zupy i chleba, ale nie chciał jeść.

– To czego chcesz? – wyszeptałem. Poruszał uszami i pomachał ogonem.

– Jeśli nie chcesz jeść, to odejdź w pokoju – powiedziałem.

Szarik, wciąż radosny, oparł łeb na obrusie, jakby chciał mi coś powiedzieć i życzyć mi dobrej nocy, potem pozwolił się wyprowadzić chłopcom, zaskoczonym i ucieszonym. Tego wieczoru przywiózł mnie do domu powozem pewien przyjaciel.

Szarika już nie było

Ostatni raz widziałem Szarika w 1866 roku, po drodze z Morialdo do Moncucco, do domu przyjaciela, Alojzego Moglia. Proboszcz z Buttigliery odprowadził mnie kawałek i tak noc zaskoczyła mnie w połowie drogi.

– Gdyby był tu ze mną Szarik – powiedziałem w duchu – było by mi znacznie raźniej.

Zaraz potem wdrapałem się na stromo położoną łąkę, by nacieszyć oczy ostatnimi połyskami światła. W tej chwili Szarik wybiegł mi radośnie naprzeciw i odprowadził mnie przez resztę drogi, tj. trzy kilometry.

Gdy dotarłem do domu Moglii, gdzie mnie już oczekiwano, gospodarze, ujrzawszy psa, poprosili mnie, bym przeszedł z tyłu domu, żeby Szarik nie pogryzł się z dwoma psami, znajdującymi się na podwórzu.

– Rozszarpałyby się nawzajem – powiedział Alojzy Moglia.

Długo rozmawialiśmy z całą rodziną, potem poszliśmy na kolację, zostawiając Szarika w kącie. Gdy skończyliśmy jeść, Alojzy rzekł:

– Trzeba coś zanieść do jedzenia Szarikowi.

Wzięliśmy trochę jedzenia i zanieśliśmy psu. Szukaliśmy go w każdym kącie, ale zniknął. Wszyscy bardzo się zdziwili, bo drzwi i okna były zamknięte, a i podwórzowe psy nie dały znaku, że poczuły, jak wychodził. Szukaliśmy także w pokojach na piętrze, ale nikt go nie znalazł.

Było to ostatnie spotkanie z Szarikiem, psem, który stał się przedmiotem tylu dociekań i dyskusji. Nigdy nie dowiedziałem się, kto był jego panem. Wiem tylko, że w wielu niebezpieczeństwach ten pies był dla mnie opatrznościową opieką[65].

[65] Myśl o tym, by wyjaśnić, skąd się wziął ten pies, kilkakrotnie nawiedzała ks. Bosko, ale nie dowiedział się niczego. W1872 r. baronowa Azelia Fassati zapytała go, co myśli o tym psie, a ks. Bosko odpowiedział z uśmiechem: „ Gdybym powiedział, że to anioł, wzbudziłoby to śmiech. Ale nie mogę też powiedzieć, by był to zwykły pies".

„Wspomnienia Oratorium"

(fragmenty z opracowania Franciszka Desramaut)

W roku akademickim 1961/62 historyk salezjański Franciszek Desramaut opublikował swą pracę doktorską I tomu nt. „Wspomnień Biograficznych" ks. Bosko. Poświęcił w niej dwadzieścia stronic (115–134) analizie „Wspomnień Oratorium". Moim zdaniem jest to do dziś najlepsze studium tej książki ks. Bosko. Poniżej przytaczam w moim tłumaczeniu pierwszą jego część (str. 115–124) i ostatnią stronę, opuszczając przebogate przypisy oraz długą i drobiazgową analizę chronologii.

Rękopis „Wspomnień Oratorium"

Wspomnienia Oratorium (...) opublikował w 1946 roku ks. Ceria. Aż do tego dnia, zgodnie z wolą ks. Bosko, który zastrzegł, że jego pisma przeznaczone są tylko dla Salezjanów i zakazał im „publikowania ich zarówno przed jak i po mojej śmierci", spoczywały one w Archiwum na Valdocco.

Do dziś można się zapoznać z dwiema ich postaciami: pierwszą, spisaną w całości ręką ks. Bosko (trzy grube zeszyty formatu 295 na 204 mm, liczące w sumie 180 stron) i drugą, stanowiącą kopię poprzedniej, sporządzonej przez jego sekretarza, ks. Berto (sześć zeszytów w wymiarach 295 na 204 mm). Ta druga seria zeszytów została na pewno sprawdzona i opatrzona przypisami przez ks. Bosko aż do 143 strony (początek XII rozdziału trzeciego dziesięciolecia, któremu ks. Bosko nadał tytuł *Święta narodowe).*

Data redakcji

Można ustalić przybliżoną datę powstania oryginału i kopii *Wspomnień* (…). *Analiza manuskryptu* pozwala stwierdzić bez ryzyka popełnienia większego błędu, że rękopis *Wspomnień* został napisany w

latach 1873–75 od str. 29 (*pierwsze spotkanie z Comollo)* do str. 158 *(budowa kościoła św. Franciszka Salezego (...)*. Końcowe dwadzieścia dwie strony rękopisu zredagował ks. Bosko w 1882 roku, kiedy to ks. Bonetti zużytkował je przede wszystkim do *Dziejów Oratorium*.

Kopię *(jak wynika z przypisu na ostatniej stronie)* ukończono przed 1913 rokiem, ale większą jej część sporządzono ok. 35 lat wcześniej. „Jeśli chodzi o sprawdzenie kopii, to biorąc pod uwagę dwukrotną wzmiankę o roku 1878, jest oczywiste, że ks. Bosko nie zajął się nią przed tym rokiem; nic dokładniejszego na ten temat nie da się powiedzieć" *(Wstęp,* str. 6) (...).

Powstanie zeszytów

Sam ks. Bosko wyjaśnia nam we *Wstępie,* skąd wziął się pomysł napisania *Wspomnień*. Uzupełniające wiadomości podaje ks. Lemoyne. W 1858 roku Pius IX zasugerował ks. Bosko, by spisał niezwykłe początki swego dzieła. Świątobliwy człowiek wahał się jednak przez skromność. W 1867 roku, po rozmowie przytoczonej z ks. Lemoyne w VIII tomie *Wspomnień Biograficznych,* papież powrócił do tej propozycji, zapewniając rozmówcę, że on sam „nie może w pełni pojąć" olbrzymiego dobra, płynącego stąd dla jego synów, i kazał mu zabrać się do dzieła: „A więc, skoro tak się sprawa przedstawia, nie tylko księdzu to radzę, ale nakazuję. Niech ksiądz odłoży wszystko, jeśli inaczej nie można, ale pisze. Ksiądz nie może nawet pojąć olbrzymiego dobra, jakie będzie płynąć z tego dla jego synów, gdy dowiedzą się o pewnych rzeczach *(Wspomnienia* VIII, str. 587).

Duża część rękopisu, w której założyciel opowiada swe wspomnienia, powstała w latach 1873–75, a więc wtedy, gdy starał się uzyskać w Rzymie ostateczną aprobatę dla swego dzieła; gdy wreszcie, 3 IV 1874 roku, po wielu wersjach Konstytucji odrzuconych przez Stolicę Apostolską, aprobata ta nadeszła; gdy przygotowywał pierwszą wyprawę misyjną do Ameryki Południowej (która wyruszyła 11 listopada 1875); gdy zakładał w Nicei pierwszy poza Włochami dom salezjański (listopad 1875) i układał nowe projekty regulaminu przyszłego Pobożnego Związku Pomocników, uznanego w 1876 r. Mądrość nakazywała księdzu Bosko wzmacniać na wszelkie sposoby dzieło, które tak szybko, może nawet za szybko, się rozrastało. Spisywane w tej sytuacji *Wspomnienia* mogły tylko stanowić część czy jeden aspekt zasadniczej kwestii i w tym świetle należy je rozpatrywać. Jak się wydaje w latach 1875–76 ks. Bosko nie podjął dalszej pracy nad nimi.

Powrócił do nich co prawda niedługo potem, ale z innych już powodów, które zmieniły ton narracji. Założony w międzyczasie *Biuletyn Salezjański* potrzebował artykułów. Kierujący nim Jan Bonetti poszukiwał materiałów. Nie możemy stwierdzić, kto mu zasugerował spisanie malowniczej historii Dzieła Salezjańskiego w Turynie, w każdym bądź razie, zaczął ją w 1878, a może nawet 1877 roku. I ks. Bosko, idealny świadek tych wypadków, obiecał mu dostarczyć swoje wspomnienia. Ale trzeba je było odczytać i ks. Berto *(naszym zdaniem tak właśnie można wytłumaczyć jego zadanie)* poproszono o przepisanie ich. W miarę tego, jak praca posuwała się naprzód, ks. Bosko ponownie czytał i opatrywał notatkami swe zeszyty. Czy w tym czasie kontynuował również pracę nad poprzednim rękopisem? Naszym zdaniem tak. Tymczasem, nie czekając na to, aż wszystko już będzie ukończone, Bonetti pisał swoją historię, posługując się przy tym poprawionymi już i oddanymi mu rozdziałami. Poczynając od 1881 roku, kiedy to zabrakło przepisanej przez sekretarza kopii, musiał posługiwać się rękopisem, być może przepisanym na czysto przez kogoś trzeciego.

W 1879 r. zatem, *Wspomnienia* stały się autoryzowanym źródłem żywej historii Oratorium, przeznaczonej dla szerszej publiczności. I faktycznie, w porównaniu ze wspomnieniami pisanymi tylko na użytek Salezjanów, ostatnie rozdziały wydają nam się znacznie mniej potoczne.

Pierwszy cel ks. Bosko: pouczać swych synów

Lata dzieciństwa i młodości opowiedziane są w sposób zgodny z pierwotnym celem ks. Bosko. *Wspomnienia* miały wyjaśnić jego synom, zgodnie z życzeniem Papieża i jego własnym przekonaniem, jak Bóg kierował nim na każdym kroku w tworzeniu dzieła. Okaże się pożytecznym ukazanie, „jak sam Bóg kierował zawsze i wszystkim". Dlatego wystarczy, jeśli opowiada etapy Bożej interwencji w jego życiu. Dla przyjaciół, sny, jakie go nawiedzały w początkowych latach, skonfrontowane z osiągnięciami lat 1875–80, są nader wymowne.

Mając na celu kształtowanie osobowości czytelników ks. Bosko jednak nie mógł na tym poprzestać. Jest nauczycielem przyzwyczajonym do przekazywania uczniom swych doświadczeń poprzez przykłady i pisze *Wspomnienia* ku ich nauce. *Wspomnienia* pomogą im „przezwyciężać przyszłe trudności, korzystając z nauk płynących z przeszłości" *(Wstęp)*. *Wspomnienia* są dziełem budowniczego.

Drugi cel: bawić

Pod innym piórem program taki przybrałby bardzo zasadniczą postać, ale nie przy usposobieniu ks. Bosko. Często rozweselał swych chłopców i współpracowników opowiadaniem faktów z dzieciństwa i z początkowych lat istnienia Oratorium. *Wspomnienia* pozwoliły mu podjąć na nowo opowieść, choć dla innych słuchaczy. Zawsze pogodny, wspaniale prowadzący rozmowę, zwolennik wszelkich zdrowych radości, nigdy nie wykluczał wesołych momentów z nawet najbardziej moralistycznych historii. Należy zawsze pamiętać, że jak powiadał ks. Caviglia, ks. Bosko był „świętym dobrego humoru". Niektóre opisy ze *Wspomnień* wyraźnie mają na celu efekty humorystyczne. Są w nich refleksje, w których autor z uśmiechem patrzy na innych i na siebie samego. *Wspomnienia* miały pouczać, ale także bawić.

Pedagogiczny charakter opowieści

Szczegółowo opowiedziane we *Wspomnieniach* lata dzieciństwa i młodości opatrzone są mniej lub bardziej wyraźnym komentarzem pedagogicznym. Opowiadając mniejsze i większe przygody, jakie towarzyszyły mu w okresie lat chłopięcych, uczniowskich i seminaryjnych, ks. Bosko chciał dać lekcję poglądową wychowawcom salezjańskim. Ks. Calosso, jego nauczyciel łaciny, jest typem dobrego duchowego przewodnika, „stałego przewodnika, wiernego przyjaciela duszy" (...), zachęcającego do przyjmowania sakramentów i „uczącego krótkiej codziennej medytacji, czy lepiej, lektury duchowej". Wychowanek salezjański powinien umieć dobierać sobie przyjaciół, których Jan Bosko dzielił na trzy kategorie: źli, których należy unikać, obojętni, których wystarczy podziwiać, i dobrzy, z którymi należy przestawać. Będzie miał szczęście, jeśli znajdzie przewodnika, do którego będzie miał pełne zaufanie, lub jeszcze lepiej, stałego spowiednika jak ks. Meloria. Nie interesował się on, niestety, jego powołaniem, ale „od wyboru drogi życia należy zwykle zbawienie lub zguba duszy". Przeszkody piętrzące się przed młodzieńcem przygotowującym się do kapłaństwa należy pokonywać „odosobnieniem i pobożnymi uczynkami", wśród których najbardziej poczesne i ważne miejsce zajmuje Komunia święta.

Rady, aby jak najprędzej przygotowywać kazania, udzielane klerykowi Bosko przez proboszcza z Alfino, ks. G. Pelato oraz wyjaśnienie motywów, dla których przestał grać w karty, skierowane są do wszystkich Salezjanów i zawsze są aktualne.

Pouczenia te wypowiada wiejski proboszcz lub przyjaciel; pisze je, w być może odtworzonym z pamięci liście ks. Comollo, i wygłasza w kazaniu ks. Borel (...). Ta „autobiografia" jest małym traktatem praktycznej pedagogiki.

Tytuł i treść

(...) Schemat narracji jest nader prosty (...). Opowieść ukazuje, rok za rokiem, przeżycia dzieciństwa i młodości oraz pracowite

początki działalności duszpasterskiej w Turynie. Po wstępie obejmującym lata dzieciństwa (1815–25), ks. Bosko wyodrębnia trzy okresy dziesięcioletnie kształtowania swego dzieła:

1. od pierwszych prób i kroków na drodze duszpasterskiej do wstąpienia do wyższego seminarium (1825–35);
2. od lat spędzonych w seminarium do Valdocco (1835–45);
3. lata na Valdocco (1845–55).

Przyjęty plan uzasadnia zatem tytuł nadany całości *Wspomnienia Oratorium od 1815 do 1855 roku.*

Zamknięta tymi ramami czasowymi opowieść ks. Bosko toczy się wartko, zwalniając tempo tylko w ostatniej części. Sceny przesuwają się kolejno w szybkim rytmie. Jest to sposób opowiadania właściwy autorowi, który – jak sam wyjaśnił swym wychowankom – kierował się zawsze zasadą, że lepsze są dobrze rozwinięte historie od lekko tylko zaznaczonych faktów: „Chcąc przekonać o czymś, nie należy gromadzić wielu tekstów i zdarzeń zaledwie wspomnianych... Lepiej wybrać jedno zdarzenie, najbardziej związane z tematem i opowiedzieć je dokładnie i ze szczegółami najlepiej obrazującymi treść" *(Wspomnienia,* XIII, str. 292–93).

Źródła

Nie należy sądzić, by podstawą *Wspomnień* był jakiś pamiętnik. Błędy chronologiczne każą zresztą odrzucić każdą hipotezę. Ks. Bosko zaufał swej pamięci, a właściwie historiom, które często i chętnie opowiadał. Czasami powołuje się na dokumenty przepisywane przez sekretarza. Poza tym biografia Comollo (raz) i Cafasso (też raz) dostarczyły mu faktów, które przepisał tym razem dosłownie (...).

Pominięcia

Niełatwo jest wykryć świadome pominięcia we *Wspomnieniach.* Jak zresztą można powiedzieć, że jakieś zdarzenie czy szczegół znany z innych źródeł powinien zostać włączony do treści? Mimo to należy, jak się wydaje, wspomnieć o jednym przeoczeniu i jednym pominięciu.

Przeoczenie, o którym mowa, nie ma wielkiego znaczenia. W I rozdziale pierwszego 10–lecia (...) brak jest jakiejkolwiek opowieści, która by odpowiadała znajdującemu się w spisie treści podtytułowi *Gniazda piskląt.* W paralelnych opowieściach Ruffina i Bonettiego znajdujemy informację, że po historiach o popisach na linie ks. Bosko miał zwyczaj opowiadać swym chłopcom przygody związane z poszukiwaniem ptasich gniazd. I tak więc we *Wspomnieniach* powinniśmy znaleźć 50–60 linijek na ten temat, a tymczasem nie ma nic. Ks. Bosko zapomniał o nich (...).

Poważniejsze, i – jak się wydaje – celowe pominięcie znajdujemy dalej. Zwróciło ono uwagę historyków. Ks. Bosko nie wspomina ani słowem o tym, jak ok. 1828 roku był służącym na gospodarstwie Moglii. Dlaczego? Okres ciężkiej pracy na służbie zostawił piętno na jego młodości i całym życiu i trudno przypuścić, by pominął go milczeniem przez przypadek. Próbowano to wytłumaczyć na różne sposoby: twierdząc, że przyjęta chronologia nie pozwoliła mu na dokładne usytuowanie czasowe tego epizodu (J. Klein); że pominął go przez delikatność wobec matki, która kazała mu w tym okresie przerwać naukę (E. Ceria).

W rzeczywistości, ks. Bosko nie lubił mówić o swym pobycie u Moglii. Wiemy to od ks. Lemoyne, który, nie dysponując informacjami na temat tego okresu w życiu ks. Bosko i nie otrzymując odpowiedzi na ponawiane pytania, musiał zwrócić się do rodziny Moglii za pośrednictwem ks. Marchisio, by zaspokoić swą uzasadnioną ciekawość. Co było przyczyną tego milczenia ks. Bosko? Wydaje się mało prawdopodobne, by kierowały nim wątpliwości co do mało przykładnego charakteru tego okresu młodości. Opowiada przecież o polowaniu i dwóch przyjęciach, których żałował, że w nich

uczestniczył. Wymijające odpowiedzi, jakich udzielał ks. Lemoyne, każą raczej przypuszczać że z okresem tym związane jest jakieś nieprzyjemne wspomnienie, o którego charakterze możemy tylko snuć hipotezy.

Prawda historyczna

A oto wniosek ze studium Franciszka Desramaut o prawdzie historycznej „Wspomnień Oratorium"

Opowiadania ludzi inteligentnych, uczciwych i otwartych, należy oceniać jak są prawdziwe w swej istocie, ale nie mają tej dokładności wprost nieludzkiej, jak fotografia czy zapis dźwiękowy. Ich świadectwa, choć dobrze osadzone w rzeczywistości, są ubarwione stylem narracji. Ks. Bosko też powiedział prawdę, wzbogacając fakty swymi refleksjami i zawierając w nich swe troski. Życie przenika jego opowieść i nadaje jej osobisty charakter, nie fałszując istotnej prawdy. Chcąc odczytać te świadectwa tak, jak zostały nam przekazane, należy wczuć się we wrażliwość człowieka, który je dla nas odtwarza. Kto będzie w nich szukał ścisłego obiektywizmu, na pewno się rozczaruje. *Wspomnienia Oratorium* nie są zimnymi protokółami policyjnymi, a ojcowskimi zwierzeniami ks. Bosko skierowanymi do jego synów. Pisząc tę „autobiografię", chcę kształtować ich postawy, a zarazem dostarczać im rozrywki.

Najważniejsze wydarzenia w życiu ks. Bosko

16. 08. 1815. W Becchi, osiedlu należącym do Morialdo, przedmieścia Castelnuovo d'Asti, przychodzi na świat Jan Bosko. Jego rodzicami są Franciszek Bosko i Małgorzata Occhiena. Z pierwszego małżeństwa Franciszek Bosko miał dwoje dzieci: Antoniego, ur. w 1808 r. i Teresę Marię, ur. w 1810 i zmarłą po dwóch dniach.

1817. Franciszek Bosko, ojciec, umiera, osierocając Janka i Józefa (synów Małgorzaty) oraz Antoniego.

1824. Tajemniczy sen odsłania Jankowi Bosko misję, do jakiej wzywa go Bóg: zaopiekowanie się opuszczonymi i wchodzącymi na złą drogę chłopcami.

1826. Janek przystępuje do pierwszej Komunii.

Luty 1827. Z powodu niesnasek z Antonim, który niechętnie patrzy na jego naukę, opuszcza dom i idzie do pracy jako służący w gospodarstwie Moglii, w Moncucco.

Listopad 1829. Po powrocie od Moglii, Janek zaczyna się uczyć u starego ks. Calosso w Morialdo.

Listopad 1830. Ks. Calosso umiera. Antoni, który ma się ożenić, przestaje się interesować nauką Janka, który może chodzić do szkoły publicznej w Castelnuovo.

4. 11. 1831. Janek udaje się do Chieri, gdzie spędzi dziesięć lat życia. Mieszkając na pensji, dwojąc się i trojąc, by zdobyć pieniądze na opłaty, może kontynuować naukę w szkole publicznej.

1832. Wraz z kolegami ze szkoły zakłada swe pierwsze stowarzyszenie *Towarzystwo Wesołości*. Jego program zawiera się w dwóch punktach: dobrze wypełniać obowiązki chrześcijańskie i ucznia oraz być wesołym.

1833. Przystępuje do bierzmowania w Buttigliera d'Asti.

1834. Zaprzyjaźnia się z Alojzym Comollo, pierwszym „świętym chłopcem", którego spotyka w życiu. W dziesięć lat później, w 1844 r. napisze jego krótką biografię.

Październik 1835. Przywdziewa szatę kleryka i wstępuje do seminarium w Chieri. Postanawia zostać kapłanem.

1839. Śmierć Alojzego Comollo i jego pojawienie się w sypialni kleryków. Ciężka choroba Janka.

29. 03. 1841. Otrzymuje święcenia diakońskie.

5. 06. 1841. W kaplicy Arcybiskupstwa zostaje wyświęcony na księdza przez Arcybiskupa Turynu, mons. Fransoniego. Następnego dnia odprawia swą pierwszą mszę przy ołtarzu Anioła Stróża w kościele św. Franciszka z Asyżu. Pomaga mu ks. Cafasso, który zostanie jego przewodnikiem duchowym.

Listopad 1841. Odrzuca pierwsze propozycje pracy i zapisuje się do *Konwiktu kościelnego* św. Franciszka z Asyżu, by kontynuować studia teologiczne. Zapoznaje się z sytuacją Turynu i odkrywa poważny problem młodzieży, biednej i opuszczonej w następstwie „rewolucji przemysłowej" ogarniającej również Turyn.

8. 12. 1841. W zakrystii kościoła św. Franciszka z Asyżu spotyka młodego Bartłomieja Garelli z Asti. Zaprasza jego i kolegów na spotkanie za tydzień. Jest to początek Oratorium.

Jesień 1844. Zaczyna się „wędrówka" Oratorium ks. Bosko po różnych zakątkach miasta: od schroniska markizy Barolo, na cmentarz św. Piotra w Okowach, do Młynów miejskich, do domu Moretty, na łąkę braci Filippich. Wszędzie odmawia się chłopcom dłuższego pobytu ze względu na ich wyjątkową hałaśliwość. Ks. Bosko podejrzewa się o bunt przeciw władzy państwowej a nawet o obłęd.

Wrzesień 1845. W czasie, gdy Oratorium znajduje siedzibę przy Młynach Miejskich, następuje jedno z najważniejszych spotkań w życiu ks. Bosko. Podchodzi do niego 8-letni, blady chłopczyk, półsierota, Michaś Rua. Kiedyś stanie się prawą ręką ks. Bosko i jego następcą w zarządzaniu Zgromadzeniem Salezjańskim.

Październik 1845. Publikuje *Historię Kościoła na użytek szkół,* po której przyjdą: *Historia świata* (1847), *Dziesiętny system miar* (1849), *Historia Włoch* (1855), i wiele innych książek.

12 04 1846. Oratorium przenosi się do szopy wynajętej od Franciszka Pinardiego na Valdocco, w dzień Wielkanocy. Są to ostateczne przenosiny.

Lipiec 1846. Dzięki modlitwom, młodych robotników uczęszczających do Oratorium, do Matki Bożej, ks. Bosko odzyskuje zdrowie, mimo prawie że śmiertelnej choroby.

3 11 1846. Po długim okresie rekonwalescencji spędzonym w Becchi, ks. Bosko wraca do Oratorium wraz z matusią Małgorzatą, która będzie teraz matką dla wszystkich jego chłopców. W dwóch wynajętych pokojach zaczyna działalność szkolną.

Grudzień 1846. Ks. Bosko wynajmuje cały dom Franciszka Pinardiego i zaczyna szybko rozwijać szkołę wieczorową.

12. 04. 1847. W Oratorium rodzi się pierwsza organizacja zaangażowanej młodzieży: *Towarzystwo św. Alojzego.*

Mai 1847. Ks. Bosko daje nocleg w kuchni pierwszemu chłopcu, który prosi go o gościnę, przybyszowi z Valsesji. W tym samym roku ks. Bosko przeprowadza rekolekcje dla swych najlepszych chłopców. Będzie je organizował co roku, co pozwoli mu na wyłonienie pierwszych „powołań salezjańskich".

Grudzień 1847. W pobliżu Porta Nuova otwiera drugie Oratorium, oddane pod opiekę św. Alojzego.

Luty 1848. Ks. Bosko odrzuca zaproszenie markiza Roberta d'Azeglio do uczestnictwa w manifestacjach politycznych. „Teraz i zawsze chcę pozostać z dala od polityki".

Marzec 1848. Wybucha pierwsza wojna włoska o niepodległość. „Polityka" szerzy się wśród pomocników ks. Bosko, którzy buntują przeciw niemu najstarszych chłopców z Oratorium na Valdocco i u św. Alojzego. Wiosną ktoś strzela do niego przez okno szopy–kaplicy. Strzał chybia celu.

Jesień 1848. Po raz pierwszy wychowanek ks. Bosko zostaje klerykiem. Nazywa się Ascanio Savio. Przez cztery lata pozostanie w Oratorium, by pomagać ks. Bosko. Tymczasem w Turynie, po klęsce armii Karola Alberta, wybuchają groźne rozruchy.

1849. W styczniu umiera Antoni, brat ks. Bosko, w wieku zaledwie czterdziestu jeden lat. W lutym ks. Bosko zakłada gazetę *Przyjaciel Młodzieży*. Będzie to mała porażka: musi zamknąć dziennik po wydaniu 61 numerów. Ponieważ seminarium diecezjalne ulega zamknięciu; ks. Bosko gości wielu seminarzystów w Oratorium, gdzie mogą kontynuować studia.

1850. Ks. Bosko zakłada w Oratorium *Towarzystwo Wzajemnej Pomocy* dla młodych robotników.

1851. Ks. Bosko kupuje dom Pinardiego, który dotychczas wynajmował. Zaczyna budowę kościoła św. Franciszka Salezego, którego ukończenie i konsekracja nastąpi w 1852 r.

Zawiera pierwsze umowy o nauce zawodu w imieniu swoich chłopców, którzy chodzą do pracy w mieście, wyprzedzając w tym samym działanie związków zawodowych na rzecz młodych terminatorów.

1852. Wybuch w prochowni na wpół niszczy dom Pinardiego i wystawia na ciężką próbę działalność Oratorium.

1853. Ks. Bosko rozpoczyna druk *Lektur Katolickich*. Są to niewielkie, co miesiąc ukazujące się książki, mające na celu religijne wykształcenie ludu. W Oratorium zaczynają działać pierwsze warsztaty rzemieślnicze i rozwijają się szkoły z internatem.

26 01 1854. Ks. Bosko proponuje czterem chłopcom (Rua, Cagliero, Rocchietti, Artiglia) założenie *Salezjanów,* chodzi o to, by zrobili przyrzeczenie, że będą ćwiczyć praktykowanie w uczynkach miłości względem bliźnich.

Lato 1854. W Turynie wybucha epidemia cholery. Chłopcy ks. Bosko wyróżniają się w pielęgnowaniu chorych. Ks. Bosko zapewnia ich, że nikt, kto będzie żył w stanie łaski i nosił na szyi medalik z Matką Boską, nie zachoruje.

20 10 1854. Do Oratorium wstępuje Dominik Savio „święty chłopiec".

25. 03. 1855. Michał Rua składa na ręce ks. Bosko śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Jest on pierwszym *Salezjaninem.*

8. 06. 1856. Dominik Savio zakłada *Towarzystwo Niepokalanej*. Jest to wybrana grupa chłopców, którzy współpracują z ks. Bosko w opiece nad kolegami i pomaganiu im.

25 11 1856. W wieku 69 lat umiera matusia Małgorzata.

9. 03. 1857. Umiera Dominik Savio. Ks. Bosko wkrótce potem pisze jego „Życiorys", który czyta wielu ludzi. W 1954 r. Papież Pius XII uznał Dominika Savio za świętego.

1857. Ks. Bosko zaczyna pisać *Konstytucje* dla Salezjanów.

1858. Pierwsza podróż ks. Bosko do Rzymu w celu przedstawienia swego dzieła Papieżowi. Pius IX nakłania go do spisania „nadzwyczajnych rzeczy", stanowiących punkt wyjścia całego dzieła.

1859. Druga wojna włoska o niepodległość, która kończy się krwawą bitwą pod Solferino. Ks. Bosko pisze: „Od czasów bitwy pod Solferino

zawsze mówiłem, że wojna jest straszną rzeczą i rzeczywiście przeciwną miłości".

18. 12. 1859. Powstaje oficjalnie *Zgromadzenie Salezjańskie.* Pierwszych Salezjanów wraz z ks. Bosko jest osiemnastu.

1860. Umiera wielki doradca duchowy ks. Bosko, ks. Józef Cafasso. Jeden z pierwszych wychowanków ks. Bosko, Michał Rua, zostaje księdzem.

1861. Czternastu salezjanów zakłada „ukrytą komisję", która ma się zajmować spisywaniem wszystkiego, co mówi i robi ks. Bosko.

1862. W wieku czterdziestu dziewięciu lat umiera Józef, brat ks. Bosko.

1863. Ks. Bosko otwiera pierwszy dom salezjański poza Turynem: „małe seminarium" w Mirabello Monferrato. Do kierowania nim oddelegowuje Michała Rua. Pisze do niego „poufne upominki", które stanowią jeden z podstawowych dokumentów, mówiących o stylu pracy wychowawczej salezjanów.

Marzec 1864. Położenie kamienia węgielnego pod budowę Sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki na Valdocco.

1866. Ks. Bosko pośredniczy pomiędzy Stolicą Apostolską a rządem włoskim w sprawie powrotu do diecezji czterdziestu pięciu „wygnanych" biskupów i wyboru nowych biskupów.

1867. Pius IX ponownie nakazuje ks. Bosko spisanie „niezwykłych początków" jego dzieła. Ks. Bosko napisze większą część tych wspomnień w latach 1873–75.

9. 06. 1868. Konsekracja Bazyliki Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki.

1. 03. 1869. Stolica Apostolska zatwierdza *Zgromadzenie Salezjańskie.*

1869. Ks. Bosko zaczyna wydawanie *Biblioteki Młodzieży Włoskiej,* mające na celu udostępnienie młodzieży dzieł dawnych i współczesnych klasyków literatury włoskiej, oczyszczonych z fragmentów uznanych za nie sprzyjające wychowaniu. Tomiki ukazują się co miesiąc. W latach 1869–85 wyjdzie ich 204.

Ks. Bosko zapoczątkowuje *Bractwo czcicieli Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki.*

26. 11. 1871. Do Turynu wkracza nowy Arcybiskup, mons. Gastaldi, mianowany przez Puisa IX m.in. za radą ks. Bosko.

7. 12. 1871. Ks. Bosko zapada na ciężką chorobę podczas wizyty w domu salezjańskim w Varazze. Choroba trwa 50 dni.

5. 08. 1872. Powstaje *Zgromadzenie Córek Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki,* druga gałąź Rodziny Salezjańskiej. Przełożoną jest Maria Mazzarello, która tego dnia wraz z dziesięcioma innymi dziewczętami przywdziewa szatę zakonną i składa śluby.

1873. Umiera ks. Borel. Zaczynają się poważne konflikty z mons. Gastaldim.

3. 04. 1874. Stolica Apostolska zatwierdza ostatecznie *Konstytucje* Zgromadzenia Salezjańskiego.

11. 11. 1875. Zaczyna się działalność Misji Salezjańskich. Pierwszych dziesięciu Salezjanów pod przewodnictwem ks. Jana Cagliero wyjeżdża do Ameryki Południowej.

1876. Przy poparciu Stolicy Apostolskiej ks. Bosko zakłada trzecią gałąź Rodziny Salezjańskiej: *Pomocników,* którzy mają pomagać Kościołowi, biskupom i proboszczom, szerząc dobro w duchu Zgromadzenia Salezjańskiego.

1877. W Lanzo Torinese zbiera się pierwsza Kapituła Generalna Zgromadzenia Salezjańskiego.

Pierwsze Córki Najświętszej Maryi Wspomożycielki wyjeżdżają na misje, by wspierać pracę misjonarzy salezjańskich.

Zaczyna się ukazywać *Biuletyn Salezjański,* służący podtrzymywaniu więzi między ks. Bosko a Pomocnikami, „Salezjanami w świecie". W *Biuletynie* pojawiają się listy misjonarzy, opis łask otrzymanych od Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki i dzieje Oratorium.

1878. Umiera Papież Pius IX. Ks. Bosko przyjmuje na audiencji jego następca, Leon XIII.

1879. Pierwsi misjonarze salezjańscy wkraczają do Patagonii.

1880. Leon XIII powierza ks. Bosko budowę świątyni Najświętszego Serca w Rzymie.

1881. Umiera matka Maria Dominika Mazzarello, współzałożycielka Córek Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki.

1883. Ks. Bosko odbywa czteromiesięczną podróż do Francji, gdzie zbiera ofiary na budowę kościoła Najświętszego Serca w Rzymie. Umiera mons. Gastaldi. Nowym Arcybiskupem Turynu zostaje kardynał Alimonda, od dawna przyjaciel i zwolennik ks. Bosko.

7. 12. 1884. Jeden z pierwszych wychowanków ks. Bosko Jan Cagliero zostaje biskupem. Wkrótce potem wyjeżdża na misje do południowej Argentyny. Później otrzyma nominację na kardynała.

1886. W kwietniu ks. Bosko wyjeżdża do Hiszpanii, gdzie przez trzydzieści dni zbiera ofiary na rzecz kościoła Najświętszego Serca i swoich dzieł. Jest to triumfalna podróż, która otwiera wspaniałą przyszłość przed Zgromadzeniem Salezjanów w Hiszpanii.

1887. W kwietniu ks. Bosko po raz ostatni udaje się do Rzymu na konsekrację kościoła Najświętszego Serca. Jego stan zdrowia jest już bardzo zły.

31. 01. 1888. Ks. Bosko umiera o świcie.